



PAMIĄTKOWY DODATEK
STANĄŁ SMOLEŃSKI POMNIK

JAK ORBÁN ZGNIÓTŁ SOROSA
WĘGERSKA LEKCJA DLA POLSKI

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 16 (281) 2018
16–22 kwietnia

CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

MROCZNA TAJEMNICA RODZINY WALTZÓW

**DOBRY WUJEK,
KTÓRY ZOSTAWIŁ WALTZOM W SPADKU
UKRADZIONĄ ŻYDOM KAMIENICĘ,
KOŁABOROWAŁ Z NIEMCAMI,
PIŁ Z NIMI I ROBIŁ WIELKIE
INTERESY**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269809

16

Już **23 kwietnia** w tygodniku **SIECI**

KONKURS

381
wyjątkowych
nagród!

plastyczny dla dzieci

POLSKA, MOJA OJCZYZNA

VI edycja konkursu w 100. rocznicę
odzyskania przez Polskę Niepodległości



PARTNERZY GŁÓWNI:



ORGANIZATOR:



PARTNERZY:



Prószyński i S-ka

PARTNERZY
INSTYTUCJONALNI:



Szaleństwo „demokratów”

Szaleńczy występ dziennikarza „Wyborczej” Wojciecha Czuchnowskiego na prezentacji raportu podkomisji smoleńskiej, gdzie wulgarnie zaatakował Antoniego Macierewicza, blokada biura przepustek Sejmu przez jedną z radykalnych bojówek, próba storpedowania przez podobną grupę nawet uroczystości odsłonięcia pomnika ofiar tragedii 10 kwietnia 2010 r., wystawiają środowiskom opozycyjnym jak najgorsze świadectwo. Szczególnie zadziwia brak sprzeciwu wobec tych metod. Ba! Zatraskane na co dzień o stan demokracji autorytety przyklaskują i rechoczą.

Co się z nimi porobiło? Tezy zasadnicze są dwie. Pierwsza – że to cyniczna gra na prowokację, na wywołanie wreszcie takiej awantury, która zmieni nastroje społeczne. Mieści się też w tym założenie, że rządy PiS nie mogą mieć dnia spokoju. Druga – że oni po prostu oszaleli. Zamknięci w pałacach, oderwani od życia uwierzyli we własną propagandę o rzymskim reżimie.

Myszę, że to jest płynne. Raz dominuje szaleństwo, czasami cynizm. Najbardziej zadziwia, że opozycja kontynuuje ten kurs, choć przynosi on jej tylko katastrofy. Gdy nadejdzie kampania wyborcza, rządzący nie będą musieli straszyć radykalizmem takiego przeciwnika, on będzie oczywisty. Kijowski, Kasprzak, Czuchnowski – z takim zestawem na sztafecie nie da się odzyskać władzy w Polsce.

Michał Karnowski

Nacjonalizmy żywią się sobą nawzajem

Gdy zaczął się kryzys w stosunkach polsko-izraelskich, pisałem, że nie należy panikować, bo choć Izrael jest potrzebny Polsce, to w sporym zakresie Polska Izraelowi również, i rządzący tym krajem wiedzą o tym. Wizyta prezydenta Reuvena Rivlina pokazała, że miałem rację. Wykazała ona, że choć strona izraelska, co naturalne, nie ukrywa punktów, w których żydowska wizja historii II wojny światowej sprzeczna jest z naszą wizją, to zarazem wyraźnie nie chce konfrontacji. Ze strony Rivlina nie padły sugestie o systemowej roli Polaków w Holokauście, a w czasie najgorętszych dni po uchwaleniu ustawy o IPN tego rodzaju opinie można było znaleźć w narracji izraelskiej. Nie było z jego strony antypolskich demonstracji. Natomiast obie strony robiły wiele, by zmanifestować, iż chcą szukać porozumienia.

Przy czym ta sytuacja wyraźnie nie wszystkim była w smak. Świadczy o tym dziwaczna prowokacja, jaką było włożenie Rivlinowi w usta przez „Times of Israel” słów, których nie powiedział – horrendalnego (gdyby rzeczywiście padło) zdania o tym, jakoby Polska „pozwoliła na wprowadzenie ludobójczej ideologii Hitlera”. Ale również skwapliwe i bezrefleksyjne kupienie tego fake newsa przez część polskiego internetu. Wyraźnie widać, że polski i żydowski nacjonalizm potrzebują siebie nawzajem i sobą nawzajem się żywią. Ludzie rozsądni po obu stronach powinni zdawać sobie z tego sprawę.

Piotr Skwieciński





**45-
-56**

**Osiem lat
po Smoleńsku**
Dodatek na rocznicę



30

**Węgierska lekcja
dla Polski**
Stanisław Janecki



58

Z Patrykiem Vega
*rozmawia
Łukasz Adamski*

NA POCZĄTEK

- 6 Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski
- 8 NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista
- 9 BĄKI PAŃSTWA BĄKÓW**
Krzysztof Feusette
- 12 COŚ JEST NIE W PORZO...**
Jan Pietrzak
- 14 NIENAPISANA BIOGRAFIA**
Bronisław Wildstein
- 16 MACRON W KOŚCIELE**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 INTERNAUCI BARDZIEJ CHRONIENI**
Marta Kaczyńska
- 18 ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
- 19 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 20 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 22 OKUPACYJNE ELDORADO
DOBREGO WUJKA WALTZÓW**
Wojciech Biedroń

WĘGRY PO WYBORACH

- 26 SKUTECZNA BROŃ ORBÁNA**
Grzegorz Górny
- 30 WĘGERSKA LEKCJA DLA POLSKI**
Stanisław Janecki

KRAJ

- 34 BEZ MACRONA, CZYLI POWRÓT SŁD**
Piotr Skwieciński
- 38 Z EDWARDEM MOSBERGEM**
rozmawia Jacek Karnowski
- 40 Z ELŻBIETĄ JAKUBIAK**
rozmawia Dorota Łosiewicz

OSIEM LAT PO SMOLEŃSKU

- 46 SŁODKO-GORZKA ROCZNICA**
Marcin Wikło
- 48 KRAJ WOLNYCH POLAKÓW**
przemówienia Jarosława Kaczyńskiego
- 52 RAPORT DZIEŃ PO ROCZNICY**
Marek Pyza

SIECI KULTURY

- 58 Z PATRYKIEM VEGA**
rozmawia Łukasz Adamski
- 62 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 64 KAMELIOWA DAMA NIE GRA SAMA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 67 DWIE TWARZE SZUMOWSKIEJ**
Łukasz Adamski
- 68 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
- 70 POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

ŚWIAT

- 72 PIEKŁO PARADOKSÓW**
Jan Rokita
- 76 PAPIEŻ O DRODZE DO ŚWIĘTOŚCI**
Piotr Ślabeł

GOSPODARKA

- 78 SZEF WSZYSTKICH SZEFÓW**
Janusz Szewczak

KUCHNIA

- 84 MOJE SMAKI: NATASZA SOCHA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 85 SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

- 87 WOJUJĄCY Z SZATANEM**
Piotr Skwieciński
- 88 DOKOŁA EUROPY**
Krystyna Grzybowska
- 89 NIEMIECKA PRZYSŁUGA**
Dariusz Karłowicz
- 90 NIE WALCZYLI SAMOTNIE**
Wojciech Reszczyński
- 91 FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki
- 92 AMFIBIA**
Aleksander Nalaskowski
- 93 STRIPTIZ W KWEFIE**
Wiktor Świetlik
- 94 BIUST W DOBREJ CENIE**
Robert Mazurek
- 95 FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
- 98 WYBACZAJĄCEGO NIE BĘDZIE?**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie



TAURON



TAURON

ekogroszek

PALIWO DO KOTŁÓW Z PODAJNIKIEM AUTOMATYCZNYM

Kaloryczność:
26 MJ/kg

Popiół:
8 %

Siarka:
0,8 %

Uziarnienie:
6-25 mm



PRODUCENT:
TAURON Wydobywc
ul. Grunwaldzka
43-600

ZAMÓW
wygodnie przez internet:
→ tauron.pl/ekogroszek
Dostawa kurierem
na terenie



**SERWIS
URZĄDZEŃ
ZA DARMO**

**Ekogroszek w niższej
cenie dla każdego!**

Przy zakupie 3 palet darmowy serwis kotła i instalacji.
Kup na **tauron.pl/ekogroszek**

* Cena za paletę 800 kg, bez akcyzy i bez kosztów transportu. Cena za tonę: 745,00 zł.

Z życia koalicji



Zmiany, zmiany, zmiany. Pani premier **Beata Szydło** nie mieszka już w willi premiera przy ul. Parkowej, obok warszawskich Łazienek. Teraz przeniosła się do rządowego bloku na Stegnach, gdzie towarzystwo jest przeróżne. Dość powiedzieć, że prócz ministrów i ich zastępców pomieszkują tam choćby Władek

Kosiniak-Kamysz, któremu mieszkanie wynajmuje Sejm. No i żeby urzędującą bądź co bądź wicepremier do takiego hotelu robotniczego, no, no...



Są dwie wersje, a raczej dwa punkty widzenia, jak do tej zamiany doszło. Pierwsza to wersja otoczenia samej Szydło. Otóż mieszkała ona w willi premiera, ale po dymisji zażądano od niej, by przeniosła się tuż obok, do willi wicepremiera. Była to czysta złośliwość, bo **Morawiecki**

wcale nie ma zamiaru wprowadzać się na Parkową, więc po co przeprowadzki, remonty etc., skoro tamta chata i tak ma stać pusta? No ale rygorysty – na głównego oprawcę wyrasta tu minister Dworczyk – chcieli upokorzyć byłą premier, więc ta się wypięła i wyniosła na ul. Grzesiuka. Cieszcie się, że nie na Centralny.

Ale jest i wersja KPRM, czytaj nowych włodarzy kancelarii premiera. Wedle niej premier Szydło zgodziła się na przeprowadzkę do mniejszej, wicepremierowskiej willi, ale zażądała, by przenieść jej również meble z tej premierowskiej, bo się przyzwyczaiła. I na to nikt się nie mógł zgodzić, bo obie rezydencje są umeblowane. „Szydło przedłużała, bo liczyła, że ktoś machnie ręką i zostanie tam, gdzie była” – mówi nam z uśmiechem jeden z ministrów. Jak widać, nawet do niewygód rządowych willi można się przyzwyczaić.

No i ostatnie. A czemu pani premier tak zależało, by zostać w starym lokum? Głos oddajemy ministrowi: „Beata wcale nie gra o komisarza w Unii Europejskiej. Tak może myślała wcześniej, ale teraz chce się zemścić i wrócić. Niemożliwe? Niemożliwe to było, że Duda wygra wybory”.



Pamiętają państwo, jak pisaliśmy, że posłowie PiS sarkają na Psą, że źle ich traktuje, nie zwołuje posiedzeń klubu i w ogóle w Sejmie panuje całkowity chaos? To ostatnio usłyszeliśmy, że nawet Jarosław Kaczyński zaśmiewał się z pewnego żarciku. Cytujemy w całości: „Gdyby **Rysia Terleckiego** wynająć do pilnowania stadka zółwi, toby mu się rozpełzły”.

Pamiętają państwo Marka Suskiego? No, tego posła PiS. Ileż to było kpín i żarcików, ileż ksyw złośliwych,

że Perukarz, Susłów, Katarzyna – no generalnie chłopek-roztropiek z Grójca, wielkie kompleksy, mały rozumek, tak to przedstawiano. No to już go nie ma, nie żyje. Teraz jest podmieniona wersja Suski 2.0, która pokpiwa sobie autoironicznie z kampanii #Suski2020 i opowiada w radiu o spotkaniu z uprawiającymi jogging, którzy krzyknęli do niego: „Żadne Dudy, żadne Tuski, prezydentem Marek Suski!”.

Taka wymiana esemesowa. POLITYK (odpowiadający na wielokrotne telefony): „Czym mogę służyć?”. Znajomy DZIENNIKARZ (mylący numery, sądząc, że to jego koleżka): „2 steki kobe, zielona gyokuro, bagietka”. „Nawet nie wiem, co to jest! U nas na wsi tylko pyry z mlekiem. To chyba podeślę bagietkę. Proszę podać adres”. I najlepsze na koniec. Tym wyluzowanym dowcipnisiem politykiem jest... Marek Suski. /



PRZEGŁĄD

Mazurka

Z życia opozycji



Katarzyna Lubnauer i Ryszard Petru spotkali się na kolacji, na której zalali to-pór wojenny kilkoma kieliszkami wina. Staszek – jak zwą Lubnauer w Sejmie – oraz Rysiek bawili się na tyle dobrze, że obiecali sobie zakończenie publicznych połajanek. No, no, skoro było tak miło, to może czas rezerwować bilety na Maderę?

Reakcja Joanny Schmidt na szlajanie się Ryska ze Staszkiem na razie nie jest znana. Znaleźć natomiast wyniki wielu sondaży, które solidarnie stawiają Nowoczesną na skraju progu wyborczego. Jedno jest pewne: zatapianie Nowoczesnej zaczął Petru, potem godnie zastąpiła go Lubnauer. W duecie dobijają tę partię w mgnieniu oka.

To takie fajne, kiedy ludzie z „Gazety Wyborczej” zachowują się jak prawicowi wariaci obwieszani transparentami o zdradzie i targowicy. A Wojciech Czuchnowski to nawet z twarzą wygląda na asystenta organisty, więc jego szalony atak na Macierewicza jest szczególnie uroczy. Jak to frustracja i bezsilność robią z Europejczyków oszołomów. Bijemy brawo i prosimy o więcej!

Czuchnowski nawrzeszczał na Macierewicza, nawzywał go od kłamców i przestępców, a następnie – uwaga!!! – zapowiedział, że zostanie osądzony przez sądy WOLNEJ Polski. Szkoda, że nie zaintonował „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”. Można by z tego robić film instruktażowy dla moherów.

Ciekawą charakterystykę odpału Czuchnowskiego przedstawił na Twitterze Jarosław Kurski (mniej znany brat Jacka, szef „Gazety Wyborczej”). Otóż napisał on, że Czuchnowski „jako dziennikarz niewątpliwie wyszedł ze roli”. „Ze roli”, czyli co – niedawno go od pługa oderwali? Dobrze rozumiemy.



Kazimierz Ujazdowski ma kłopoty. Ubrdało mu się, że jest Andrzejem Dudą i rano we Wrocławiu częstował nieszczęsnych obywateli tego miasta kawą. Obywatele wyglądali na dość przestraszonych. Nie dziwimy się. Gadający Budyń, w dodatku z kubkiem czegoś gorącego – to może przerazić!

Tymczasem Grzegorz Schetyna wciąż musi walczyć o swoje. No bo na przykład niedawno niejaki Andrzej Buła, wcześniej nauczyciel wf., a ostatnio marszałek województwa opolskiego, odgrażał się na spotkaniu z miejscowym aktywnym, że to on wskaże kandydata na prezydenta Opola. A nie jakiś tam Schetyna. Podobno kiedy Buła wypowiadał te buńczuczne słowa, był trzeźwy. Całkiem prawdopodobny jest zatem atak pomroczości jasnej. Bo Schet pochodzi z Opola i raczej tego miasta nie odpuści. Spodziewamy się zatem przerobienia Buły na bułkę tartą.

Jan Śpiewak triumfuje, bo ma 7 proc. poparcia w sondażu na prezydenta Warszawy. O kurczę, jak my byśmy się cieszyli z takich powodów, to nigdy byśmy nie trzeźwiali.

Ojej, Ziobro chce odebrać immunitet Sławomirowi Neumannowi za jakieś machlojki z czasów, kiedy obecny szef klubu Platformy Obywatelskiej był wiceministrem zdrowia. To oczywiście akcja polityczna. No bo czy polityk PO mógłby robić jakieś finansowe przekręty? No skądże. Każdy, ale nie członek PO. Ich uczciwość jest tak kryształiczna jak zegarek Nowaka.



TYGODNIA

Zalawskiego

Nieoficjalny przegląd tygodnia

Wojciech Czuchoński z „Wyborczej” postanowił założyć dziennikarski oddział Obywateli RP i podczas konferencji podkomisji smoleńskiej nakrzyczał na Antoniego Macierewicza. O samym Czuchońskim nie ma co rozmawiać, bo Czerska to jedna z najbardziej zmilitaryzowanych, karnych organizacji w całym kraju i bez zgody wszystkich świętych Czuchoński sam by czegoś takiego nie zrobił. Czyli można powiedzieć, że krzyczał Michnik.

Michnik krzyczy zawsze wtedy, gdy przegrywa. Dlatego podczas słynnej telewizyjnej debaty w 1993 r. krzyczał na Jarosława Kaczyńskiego. Przegrał i chciał to zakrzyczeć wrzaskiem. Teraz też przegrał, bo pomnik na pl. Piłsudskiego jednak stanął, a wszystkie upamiętnienia w kraju liczyć trzeba w tysiące. W sumie sprawa Smoleńska zdemolowała III RP. Polacy zrozumieli po tej tragedii, że ekipa Platformy i „Wyborczej” naprawdę ma gdzieś Polskę.

Na **odsłonięcie pomnika** przyszły tłumy, ale w telewizji widać było pusty plan, bo do sektorów wpuszczano tylko ludzi z wydanymi wcześniej kartami, a i to nie zawsze. Więc było lyso, a wielu pewnie przykro. Ale za to Obywatele RP i kodziarze stali tak daleko, że nie było ich słychać i przynajmniej tej chwili nie zbeczcęscili. Niestety, zawsze jest coś za coś, ale na przyszłość mała rada: wydawaj dwa razy więcej kart, niż masz miejść.

Po Warszawie szalał **Frans Timmermans**. Kompromis z Unią prawie już dogadany. Nie przeszkodziła nawet prezes Małgorzata Gersdorf, która przyjęła wiceszefa KE w swojej siedzibie. Ale sprawy nie przemyślała, bo zamiast porozmawiać bezpośrednio, zrobiła spotkanie w dużym gronie z tłumaczami. 20 minut wystarczyło więc na powitanie i pożegnanie. A strona pisowska gaworzyła po angielsku w cztery oczy. I kto tu jest Europą?

Z Timmermansem spotkał się także szef MSZ. Na konferencji pierwszy raz zaimponował prawicy, twarde broniąc Orbána. Niestety, chwilę później pochwalił się „Le Figaro”, że Polska przyjęła 2,7 tys. imigrantów z Zachodu. Niby nie tych z relokacji, ale jednak. Niebezpieczne to zabawy. Wniosek jest jeden: nie tylko o Żydach, lecz i o imigrantach rząd powinien mówić z kartki.

Wspomniany **Orbán wygrał w cuglach** trzecią kadencję, ale niewykluczone, że bojąc się o wynik, nieco, nieco, tak troszeczkę jego ludzie podkreślali wybory, w paru miejscach unieważniając głosy oddane na opozycję (znajome, prawda?). To także niebezpieczne zabawy. Gdyby PiS działało w Polsce podobnie jak Fidesz na Węgrzech, wyleciałoby w powietrze po paru miesiącach. Węgrzy to bratanki, ale – jak to w rodzinie – jednak trochę inni. Grzeczniejsi.

„Ten człowiek troszeczkę myśli jak dziecko, które chce być królewiczem” – **powiedział o Kaczyńskim Janusz Gajos**, czyli Janek z „Czterech pancernych i psa”. Chwilę później szalony Stefan przetłumaczył tę wypowiedź na swój język: „Kaczyński to operetkowy, niedołężny umysłowo dyktatorek”. Kiedy ci ludzie rozumieją, że im bardziej obrażają prezesa, tym żałośniej wygląda ich klęska? I kiedy zaświta im myśl, że to z nimi jest coś nie halo?

Przy okazji **Gajos stwierdził także**: „Po to robimy wybory, po to wybieramy ludzi, którzy w naszym imieniu będą podejmowali decyzje, bo my chcemy mieć z tym spokój”. Hm... Czy tak właśnie nie jest w dyktaturze, że ludzie mają nie zajmować się polityką na co dzień, a tylko od czasu do czasu, głosując w jakimś fikcyjnym referendum? W Atenach eklezja zajmowała się wszystkim, i to non stop. No i wreszcie: jeśli Polacy nie będą zajmowali się Polską na co dzień, to Polski nie będzie.

Senator Anna Maria Anders znów błysnęła. „Uważam, że wyglądam bardzo dobrze na swój wiek, ale mam swój wiek. Także ja nie będę leciała klasą turystyczną, economy class, tam i z powrotem, jak mam wracać do Senatu” – niemal wykrzyczała do kamery TVN, odnosząc się do zarzutu, że na podróże służbowe wydała pół miliona złotych. Pani senator zasługuje na klasę business, ale pod względem politycznego wyrobienia jest w klasie niższej niż turystyczna.

Tygodnik „Polityka” zacytował anonimowego polityka PiS: „Premierem wcale nie jest Mateusz Morawiecki, ale Robert Feluś, naczelny »Faktu«, bo to pod tabloidy prowadzona jest nasza polityka”. Za mocno powiedziane, ale rola tabloidów rzeczywiście znacznie wzrosła. Cóż, można tylko przestrzegać, że to jedna z tych potraw, które smakują doskonale, ale powoli podtruwają organizm. W skrajnych przypadkach mogą nawet zabić.

Sygnalista



Wygraliśmy. Już 30 proc. Polaków uważa, że po raportach Anodiny i Millera wszystkie przyczyny tragedii w Smoleńsku zostały wyjaśnione. To jest nasza baza. Szczególnie podziękowania należą się takim osobom jak byli już, niestety, wiceprzewodniczący Platformy Obywatelskiej, biznesmen Palikot, który żartami o „kaczce po smoleńsku” i „krwawej Mary” oraz „przeciekami” ze śledztwa, że „wszyscy na pokładzie tupolewa byli pijani”, przyciągnął do nas element skrajnie antypisowski. W tym pana Tarasa, który zapłacił za działania na Krakowskim Przedmieściu najwyższą cenę. Pamiętamy, jak rzucił się potem po chodniku, jakby coś go opętało.

Nie da się zbyć milczeniem osiągnięć posła Niesiołowskiego czy noblisty Wałęsy, którzy przekonywali opinię publiczną, że bezpośrednim sprawcą śmierci Lecha Kaczyńskiego jest jego brat Jarosław. Podchwytował tę narrację każdy, kto marzył o szybkim wejściu do intelektualnej elity. Jak reżyser Saramonowicz, który pytał na Facebooku: „A może to brat zabił brata, żeby zająć jego miejsce?”. Reżyser Żadara drążył ten temat w „Krytyce Politycznej”: „Czy wiodący politycy polskich partii prawicowych przypadkiem nie podłożyli tej własnej bomby pod samolotem w Smoleńsku i rozpylili mgłę, żeby się pozbyć niezbyt popularnego prezydenta, uratować jego wizerunek, robiąc z niego męczennika, stworzyć atmosferę zagrożenia i doprowadzić do wyboru kandydata bardziej reakcyjnego?”. A pani Kofta, bohaterka „Śniadań mistrzów” w TVN24, kontynuowała: „Kto najbardziej skorzystał na tej katastrofie, czyje ambicje się teraz spełniają?”.

Nasze media – powiedzmy to sobie jasno i otwarcie – odważyły kawał dobrej roboty. Szczególne podziękowania należą się „Gazecie Wyborczej”, na łamach której reżyser Wajda błagał, by po tragedii w Smoleńsku palić znicze, ale nie na Krakowskim Przedmieściu, gdzie mogły „jątrzyć” (jak „Solidarność” w 1980 r.), tylko na cmentarzach sowieckich żołnierzy. Tych samych, którzy – jak twierdził – zamordowali mu ojca.

Także dziennikarze „GW” stanęli na wysokości zadania. Nie da się tu nie wspomnieć o dokonaniach redaktora Czuchnowskiego, opisującego z chirurgiczną czułością rozczłonkowane zwłoki pary prezydenckiej, czy redaktora Wrońskiego, który w sposób niezwykle wysublimowany po „aferze meleksowej” z udziałem kilku działaczy PiS na Cyprze żartował, że oni także byli „na kursie i na ścieżce”.

I nawet kiedy komisja Millera, której głównym zadaniem było „zbytnie nieodbieganie od wersji komisji rosyjskiej”, ośmieliła się mieć inne zdanie w kwestii nie tylko „pijaństwa”, lecz i w ogóle obecności generała Błasika w kokpicie, to właśnie nieoceniona „Wyborcza” była w stanie napisać, iż „owszem, nie ma dowodów na to, że generał Błasik był w kokpicie, ale przecież nie ma ich także na to, że go tam nie było!”. Dziś

Bąki państwa Bąków



KRZYSZTOF FEUSETTE

redaktor Wielowieyska niepotrzebnie rozmiękcza tamte artykuły, twierdząc, że jej środowisko „plakało i rozpaczało”. Słuszniejsze były te teksty, w których promowała pana Tarasa, czyniącego „fajny klimat pod krzyżem”. Nigdy tego oddania nie zapomnimy, zwłaszcza że autorytety „GW” potrafiły zaskakiwać inwencją nawet tych, którzy w pogłębianiu smoleńskich rowów szli naprawdę daleko. Jak literat Stasiuk informujący na łamach katolickiego „Tygodnika Powszechnego”, że „chce kupić czarnego barana i nazwać go Smoleńsk”.

Nie mniejsze zasługi mają redaktorzy z TVN i TVN24. Dość przypomnieć ich gorące jak blacha po wybuchu materiały o „debeściakach”, „jak nie wyląduję, to mnie zabiją” czy „news” o kłótni mjr. Protasiuka z gen. Błasikiem, zarejestrowanej na taśmie wideo, o której istnieniu przekonywała w „Kropce nad i” zapłakana wcześniej redaktor Olejnik. W innym programie wybitny reżyser Kutz równał z ziemią posłankę Jakubiak, bo kilka dni po tragedii wciąż ubierała się na czarno, a reżyser Machulski śmiał się, że Smoleńsk to, owszem, „dobry filmowy temat, ale na komedię”. Szli tym tropem artyści pomniejsi, jak anonimowy wokalista grupy Widelo, który zaraz po tragedii zakładał na brązowe bankiety T-shirt z napisem

„Kaczyński jest tylko jeden!”. Nie wolno też zapomnieć o satyrycznych monologach aktora Stuhra syna o tym, że „państwo macie tu polew...”, czy aktorki Jandy, która żartowała sobie z tragedii wspólnie z niedosłyszącym już wtedy własnych dowcipów satyrykiem Tymem.

Dlatego trudno nam się nie zgodzić ze słowami przewodniczącego Tuska, że „wspólna żałoba narodowa szybko zmieniła się w bolesny i szczególnie paskudny spór, który od tego czasu podzielił naród”. Niestety – czy to z braku znajomości języka angielskiego, czy przez wrodzoną skromność – zapomniał nasz Umiłowany Przywódca dodać, kto konkretnie spór ów „zapaskudził”, z czyjego polecenia, no i po której jego stronie stoi od samego początku jego, jakże odważna, osoba. Tych, którzy od ośmiu lat chcieli ofiarom „największej tragedii w powojennej Polsce” (jak sam mówił) postawić pomnik, czy może tych, którzy czekają na pierwszą sposobność, by zburzyć go równie skutecznie, jak wcześniej tę straszną polską jedność, wrażliwość i przyzwoitość.

Wierzmy, że uda się go o to zapytać, gdy tylko wróci do ojczyzny. Najważniejsze, że wygraliśmy i że jest z nami reżyserka Holland. A Polska nareszcie przypomina kraj z jej emigracyjnych marzeń i wyobrażeń, zawartych w wierszu prozą, który popełniła z okazji świąt Bożego Narodzenia w 2013 r.: „Kiedy przyjeżdżam / Uderza mnie fala niedobrego powietrza / Coś takiego / Jakby w zamkniętym pomieszczeniu / Ktoś bez przerwy puszczał bąki”.

„Financial Times”, Bannon i cenzura

Nikt tak nie polaryzuje amerykańskiej nowej, „alternatywnej” prawnicy, zwanej tam „alt-right”, jak były wydawca portalu Breitbart News Steve Bannon. Dla jednych to bohater, bo jako szef kampanii Trumpa był głównym architektem jego sukcesu w wyborach prezydenckich. Dla innych jest zdrajcą, gdyż ujawnił w rozmowach z dziennikarzem Michaeliem Wolffem kontakty syna Trumpa z Rosjanami i nie szczędził prezydentowi złośliwej krytyki.

Dla amerykańskich liberałów Bannon od dawna jest uosobieniem zła. Był jednym z inspiratorów tymczasowego zakazu wjazdu muzułmanów do USA i to zapewne on zachęcił Trumpa do wycofania się z umowy paryskiej w sprawie ochrony klimatu. Trump pozbył się enfant terrible w sierpniu i zrobiło się wokół niego cicho.

Teraz Bannon znów znalazł się w centrum uwagi za sprawą redaktora naczelnego „Financial Timesa”. Lionel Barber

postanowił bowiem zaprosić Bannona na konferencję „Future of News” organizowaną przez gazetę w Nowym Jorku i przeprowadzić tam z nim wywiad. Z pozoru zupełnie normalny zabieg medialny. Ale tylko z pozoru. Odkąd pojawiła się alt-right, liberalne kręgi w USA, z mediami włącznie, przyjęły maksymę „no platform”, czyli niezapraszania na mównicę osobistości, których poglądy odbiegają od mainstreamu. A Bannon to zdaniem liberałów rasista i ksenofob. Barber został więc oskarżony o to, że zapraszając ojca alt-right i pozwalając mu się wypowiadać, uwiarygodnił jego poglądy. „New York Times” przekonywał, że Bannon powinien być wszędzie i dla każdego persona non grata.

Barber poczuł się więc zmuszony, by wytłumaczyć swoją decyzję. I przy okazji wyjaśnić, na czym polega dziennikarstwo. „Podstawowym celem wywiadu jest oczywiście uzyskanie informacji. Ale wywiady są również szansą

na krytyczne sprawdzenie poglądów ludzi. Ich filozofii politycznej. W przypadku Bannona, byłego bankiera Goldmana Sachsa, a później politycznego stratega, jest to szczególnie prawdziwe. Taki wywiad jest także szansą na skonfrontowanie czytelników czy widzów z odmiennymi poglądami, z którymi – za sprawą platform medialnych filtrujących informacje – nie mają już w zasadzie żadnej styczności” – napisał Barber. Według niego „musimy ze sobą rozmawiać”.

To, że naczelnicy gazet, w której ukazywały się już wywiady z prezydentem Ruandy Pauliem Kagame czy Władimirem Putinem (oba mają krew na rękach), musi się tłumaczyć z rozmowy z byłym spin doktorem urzędującego prezydenta USA, wiele mówi o stanie amerykańskich mediów i społeczeństwa. Barber nie użył słowa „cenzura”, ale zasada „no platform” tym właśnie jest. Poprawność polityczna likwiduje logiczną podstawę myślenia, rozróżnienie między dobrem a złem, wprowadzając na ich miejsce dystrykcję między słusznością a brakiem słuszności. Bannon nie ma racji, więc nie ma prawa się wypowiadać. Ta postawa skutecznie niszczy kulturę debaty.

Aleksandra Rybińska

W polityce czasem wielka zmiana przyjmuje postać pozornej obrony dotychczasowego status quo. Przykładem może być stwierdzenie Aleksandra Łukaszenki, który tydzień temu zapowiedział, że dopóki będzie prezydentem, 25 marca – rocznica podjętej w 2018 r. próby utworzenia niepodległej, niekomunistycznej Białoruskiej Republiki Ludowej – nie zostanie świętem państwowym. Nieuważny obserwator zapytałby: i co w tym dziwnego? Przecież reżim nigdy nie godził się z tym świętem, będącym symbolem dążenia do niezależności od Moskwy.

Jednak jest nowość, i to duża, a w zasadzie – dwie. Pierwsza to taka, że prezydent w ogóle zajął się tym tematem. Odpowiedział na takie zadane mu e-mailem pytania internautów, a przecież nie musiał. Mógł je zignorować. Z jakichś powodów tego nie zrobił, i to jest znamienne. Kilka lat temu byłoby inaczej.

Białoruś

Rewolucja w narracji

I druga, jeszcze bardziej znamienita nowość, to motywacja, którą Łukaszenka uzasadnia swą decyzję. A uzasadnienie to brzmiało tak: Białorusini „na razie nie rozumieją, czym była Białoruska Republika Ludowa ani jaką rolę odegrała”. Rzecz jasna, najważniejsza część tego zdania to owo „na razie”.

Bo stosunek reżimu do tradycji białoruskich niepodległościowców wyraźnie się zmienia. 25 marca po raz pierwszy od wielu, wielu lat władze zgodziły się na legalne obchody rocznicy, które przybrały dość masowy charakter. Zaprzestaly też represjonowania, formalnie zakazanych, symboli niepodległej Białorusi – biało-czerwono-białej flagi i wzorowanego na godle Wielkiego Księstwa Litewskiego herbu Pogoń. A jeszcze przed rocznicą dość ważny łukaszenkowski poseł i zarazem historyk, prof. Ihor Marzaluk, na konferencji w Akademii Nauk powiedział, że BRL (zlikwidowana przez Armię Czerwoną) była jednym z etapów powstawania białoruskiej państwowości, na równi z wchodzącą w skład ZSRR Białorusią Radziecką. W łukaszenkowskiej, proradzieckiej narracji to rewolucja.

Bojąc się ekspansjonizmu Moskwy, miński reżim ewidentnie gra z nią kartą łagodnej białorutenizacji. Bardzo łagodnej, ale też chyba coraz bardziej konsekwentnej.

Piotr Skwieciński



Rosja

Walka o wpływy coraz brutalniejsza

Aresztowanie Zijawudina Magomiedowa, pochodzącego z Dagestanu rosyjskiego miliardera, bywa przyrównywane do rozprawy z Michaiłem Chodorkowskim. W przeciwieństwie jednak do tamtej sprawy, gdzie motyw aresztowania Chodorkowskiego był dość jasny, tutaj interpretacji jest co najmniej tyle, ilu jest komentatorów.

Według oficjalnych informacji stojącemu na czele holdingu Summa Magomiedowowi zarzuca się powołanie zorganizowanej grupy przestępczej i defraudację państwowych funduszy (50 mln dol.) przy budowie stadionu w Kaliningradzie. Jak odkryli dziennikarze, sprawa stadionu prowadzona była od dawna i dopiero tuż przed wyborami prezydenckimi nabrała nieoczekiwanego przyspieszenia. Wygląda więc na to, że ktoś chciał pilnie wykorzystać zebrane akta przeciwko biznesmenowi. Pytanie tylko kto i dlaczego właśnie teraz.

Wielu komentatorów wskazuje tu na szarą eminencję Kremla, Igora Sieczina, dyrektora państwowej kompanii naftowej Rosneft, starego kagiebiście i przez wiele lat zaufanego człowieka Władimira Putina. To właśnie Sieczin skorzystał najbardziej na aresztowaniu w 2003 r. Chodorkowskiego, przejmując aktywa Jukosu – stąd zapewne nasuwające się dziś porównania z tamtym okresem. Jednak różnic jest znacznie więcej niż podobieństw.

Magomiedow w odróżnieniu od Chodorkowskiego nie przejawiał politycznych ambicji, bo trudno za takie uznać podejmowane przez niego próby wsadzenia swojego faworyta na stanowisko prezydenta Dagestanu. Większych ambicji nie przejawiał też aresztowany tego samego dnia brat oligarchy Magomied, który do 2009 r. był senatorem z obwodu smoleńskiego. Magomiedowa łączyły jednak bliskie związki z premierem Dmitrijem Miedwiediewem, które zawdzięczał swojemu koledze z roku, a obecnie wicepremierowi, Arkadijowi Dworkowiczowi. I tutaj może się kryć odpowiedź na postawione wyżej pytania.

Miedwiediew – jak każdy czołowy rosyjski polityk – od czasu swojej prezydentury budował wokół siebie klientystyczny klan, złożony głównie z biznesmenów. Swoim protegowanym, w tym Magomiedowowi, załatwiał intratne kontrakty i zlecenia. Co dostawał w zamian? Tu można snuć domysły. Zapewne jednak nie przypadkiem w 2016 r. opozycjonista Andriej Nawalny pokazał w internecie wykonane z drona zdjęcia luksusowej dachy Miedwiediewa nad Wołgą. Co zdumiewające, przelatujący nisko nad rezydencją dron nie wzbudził zainteresowania ochrony. Zupełnie jakby komuś (na Kremlu?) zależało na tym, aby te obrazy ujrzały miliony Rosjan.

W najbliższym czasie w Rosji ma zostać powołany nowy rząd. Być może prawdziwym celem nie jest więc aresztowany Magomiedow, ale jego – do niedawna – patron Miedwiediew. Jeśli tak jest (a na razie wiele na to wskazuje), mamy dziś do czynienia z coraz bardziej brutalną walką kremlowskich koterii o wpływy i pieniądze. W tym wszystkim Władimir Putin sprawnie wrażeńie nieobecnego. Oczywiście to tylko pozory. Bo ciągle wszystko, co się dzieje w Rosji, musi się dziać za jego zgodą.

W co tym razem gra Putin? Zapewne okaże się już wkrótce.

Konrad Kołodziejski

UE

Polska opozycja utwardza Komisję

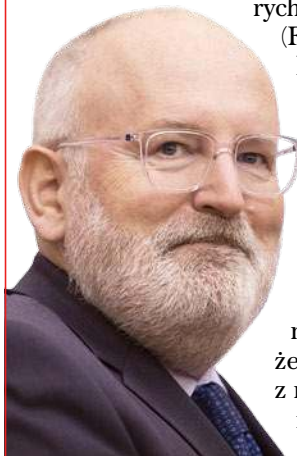
Tuż przed przybyciem do Warszawy Fransa Timermansa, który ostatnio odchodzi od antyrządowego kursu naszej tzw. totalnej opozycji, rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar wystrzelił jak z karabinu maszynowego serię tekstów dyscyplinujących wymiękającego wiceszefa Komisji Europejskiej i całą UE. W kwestii formalnej – z magazynku politycznego periodyku „Politico” wystrzelił: że reforma sądownictwa dokonywana przez PiS to demolka wymiaru sprawiedliwości, że „stawka jest niezależność polskiego Sądu Najwyższego i całego jego systemu”, że „sędziowie robią, co mogą, aby się temu przeciwstawić”, tylko te brukselskie mięczaki... „Unia musi interweniować, zanim będzie za późno”.

Coto takiego ten magazyn „Politico”? To od trzech lat następca prounijnego „European Voice”, belgijski tygodnik anglojęzyczny wydawany niemiecki Axel Springer wspólnie z Amerykanami. Szefem tegoż tygodnika jest urodzony w Warszawie polski emigrant Matthew Kaminski. I kółko się kręci: Bodnar do „Politico”, „Politico” do „Gazety Wyborczej”, bo (a jakże) nie może się obyć bez choćby cytatu nadredaktora Adama Michnika, potem obszernie omówienie tej publikacji przez „GW” oraz portal Onet.pl należący (a jakże) do Axela Springera. Zaprawdę, świetna robota. A jaki obiektywizm... Nieco wcześniej w tymże „Politico” cover story stanowił tekst, oczywiście rozpropagowany przez wyżej wymienione redakcje, o „Orbánie i Kaczyńskim – nowych europejskich komunistach”, którzy jakoby mają Zachód za wrogów i wprowadzają na Węgrzech oraz w Polsce zamordyzm, na razie w wydaniu soft. Współautorem tego tekstu był Michał Broniatowski, szef specjalnej sekcji „Politico” w Onecie.pl. Wziąwszy pod uwagę

wyniki wyborów na Węgrzech, w których obywatele dali partii Orbána (Fidesz) prolongatę na trzecią kadencję, i to z większością konstytucyjną, ci Madziarzy to prawdziwi masochiści...

Co do apelu Bodnara do unijnej zagranicy z łamów „Politico”, zgadzam się całkowicie z jego opinią, że „tutaj, w Polsce, wkraczamy w okres ciemności”. Z tą drobną korektą, że nie wkraczamy, lecz się z niego wydobywamy. Mam nadzieję.

Piotr Cywiński



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Coś jest nie w porzo...

Pensje parlamentu mają zostać obniżone o 20 proc., a rządu o dotychczas przyznawane premie i nagrody. Nic dziwnego, że rozpętała się w narodzie emocjonalna wrzawa. No i bardzo dobrze! Trzeba te sprawy sensownie uregulować.

Jak w każdej robocie, lepszy pracownik powinien być opłacany lepiej od marnego. Rząd jest takim zbiorowym pracownikiem zatrudnionym przez wyborców, by po ekipie partaczy, nierobów i złodziei naprawić nasz dom. W poprzedniej kadencji minister finansów mówił: „piniendzy ni ma na 500+”, a rządy Szydło/Morawieckiego pokazały, że są i na ten cel, i na wiele innych potrzeb społecznych. Powinniśmy docenić ich wiedzę.

Jeżeli wiceministrowi Kapicy od Tuska zarzuca się niedopilnowanie podatków na sumę 21 mld zł, to z drugiej strony trzeba dostrzec ministra Banasia, dzięki którego pasji administracja skarbowa nie pozwala nas okradać za pomocą karuzeli VAT-owskiej. Po przeszło dwóch latach widzimy kolosalną różnicę w zarządzaniu polską gospodarką i finansami.



**Jan
Pietrzak**

Teraz robią to ludzie kompetentni. Za kompetencję w świecie się płaci.

Patriotyczny entuzjazm i osobista skromność to bardzo ważne przymioty. Konieczne, lecz nie wystarczające. Bez umiejętności i fachowej wiedzy trudno odnieść sukces w skali państwa. Jest to najbardziej skomplikowana aparatura, z którą ma do czynienia społeczeństwo. Komuna, kiedy jej się znudziło natrętne szermowanie pojęciem klasy robotniczej, wprowadziła do obiegu określenie: człowiek pracy. Specjalne plenum „Kumitету Cyntralnego” poświęcono „bodźcom”, jakie należy stosować, żeby człowiekowi pracy chciało się w ogóle pracować. Ale to dygresja pamiętliwego staruszka. Wracając do bieżączki. Mam wniosek, by systemowo uregulować zależność wypłat dla Rady Ministrów od stanu państwa. Specjaliści powinni z najważniejszych parametrów wyliczyć współczynnik wpływający na uposażenia rządu. Nie mogą awantury totalnych wrogów zdrowego rozsądku oddziaływać na wypłaty ekipy windującej Polskę w górę. Ja przepraszam, to nie w porzo...

Myśmy naprawdę się zaprzyjaźnili

Z Agnieszką Suchorą, aktorką, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

„Cicha noc” przyniosła pani Orła, nagrodę Polskiej Akademii Filmowej. Jest radość?

Agnieszka Suchora: Ogromna. Dla aktorki, przede wszystkim teatralnej, takie wyróżnienie liczy się po wielokroć. Poza tym doceniono mnie za rolę, która była dla mnie nowym doświadczeniem. Wcześniej kojarzono mnie raczej z postaciami komediowymi, przerysowanymi, zresztą lubiłam się schować za jakąś formą, a tu musiałam zagrać kobietę w swoim wieku. Po prostu. Udało się dzięki wspaniałym ludziom, którzy byli wokół, z którymi razem opowiadaliśmy tę rodzinną historię.

Podkreślają państwo silne więzi, które powstawały na planie.

Bo też spotkali się na nim ludzie podobnie czujący, z podobną wrażliwością i poczuciem humoru. Myśmy naprawdę się zaprzyjaźnili. Utrzymujemy niezwykle silny kontakt, mimo

że od ostatniego klapsa minął rok. Do końca nie wiem, czy ważniejszy jest dla mnie film, czy to, że poznałam tych ludzi.

Ile w stworzonej na ekranie postaci wzięła pani od swojej mamy?

Jeżeli w ogóle, to w jednym ułamku kadru. Pochodzę z miejskiej, inteligenckiej rodziny. Matka była suflerką, ojciec aktorem. Ja jestem aktorką, mąż jest aktorem, więc nie mogłabym się też odwołać do tego, co dziś mam wokół siebie. Najważniejszy był więc scenariusz, ale inspiracji dostarczały mi również kobiety spotkane podczas licznych pobytów na Mazurach.

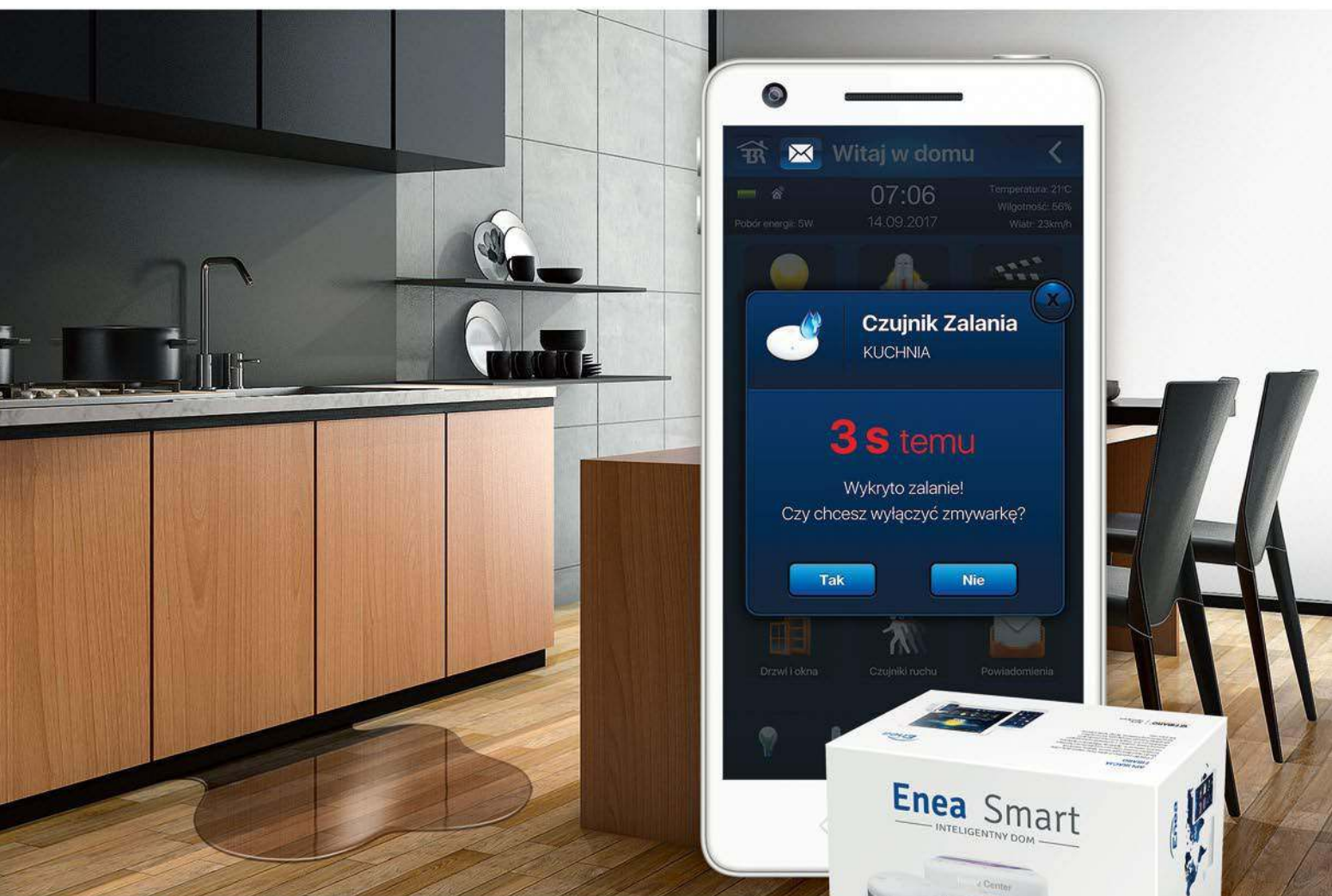
Czy po „Cichej nocy” przysły propozycje filmowe?

Na razie mogę mówić o pewnej, bo najnowszej, premierze Teatru Współczesnego: „Zbrodniach serca”.



Fot. Kurikowski/akpa

10.04.18/F



Enea Smart

Przełącz się na inteligentny dom!

Podpisz nową umowę na prąd z pakietem **Enea Smart**.

Zyskaj atrakcyjną cenę prądu oraz pakiet inteligentnych rozwiązań, które zabezpieczą Twój dom oraz pozwolą lepiej kontrolować zużycie energii elektrycznej i ciepłej.

Szczegóły oraz regulamin oferty na stronie enea.pl/smart

infolinia 611 111 111

enea.pl/smart

BRONISŁAW WILDSTEIN

Nienapisana biografia

Julia Kristeva, jedna z głośniejszych figur życia intelektualnego Francji ostatniego półwiecza o światowej renomie, okazała się agentką komunistycznych służb Bułgarii. I nic strasznego w tej roli nie robiła. Można mieć wrażenie, że to ona wykorzystała służby specjalne, co było rzadkim przypadkiem.

Sprawa wyszła na jaw, gdy Kristeva podjęła współpracę z literackim pismem w Bułgarii. Zgodnie z tamtejszą ustawą ujawnione zostało jej dossier sporządzone przez komunistyczne służby.

Zainteresowały się one młodą i obiecującą 22-letnią studentką już w 1963 r. Prowadzący inwigilację funkcjonariusz raportował, że przygotowuje ją do roli agentki. I chyba to spowodowało, że w 1966 r. uzyskała zgodę na wyjazd do Paryża na stypendium francuskie. Od tego czasu pisarka nie wróciła do kraju, ale nadal utrzymywała kontakty z bułgarską bezpieką na tyle intensywnie, że w 1971 r. została oficjalnie zarejestrowana jako agentka Sabina. Nie wiemy, czy otrzymywała wynagrodzenie ani czy kiedykolwiek została wyrejestrowana. Jej głównym zadaniem była identyfikacja zagranicznych ośrodków wymierzonych w bułgarską, komunistyczną władzę, ale, jak twierdziła, nie udało się jej tego dokonać.

W 160-stronicowym dossier Kristevy nie ma ani jednego pisanego przez nią raportu. Udało się jej przekonać prowadzących ją funkcjonariuszy, że dużo lepiej, aby dostarczała im swoją wiedzę ustnie, gdyż na piśmie może „nie wyjaśnić tego, co najważniejsze”. Przekazywała informacje na temat emigrantów bułgarskich, lewicowych grup arabskich i maoistów we Francji, ale była to głównie wiedza dostępna powszechnie.

Już od 1973 r. agenci narzekali, że Sabina wykręca się od postawionych jej zadań, nie chce pracować ani kontaktować się regularnie. Pragnęła ściągnąć swoją rodzinę do Francji, ale, jak pisał bułgarski funkcjonariusz, miała zamiar uzyskać coś, nie dając w zamian nic. Jednocześnie odradzał zbyt ostre metody wobec niej. Można domyślać się, że rekomendacje te związane były z coraz mocniejszą pozycją Kristevy we Francji.

Ona sama dziś gwałtownie zaprzeczyła tym oczywistym danym i ogłosiła, że „ktoś chce ją zniszczyć”. Zachowała się więc jak prawie wszyscy w jej sytuacji. Szkoda,

bo to, czego dowiedzieliśmy się o jej agenturalnej przeszłości, trudno uznać za kompromitujące, a ona sama mogła rozliczyć się ze swojej biografii, czyli opowiedzieć o losie ambitnej, twórczej intelektualistki w zamkniętym i opresyjnym systemie. Ale samoświadomość jest ostatnią rzeczą, jaką można zarzucić jej środowisku, a szkieletowany epizod dobrze

wpisuje się w karierę jego prominentnej przedstawicielki, którą uznać można za modelową dla naszej epoki.

Po przybyciu do Paryża Kristeva trafia do zespołu niezwykle wpływowego, lewicowego kwartalnika literackiego „Tel Quel”. Wiąże się z jego redaktorem naczelnym Philippe'em Sollerssem i zostaje jego żoną. Zaczyna jako strukturalistka i publikuje głośne dzieło „Séméiotikè: Recherches pour une sémanalyse” (1969). Dwóch przedstawicieli nauk ścisłych Alan Sokal i Jean Bricmont w opublikowanych 30 lat później „Modnych bzdurach” pokazuje, jak w książce tej autorka w sposób skrajny nadużywa osiągnięć matematyki i fizyki, których wyrażnie nie rozumie. Jest to zresztą charakterystyczne dla całej formacji, a brak jakiejkolwiek dyscypliny intelektualnej jej przedstawicieli, który prowadzi wręcz do bełkotu, jest ich znakiem firmowym i wydaje się wyzwać jeszcze większą adorację u wyznawców. W „Modnych bzdurach” znajdziemy całą listę najgłośniejszych „myślicieli” francuskich wraz z fragmentami, które w pełni uzasadniają ten tytuł.

Swoją strukturalizm Kristeva łączy z psychoanalizą, której także oddaje się z pasją. Można przyjąć, że arbitralność obu szkół zbliża je do siebie.

Politycznie jest maoistką, wraz ze swoim mężem pielgrzymuje do Chin już po rewolucji kulturalnej w 1974 r., i w apologetycznym tekście na temat Mao ogłasza, że ten „uwolnił kobiety” i „rozwiązał odwieczną kwestię płci”. W spustoszonej i sterroryzowanym kraju nie dostrzega śladu przemocy.

Dwa lata później Kristeva nawraca się na amerykańizm. Po rewelacjach Solżenicyna ogłasza, że to dysydent stał się nowym kulturowym wzorcem. Potem staje się wojującą feministką, aby pozostać nią po dziś dzień. W każdym wcieleniu wykazuje się żarliwością i, trzeba przyznać, specyficznym talentem literackim, chociaż głównie odnaleźć go można w jej autopromocyjnym nastawieniu.

Bohaterka naszych czasów.



Fot. Andrzej Wiktor

Bez stresu, skomplikowanych pytań i trudnych procedur

Na rynku zadebiutowała nowa wersja serwisu internetowego zgloszenie.pzu.pl. Odpowiadając na zaledwie kilka pytań, klienci PZU mogą zgłosić szkody majątkowe i komunikacyjne w ciągu pięciu minut. W najbliższych miesiącach spółka poszerzy możliwość zgłaszania innych zdarzeń objętych polisą, np. urazów, urodzeń oraz innych zdarzeń medycznych

To zupełnie nowa jakość na polskim rynku ubezpieczeniowym. System jest przyjazny i nieskomplikowany. Dostosowujemy się do nowoczesnego stylu życia Polaków, którzy cenią sobie oszczędność czasu i wygodę. Rejestracja szkody w serwisie zgloszenie.pzu.pl jest prosta, intuicyjna i zajmuje mniej niż pięć minut – mówi nam Roman Pałac, prezes PZU Życie.

Klienci ubezpieczyciela otrzymali także wiele narzędzi, dzięki którym proces zgłaszania i obsługi szkód przebiega sprawniej. Choćby za pomocą kamery w telefonie mogą się połączyć z konsultantem w PZU i dokonać w ten sposób szybkich oględzin pojazdów, a za pomocą specjalnej aplikacji mogą w prosty i wygodny sposób uczestniczyć w decyzji o wypłacie. Na tym nie koniec nowinek. PZU wykorzystuje zdjęcia lotnicze, a także obrazy satelitarne do analizy dużych powierzchni terenów rolniczych, co znacznie ułatwia i przyspiesza likwidację szkód w uprawach rolnych.

Te wszystkie innowacyjne rozwiązania wprowadzono, wsłuchując się w głos klienta. Bez stresu, skomplikowanych pytań i trudnych procedur. Takie odpowiedzi padały najczęściej, gdy PZU pytało klientów o to, jak powinna wyglądać obsługa szkody.

Biorąc pod uwagę ich sugestie, ubezpieczyciel stworzył właśnie ten, w pełni mobilny serwis do zgłaszania szkód – zgloszenie.pzu.pl.



Fot. Julia Szewczyk / 360/319/F

– W nowym serwisie zrezygnowaliśmy ze zbędnych formalności. Po co kolejny raz pytać o dane, które klient podaje podczas zawierania umowy? Dodatkowo mieliśmy odwagę zaproponować rozwiązanie, w którym klient sam wycenia szkodę, bez konieczności przeprowadzenia tradycyjnych oględzin. Po kilku minutach od rejestracji otrzymuje propozycję odszkodowania i, jeśli się na nią zgodzi, pieniądze trafiają na jego konto – wyjaśnia Grzegorz Goluch, dyrektor zarządzający ds. Obsługi Szkód i Świadczeń.

Według raportu Rzecznika Finansowego PZU znalazł się w gronie trzech ubezpieczycieli z najniższym udziałem skarg w stosunku do udziałów rynkowych. Klienci PZU doceniają te starania. Aż 85 proc. z nich bardzo dobrze lub dobrze ocenia proces obsługi

szkód i świadczeń. Jak wynika z badań, klienci doceniają najwyższe na rynku ubezpieczeniowym standardy, które wprowadził PZU. Średni czas od zgłoszenia do wypłaty odszkodowania lub świadczenia wynosi 11 dni.

Doskonała jakość obsługi klienta została również zauważona trzeci raz z rzędu – w rankingu Instytucja Roku 2017, który wyróżnia najbardziej proklienckie firmy. W kategorii „ubezpieczenia” spółka została nagrodzona za najlepszą jakość obsługi w placówce oraz najlepszą jakość obsługi w zdalnych kanałach kontaktu. Klienci docenili: infolinię czynną całą dobę, możliwość kontaktu w języku migowym z osobami głuchymi i niedosłyszącymi i wiele innych udogodnień.



Rosjanie szykują się do wojny. Tak, tak. I to III światowej. Może nie sam Kreml, ale na pewno „Wiesti” („Wiadomości”) – główny program informacyjny telewizji Rossija 24. Na tle atomowego grzyba prezydent z grobową miną zaleca tubylczej ludności kupowanie soli, płatków owsianych i innych produktów o długiej trwałości. Dowiadujemy się, że np. mleka w proszku można używać przez pięć lat, podczas gdy cukier i ryż wytrzymują nawet osiem lat. Wszystko podczas emisji instruktażowego nagrania o gotowaniu makaronu w schronie przeciwatomowym. Pojawiają się wykresy wyjaśniające, ile wody ludzie muszą przechowywać do picia, mycia twarzy i rąk oraz przygotowywania posiłków każdego dnia – i jak ta ilość zmienia się w zależności od temperatury panującej w schronie. Dziennikarze polecają również lektury – jak przetrwać konflikt nuklearny. Putin ustami swoich przedstawicieli odgraża się, że Rosja zestrzeli wszelkie rakiety wyrzuczone w Syrię. No cóż... W tej sytuacji możemy tylko powtórzyć za Trumpem: „No to przygotuj się, Rosjo, ponieważ one nadlatują”. I jak widać, nadawane co pół godziny „Wiesti” potraktowały twitta prezydenta USA całkiem poważnie. Nie tak, jak niegdyś poseł PO Michał Szczerba, który już widział miejsce dla 45. prezydenta Stanów Zjednoczonych w śmietniku.

Kiedy piszę te słowa, 15 rosyjskich okrętów wojennych i pomocniczych właśnie wychodzi z portu śródziemnomorskiej bazy Tartus pod pretekstem rozpoczęcia manewrów przy brzegach Syrii. Dwa dni wcześniej nad francuską fregatą Aquitaine, uczestniczącą w operacji „Chammal” wymierzonej w tzw. Państwo Islamskie, przeleciał uzbrojony po zęby Su-24M. Ruski prawie musnął skrzydłem francuską jednostkę, na której znajdują się pociski manewrujące NCM/MdCN (fr. Missile de Croisière Naval). Ciekawostką jest to, że właśnie te rakiety mamy zamiar kupić wraz z okrę-

OGNIEM NA WPROST

Macron w Kościele



tami podwodnymi Scorpene w ramach programu „Orka”. Emmanuel Macron, jak się dowiedział o incydencie z samolotem, dostał szału, obudził Brigitte i kazał „siodłać konia”. Siwego rzecz jasna, jak jego idol Napoleon Bonaparte. Po czym zadeklarował, że przystępuje do akcji wspólnie z Trumpem, i to szybciej, niż wszyscy się tego spodziewają. Zapowiada się gorąco, ale i ciekawie. Dzięki serii zbiegów okoliczności najprawdopodobniej będziemy mieli okazję się przekonać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, czy oferowane nam pociski NCM/MdCN dołączą i trafią w cel (za nim podpiszemy z Francuzami kontrakt), a po drugie, czy Macron okaże się godny swojego alter ego – Napoleona. Tylko niech obecna pierwsza dama nie bierze przykładu z cesarskiej żony Józefiny, bo nie daj Bóg, żeby po skończonej wojence doszło do jakiegoś rozwodu.

Podczas gdy szeregi Gwardii Republikańskiej prężą w przededniu ataku na Syrię pierś

przed prezydentem Macronem, imigranci zwani uchodźcami jadą swoim programem. Pięćset mieszkańców paryskich dzielnic Xi i XVIII podpisało petycję do władz, wyrażając swoje zaniepokojenie z powodu zachowania hord marokańskich nastolatków na ulicach miasta. „Trzy tygodnie temu w biały dzień na rue Affre zaatakowano dwie osoby – alarmują. – Sytuacja się pogarsza, pojawiają się coraz poważniejsze problemy: przemoc, włamania, prostytucja i coraz częstszy przemyt narkotyków. [...] Wszyscy w dzielnicy przyznają, że siedzimy na beczce z prochem”. „Nie dajemy już rady – dodaje jeden z mieszkańców dzielnicy Goutte d'Or. – Dzieci trafiają pod kontrolę przemytników. Oni są najbardziej brutalni”. Nie trzeba chyba dodawać, że policja jest bezradna. Walcząca na zewnętrznym froncie z ISIS Francja szykuje się do ataku na Syrię, zapominając, że u siebie w domu ma drugi, wewnętrzny front. Znacznie groźniejszy.

Być może dlatego w ubiegłym tygodniu doszło do bezprecedensowego spotkania w Paryżu prezydenta Macrona z przedstawicielami Kościoła katolickiego. Na wstępie wspominał o heroicznej postawie katolickiego żandarma, który oddał życie za zakładnika islamskiego terrorysty. Przyznał, że „podpułkownik Arnaud Beltrame czerpał inspirację z katolickiej wiary”. Jednocześnie głowa państwa wyraziła uznanie dla działalności Kościoła, jego „pozytywnego wkładu” i „inspirującej roli” również dla niewierzących oraz „ofiarniej służbie” względem najbardziej potrzebujących. Macron zachęcał także katolików do większego zaangażowania w politykę i lepszego informowania o tym, co robią. Nie wiadomo jeszcze, czy to Duch Święty natchnął prezydenta Francji do takich sformułowań, czy uległ presji sytuacji – jak trwoga, to do Boga. Tak czy inaczej, to pierwszy krok w dobrym kierunku dość ważnego reprezentanta demoliberalnych elit Europy.

Andrzej Rafał Potocki

Internauci bardziej chronieni

25 maja 2018 r. wejdą w życie przepisy ogólnego rozporządzenia o ochronie danych osobowych (RODO). Nowa regulacja prawna budzi wiele kontrowersji i niejasności. Jeszcze większą rewolucję może jednak spowodować przygotowane przez Komisję Europejską rozporządzenie w sprawie poszanowania życia prywatnego oraz ochrony danych osobowych w łączności elektronicznej (tzw. rozporządzenie o ePrivacy).

Przepisy rozporządzenia mogą bowiem znacząco zmienić obecnie obowiązujące zasady ochrony prywatności w internecie. Zasadniczym celem rozporządzenia jest zapewnienie bezpieczeństwa podmiotom obsługującym komputery, telefony, tablety lub smartfony przed przesadnym ingerowaniem w ich prywatność. Założeniem jest zapewnienie jak najwyższego stopnia poufności danych użytkowników podczas ich transferu oraz bezpieczeństwa plików znajdujących się w tzw. chmurach. Zapowiedź wprowadzenia przepisów, które mają stać na straży prywatności internautów, utrudni funkcjonowanie firmom, które zajmują się gromadzeniem danych o naszych zwyczajach, i podmiotom reklamującym swoje produkty dzięki wykorzystaniu plików cookies lub narzędzi umożliwiających lokalizację użytkowników elektronicznych urządzeń. Objęci nowymi zasadami mają zostać także marketingowcy działający za pomocą poczty elektronicznej oraz telefonów, jak również dostawcy oprogramowania służącego do łączności elektronicznej. Chodzi o informacje pozyskiwane w związku ze świadczeniem tradycyjnych usług łączności i o informacje pozyskiwane w związku z korzystaniem z komunikatorów internetowych, telefonii internetowej, poczty elektronicznej. Ochroną objęte mają zostać także wybierane numery, odwiedzane strony internetowe, lokalizacja użytkowników, godzina, data i czas trwania połączenia, które mogą stanowić podstawę poznania zwyczajów, codziennych aktywności czy relacji towarzyskich.

Wszystkie wymienione wyżej dane pojawiające się w związku z nawiązywaniem łączności zostaną uznane za poufne. Zakazane będzie ich słuchanie, czytanie, skanowanie, przechowywanie, monitorowanie odwiedzanych stron, a także kontaktów z innymi użytkownikami. Obecnie przeglądanie niektórych stron internetowych jest możliwe wyłącznie po zaakceptowaniu polityki cookies. Wedle nowych przepisów, przetwarzanie poufnych danych użytkowników będzie legalne jedynie po uzyskaniu uprzedniej jednoznacznej, świadomej i dobrowolnej zgody. W praktyce do jej wyrażenia ma dochodzić automatycznie za pomocą oprogramowania komputerowego skonfigurowanego zgodnie z życzeniem użytkownika. Istotne jest, że nowe przepisy mają zapewnić



**Marta
Kaczyńska**

*Z chwilą wejścia nowych
przepisów internauci
zdecydowanie zyskają
na swojej prywatności*

stosunkowo łatwą możliwość wycofania zgody np. na otrzymywanie treści marketingowych. Kary za naruszenie opisanych regulacji prawnych mogą wynosić nawet 20 mln euro.

Nowe prawo ma służyć wzmocnieniu ochrony prawa do prywatności osób zarówno fizycznych, jak i prawnych. Obejmie zatem swym zasięgiem praktycznie wszystkich użytkowników internetu i łączności telekomunikacyjnych. Konsekwencją obowiązywania opisanych regulacji może być uszczuplenie dochodów portali internetowych, które w znacznej mierze bazują na marketingu polegającym na targetowaniu reklam za pomocą plików tzw. third party cookies. Te ostatnie zaś są niezwykle skutecznym narzędziem śledzenia naszej internetowej aktywności, określania naszych preferencji w poszczególnych sferach życia, których odzwierciedleniem są nasze internetowe szlaki.

Z chwilą wejścia nowych przepisów niewątpliwie ucierpi branża marketingowa, ale internauci zdecydowanie zyskają na swojej prywatności.



PANU AMBASADOROWI

GABRIELOWI BESZŁEJOWI

wyrazy głębokiego żalu i współczucia z powodu śmierci

MAMY

Łącząc się z nim w modlitwie,

składa

Ryszard Legutko,

*przewodniczący grupy EKR w Parlamencie Europejskim
wraz z europosłami PiS i pracownikami grupy EKR*

110418/F

Zarobiona jak matka

Z amerykańskich badań, na które powołuje się Focus.pl, wynika, że przeciętna mama poświęca tygodniowo 98 godzin na bycie... mamą. „Statystyczna matka rozpoczyna dzień o 6.23 i wykonuje matczyne obowiązki do 20.31. Daje to 14-godzinny dzień pracy przez siedem dni w tygodniu, czyli 98 godzin tygodniowo poświęconych wyłącznie na rodzicielskie obowiązki” – czytamy na Focus.pl. Tylko tyle? A mnie się wydawało, że jesteśmy matkami 24/24 h. I nie trzeba specjalistycznych badań, by to stwierdzić.



3 tys. zł

na takie dofinansowanie zakupu kotła gazowego mogą liczyć rodziny wielodzietne w ramach programu Karta dużej rodziny.

17 mln ton

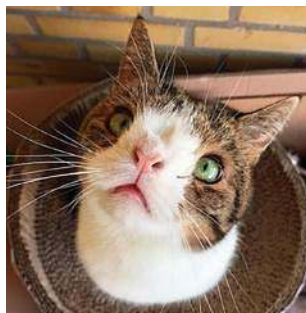
tyle wyniosła sprzedaż cementu w Polsce w 2017 r. To wzrost o ok. 8 proc., licząc rok do roku.

87 mln

dane tylu użytkowników Facebooka wyciekły do Cambridge Analytica. A wśród nich także dane Marka Zuckerberga, szefa Facebooka, który przyznał się do tego podczas przesłuchania przed komisjami senackimi USA.

Kocie życie

Duński kot Monti, który – jak twierdzą media – ma zespół Downa, ma też 800 tys. followersów na Instagramie. Właściciele Montiego mówią, że jest dla nich wszystkim. „Właściciele adoptowali kota ze schroniska. Zwierzak urodził się bez kości mostka nosa (nieprawidłowość chromosomów), dzięki czemu jego mordka ma charakterystyczny wygląd. Brak kości sprawia, że kotek kicha częściej niż inne osobniki. Ponadto z powodu problemów z pęcherzem ma tendencje do oddawania moczu podczas snu” – informuje Wprost.pl. Właściciele kota twierdzą, że schorzenia podopiecznego to dla nich żaden problem i kochają zwierzątko. I co na to „czarne parasolki”? Żadna się nie oburzy, że gorsza jakość życia kota sprawia, iż to życie nie ma sensu?



Odrzucony przez FB

Jeden z katolickich uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych chciał zamieścić na Facebooku reklamę z wizerunkiem krzyża. Ta opcja została jednak zablokowana przez portal. O sprawie powiadomił Wprost.pl. „Jak informuje Fox News, franciszkański uniwersytet Steubenville w Ohio jest uczelnią katolicką. W Wielki Piątek administratorzy konta szkoły na Facebooku chcieli dodać reklamę zawierającą wizerunek Jezusa na krzyżu. Informacyjni nie mogli zamieścić takiego ogłoszenia, ponieważ Facebook je odrzucił” – czytamy na stronie. Czyli od ponad 2 tys. lat bez zmian. Jezus wciąż odrzucany.



Kopciuszek poszukiwany

Scena prawie jak z bajki. Po meczu Speed Car Motor Lublin z Orłem Łódź jedna z pań dopingujących lubelskiej drużynę zostawiła na stadionie buty. „Jedna z kibicek zostawiła u nas szpilki. Książę ze Speed Car Motor Lublin czeka” – napisali przedstawiciele klubu na Facebooku. Na załączonym zdjęciu widać, że szpilki do niskich i wygodnych raczej nie należały. Gdybym w czymś takim wybrała się na mecz, też pewnie wołałabym wracać boso. A Kopciuszek pewnie szybciej by się odnalazł, gdyby klub zdradził, który książę czeka, czy ma zamek i ile koni mechanicznych napędza jego karetę. 



Marek Suski, szef gabinetu politycznego premiera Morawieckiego, potrafi nieźle się rozkręcić, żartując.

Tak się zdarzyło w radiu RMF, gdzie przypomniał, że prezydent Komorowski miał 76 proc. poparcia i „musiałby przejechać zakonnicę w ciąży na pasach, żeby przegrać wybory”. „No i przejechał” – odpowiedział Robert Mazurek. „No, nie przejechał, a prze-rznął” – wypalił Marek Suski. Wiosna, wiosna, wiosna, ach, to ty?

Pomysłowcy

Pewien mieszkaniec Dniepru wpadł na pomysł, jak popełnić przestępstwo prawie doskonale. Mężczyzna chciał okraść pocztę. By to zrobić, poprosił znajomego, aby wysłał go jako przesyłkę w drewnianej skrzyni. Podczas transportu samochodem pocztowym wyszedł z paczki i okradł inne przesyłki. Złodziej nieźle się obłowił. Znalazł m.in. laptop, zegarek i telefon komórkowy. „Potem razem z łupem z powrotem wszedł do skrzyni” – podaje portal Tvp.info. Niestety przestępca prawie doskonale wpadł na stacji docelowej, gdzie odkryli go pracownicy poczty. Złodziej jednak siedzieć nie pójdzie, bo ma dziecko na utrzymaniu i cieszy się dobrą opinią wśród sąsiadów. Ludzka pomysłowość nie zna granic. Podobnie jak ludzka głupota. Trudno zdecydować, z czym mamy tu do czynienia. 



Fot. Andriej Witkov, Shutterstock (k-3), www.instagram.com/moroty/happiness

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Moje smoleńskie szczęście

Przy okazji ósmej rocznicy katastrofy smoleńskiej przeczytałem kilka wspomnień o ofiarach tragedii z 10 kwietnia 2010 r. Koledzy z mediów – z obu stron dzielącej Polskę barykady – o uczestnikach nieszczęsnej wyprawy do Katynia pisali ciepło, w bardzo osobistym tonie.



Dominik Zdort

Okazało się, że wielu dziennikarzy czy publicystów знаło zmarłych polityków nie tylko zawodowo, lecz też prywatnie, że byli z nimi na ty. Dla nich tragedia w Smoleńsku nie była wyłącznie dramatem polskiego państwa. To był koszmar całkiem osobisty.

Miałem to szczęście, że siedem lat przed Smoleńskiem zostałem zmuszony do odejścia z zawodu. Nie całkowicie – po prostu wypchnięty z mojej ówczesnej redakcji przestałem być politycznym reporterem i przyjąłem posadę edytora w innym piśmie. Już nie chodziłem do Sejmu, nie pisałem tekstów, ale całymi dniami siedziałem za biurkiem i poprawiałem to, co napisali inni.

Przez te siedem lat w polskiej polityce wiele się zmieniło, także personalnie. Dzięki temu wśród pasażerów Tu-154M lecącego do Smoleńska nie miałem znajomych, większości z nich nawet nie zdążyłem poznać. Mój ból 10 kwietnia był ogromny, ale to nie była sprawa osobista. Dlatego napisałem, że miałem szczęście. Niezależnie od Smoleńska – zawsze uważałem, że dziennikarz powinien unikać fraternizowania się z politykami, przechodzenia z nimi na ty. Nic dobrego z tego nie wynika: polityk, który przyjaźni się z dziennikarzem, uważa, że może od niego oczekiwać odpowiedniego opisywania wydarzeń. Z kolei dziennikarzowi zaprzyjaźnionemu z politykiem trudno jest go pryncypialnie skrytykować, gdy na to zasługuje.

Żeby nie było wątpliwości: sam święty nie jestem, jako młody i głupi reporter przeszedłem na ty z pewnym bardzo dziś znaczącym politykiem, z drugim się zbliżyłem, gdy był odstawiony na boczny tor i sądziłem, że do polityki już nie wróci. Z kilkoma znam się z czasów, gdy byli dziennikarzami lub z działalności w NZS. Ale gdy inni proponowali mi „tykanie”, konsekwentnie odmawiałem.

Ogromny wymiar tragedii smoleńskiej dziennikarskie zasady etyczne osłabił, a późniejsza wojenka ostatecznie je zlikwidowała. Dziś polski świat dzieli się na dwa obozy polityczne, a w każdym są politycy i dziennikarze. Swoi wspierają swoich, zamiast patrzeć im na ręce. Nawoływanie, aby nie przechodzili z sobą na ty, brzmi naiwnie i prostodusznie. Szkoda. 

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

RZECZY POSPOLITE

Wileńska łza

Ofensywa zaczęła się 16 kwietnia. Był to rok 1919 i trwała wojna polsko-bolszewicka. Na Wilno uderzyły dwie grupy – kawaleria dowodził Władysław Belina-Prażmowski, twórca pierwszych ułańskich oddziałów w Legionach, piechotę zaś Edward Rydz-Śmigły. 19 kwietnia polskie miasto zostało przejęte przez naszych rodaków. Wojsku pomagały grupy Wileniaków, w tym tzw. kaziuki ze stowarzyszenia św. Kazimierza, patrona Litwy. Trzy dni później Józef Piłsudski wydał odezwę. Odwoływał się w niej do dawnych idei Rzeczypospolitej Obojga Narodów, według których wolność i możliwość samostanowienia narodów była spoiwem polskiego państwa. Za tę odezwę zaatakowała go endecja. Tymczasem krakowski „Czas” pisał: „Po 120 latach przerwy powraca Wilno znowu do łączności z Koroną – a wraz z nim, miejmy nadzieję, cała Litwa. [...] Wprawdzie bowiem na drodze ku odzyskaniu dawnej historycznej granicy na wschodzie jest zajęcie Wilna dopiero pierwszym krokiem, ale mamy wszyscy świadomość, że poprzestać na nim nie można”. Dla samego Marszałka Wilno, z powodów



**Tomasz
Łysiak**

oczywistych, było miastem szczególnie bliskim. Tu od zawsze było jego serce (i tu później spoczęło w mogile obok swej matki).

Te kwietniowe dni w Wilnie roku 1919 miały szczególny wymiar. Była defilada i były specjalne uroczystości pod Ostrą Bramą, wzruszające sceny, które tak opisał Tadeusz Świącicki: „Wielki szloch tego tłumy, klęczącego na ulicy. Spojrzałem na Komendanta. Stał twarzą zwrócony do obrazu, oparty na szabli, naszożony i... spod naszożonych brwi ciężka łza spływała mu na wąsy. Śmigły za nim miał jakiś nerwowy tick na twarzy. Twarz drgała i też łzy ciekły mu po twarzy. A Belina beczał po prostu jak smarkacz...”

Łzy Polaków pod Ostrą Bramą, przed obrazem Matki Bożej, a szczególnie łzy twardych, zahartowanych w bojach żołnierzy – Beliny, Śmigłego i samego Piłsudskiego – to najpiękniejszy pomnik miłości Polaków do Wilna, jaki kiedykolwiek ktokolwiek mógł postawić. Nie da się ich zetrzeć ani zniszczyć. Chociaż ich nie widać, uwierzcie mi – są tam do dzisiaj.

Szambo wybiło

Gdy niechęć staje się nienawiścią, rzeczy tracą cel i miarę” – pisał Denis Diderot. Wydawać by się mogło, że co jak co, ale odsłonięcie pomnika ofiar naszej wielkiej narodowej tragedii z 10 kwietnia 2010 r. zostanie przyjęte z należytą powagą i szacunkiem. Niestety, przeciwnicy PiS znów błysnęły swą obłąkańczą inwencją. Przez internet przelała się fala wpisów o „spółdziałaniu dniu” i obchodach jak „granat wrzucony w pisowskie szambo”; prezes Jarosław Kaczyński to „polityk wykłety, w pancernej brzozie zamknięty”, „smoleński świętek”, który „wykończył brata”, a teraz „mąci i knuje, jak się z tego wykręcić”, i znów pojawiły się kloaczne szyderstwa o „kaczce po smoleńsku” i „zimnym Lechu”, o „gówno wartęj prawdzie kaczora”...

Daruję sobie kolejne cytaty. Rzeczywiście, szambo wybiło, i to nie tylko po stronie przeżartych nienawiścią bezmózgowców. Platforma tzw. Obywatelska i Nowoczesna inteligentnych inaczej już wcześniej ogłosiły bojkot odsłonięcia pomnika. Niektórzy zapowiedzieli wręcz, że go zburzą. Co więcej, PO nie powstrzymała się przed sardoniczną pogardą i wrzuciła na swój internetowy profil informacje o planowanych obchodach z linkami prowadzącymi do fil-



**Piotr
Cywiński**

miku o „Teorii Wielkiego Wybuchu” i „prawdy”, do której Kaczyński „nie może dojść od ośmiu lat”. Niejaki Paweł Wroński, de domo „Gazeta Wyborcza”, na okoliczność odsłonięcia pomnika 96 ofiar smoleńskiej tragedii wypróżnił się umysłowo na Twitterze: „Jestem w górach. Trochę się zatrzęsły, bo ponoć prezes Kaczyński doszedł”, a niejaki Roman Giertych, mecenas, podsunał, że pomnik jest plagiatem okładki nagrania, za który zespół Beyond the Bridge może dostać ogromne odszkodowanie. Ta niemiecka grupa rockowa nie chciała jednak uczestniczyć w tym dennym koncercie i zareagowała: „Znaczenie naszej płyty, zarówno jeśli chodzi o jej zawartość, jak i okładkę, powinno być odczytywane jedynie w kontekście muzyki. Prosimy o pohamowanie się przed oskarżeniami o plagiat i groźbami”.

Rzecz jasna, na odsłonięciu pomnika nie zabrakło stowarzyszonych w nienawiści Obywateli RP, którzy skandowali podczas przemówienia Kaczyńskiego: „Będziesz siedział!”, „Kłamał!”, „Hańba!”, „Zaiste, hańba!”, „Rzygać się chce!” – skwitował w internecie po lekturze „Gazety Wyborczej” jeden ze zniesmaczonych czytelników. „Od 8 lat Polacy nadal obrzucają się gównem” – dorzucił drugi. Ot, dzień refleksji...

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

Tonący Schetyna pomnika
się chwyta



"NOWE PRZYSŁOWIA LUDOWE"

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

**Na szczęście
jest ubezpieczenie!**

Ubezpieczenia mieszkaniowe

W ofercie dostępne również ubezpieczenia:
podróżne, NNW, na życie oraz komunikacyjne.

Ubezpieczenia komunikacyjne z oferty innego ubezpieczyciela
niż SALTUS TUW i SALTUS TU ŻYCIE SA

saltus.pl

eprasa.pl 4e414a1158

Okupacyjne eldorado dobrego wujka Waltzów

Libacje z hitlerowcami, miliony zarobione na budowie obozowych baraków dla Niemców, wreszcie cynk od gestapo i ucieczka w przededniu wybuchu Powstania Warszawskiego.

W tle wyrok Polskiego Państwa Podziemnego i złote życie w powojennej Polsce pod dyskretną opieką komunistycznej bezpieki. Kim naprawdę był dobroczyńca rodziny Waltzów, który zostawił im w spadku ukradzioną zamordowanym Żydom kamienicę przy ul. Noakowskiego 16 w Warszawie?



Tygodnik „Sieci” dotarł do nigdy niepublikowanych dokumentów powojennej bezpieki, z których wynika, że Roman Kępski, wujek Andrzeja Waltza, zbudował swoje okupacyjne imperium drzewne na współpracy z Niemcami.

Kamienica przy ul. Noakowskiego 16 w Warszawie stała się symbolem dzięki reprivatyzacji dokonanej na krzywdzie jej przedwojennych żydowskich właścicieli. Ohydna kradzież tej nieruchomości zbulwersowała nawet stalinowski sąd – pod koniec lat 40. XX w. wydał on wyrok w sprawie szajki oszustów, w której skład wchodził powojenny funkcjonariusz bezpieki – niejaki Leon Kalinowski. To on wraz z Leszkiem Wiśniewskim i Janem Wierzbickim tuż po wojnie zaczął się posługiwać sfałszowanym przedwojennym pełnomocnictwem prawowitych właścicieli do dysponowania



WOJCIECH BIEDROŃ

przez niego nieruchomością przy ul. Noakowskiego 16. Kalinowski był pewien, że nikt mu w tym nie przeszkodzi, gdyż żydowscy właściciele i spadkobiercy nieruchomości zginęli (w jego mniemaniu) podczas Holocaustu. Sfałszował dodatkowo akt notarialny i sprzedał kamienicę Romanowi Kępskiemu oraz Zygmuntowi Szczechowiczowi. Okazało się jednak, że wojnę przeżyła Maria

Oppenheim, prawowita spadkobierczyni jednego ze współwłaścicieli. Oszustwo wyszło na jaw. Sprawa trafiła do sądu, który skazał Kalinowskiego na karę więzienia. Nieruchomość była już jednak w rękach m.in. Romana Kępskiego, a w Warszawie zaczął obowiązywać tzw. dekret Bieruta – nieruchomości przejmowały komunistyczne władze. Roman Kępski stracił kamienicę, ale w księgach wieczystych wciąż znajdowało się jego nazwisko. Musiał poczekać do nowych

czasów. W 2003 r., gdy Kępski już nie żył, prawo do użytkowania gruntów pod kamienicą decyzją Biura Gospodarowania Nieruchomościami warszawskiego ratusza przypadło spadkobiercom Kępskiego, czyli m.in. Andrzejowi Waltzowi.

W archiwum Instytutu Pamięci Narodowej znajdują się szokujące akta dotyczące Romana Kępskiego, z których klauzulę tajności zniesiono dopiero w grudniu 2017 r. W materiałach gromadzonych przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego od lutego 1948 r. zebrano donosy, informacje agenturalne oraz zeznania świadków, które nie pozostawiają cienia wątpliwości. Roman Kępski, wujek, z którym Andrzej Waltz „widywał się jedynie w święta”, był hitlerowskim kolaborantem, który zbudował potężną firmę na dostawach drewna dla niemieckiego lotnictwa i nie tylko. Pojawia się też informacja o kamienicy przy ul. Noakowskiego 16.

WIELKI BIZNES NA BARAKACH

Sprawa Kępskiego wypływa w dokumentach w lutym 1949 r. Bezpieka rozpracowuje wtedy niejaką Marię Z., która zdaniem komunistycznych bezpiecziaków jest agentką niemieckiego wywiadu. W informacjach zebranych przez MBP znajdują się poważne dowody jej współpracy z Niemcami. W spisach powiązanych z Marią Z. współpracowników znajduje się nazwisko Romana Kępskiego – przedwojennego inżyniera, któremu ze zmiennym szczęściem powodziło się w sanacyjnej Polsce. Bezpieka chce wiedzieć, czy Kępski należał do niemieckiej siatki wywiadowczej. Rozpoczyna się zakrojona na szeroką skalę operacja inwigilacyjna. Wiele wskazuje na to, że MBP zdobywa materiały wywiadu Armii Krajowej, z których czerpie becenną wiedzę do swoich raportów. Informacje zdobywane są w Warszawie, Podkowie Leśnej i w Trójmieście, w którym Kępski na moment osiadł tuż po wojnie. Dowiadujemy się z nich, że prawdziwy rozkwit drzewnego interesu Kępskiego przypada na okres okupacji.

„Jak ustalono, do wojny 1939 r. Kępski posiadał własną firmę obróbki drzewa mieszczącą się Al. Jerozolimskie 21. Po wkroczeniu Niemców do Polski ww. firmę rozbudował do tego stopnia, iż personel wzrósł z kilkudziesięciu do kilku tysięcy osób. Firma ta zajmowała się obróbką drzewa leśnego oraz budową baraków w obozach i dla Niemców w zajętych terenach ZSRR. Wszystkie te prace firma wykonywała na wyłączne zamówienia i na potrzeby Niemców, dzięki którym to figurant czerpał ogromne zyski” – czytamy w notatce służbowej datowanej na 27 lipca 1950 r.

Okazuje się, że Kępski początkowo zamieszkuje przy ul. Mokotowskiej 46, ale w 1941 r. przenosi się na ul. Wspólną. Jego firma drzewna rozkwita. Rozpoczynają się złote żniwa Kępskiego. Pojawiają naprawdę wielkie pieniądze i pijatyki z Niemcami.

„W początku okupacji niemieckiej zamieszkiwał na ul. Mokotowskiej 46a, skąd w 1941 r. przeprowadził się na Wspólną nr 7 m. 3, ponieważ dom przy Mokotowskiej zajęło NSDAP. Mieszkając z żoną przy Wspólnej nr 7 w pierwszorzędnie umeblowanym 5-pokojowym mieszkaniu, Kępski prowadził wystawny tryb życia. Urządzał bardzo często pijatyki, na które zapraszał Niemców mundurowych, kolejarzy niemieckich i własowców. Poza tym zajmując auto osobowe, które szefował Kamiński S., figurant rozjeżdżał się po knajpach całej Generalnej Guberni. [...] Na wszystkich adresach jawnie współpracował z Niemcami. Odwiedzany był przez Niemców tak cywilnych, jak i gestapowców, z którymi całe noce grywał w brydża i urządzał hałaśliwe zabawy” – brzmi fragment notatki z „doniesienia agencyjnego MBP”.

Inne źródło informacji bezpieki z lipca 1951 r. donosi o wielkich dochodach uzyskiwanych przez Kępskiego na interesach z okupantem. To doniesienie może mieć swoje źródło w informacjach, które gromadziło na temat Kępskiego Polskie Państwo Podziemne.

„Roman Kępski. Pracuje obecnie we własnym biurze budowlanym przy Al. Jerozolimskich 20. Biuro to prowadzi zakupy i załatwia dostawy dla wydziału zaopatrzenia lotnictwa. Na jednym transporcie drzewa na wschód Kępski zarabia ok. 15 000 000 zł. Obecnie posiada on ok. 50 000 000, z czego część przechowuje w Banku Handlowym w Warszawie, część w biurze, gros pieniędzy jest ulokowane w biżuterii przecho-

wywanej w domu. Kępski zamieszkuje w 5-pokojowym mieszkaniu z żoną i córeczką. Mieszkanie jest ładnie umeblowane. U Kępskich pracuje służąca. Kępski rano wychodzi między 8.00–9.00 do biura, gdzie pozostaje do godz. 13.00, po czym idzie na obiad, przeważnie na miasto w towarzystwie niemieckim. [...] Kępski żył w niezgodzie z Romanowskim Pawłem i groził mu, że go unieszkodliwi. Po kłótni, jaka była między Kępskim a Romanowskim, co miało miejsce we wrześniu 1943 r., Romanowski został aresztowany i ślad po nim zaginął. Kępski ma przyjaciół wśród członków policji niemieckiej” – czytamy w notatce.

„Kępski prowadził wystawny tryb życia. Urządzał bardzo często pijatyki, na które zapraszał Niemców mundurowych, kolejarzy niemieckich i własowców”

ROZKAZ: ZLIKWIDOWAĆ KĘPSKIEGO

Wielkie interesy Kępskiego i jego jawna współpraca z okupantem musiały zainteresować Polskie Państwo Podziemne. W aktach bezpieki, które obecnie znajdują się w Instytucie Pamięci Narodowej, są dwa zeznania świadków, które wprost wskazują, że przynajmniej dwukrotnie przygotowywany jest na niego zamach. W obu przypadkach likwidatorom (prawdopodobnie Armii Krajowej) nie udaje się zgładzić kolaboranta Kępskiego.

„W miejscu zamieszkania figurant nikomu krzywdy nie robił, lecz pomimo tego organizacja podziemna czterokrot-

[illegible]



GRZEGORZ GÓRNY

Po raz trzeci z rzędu Fidesz zdeklasował rywali i zdobył większość konstytucyjną. Głosowało na niego 49 proc. Węgrów, którzy poszli do urn. Liczba ta nie oddaje jednak skali społecznego poparcia dla ugrupowania Viktora Orbána. Kandydaci partii rządzącej wygrali bowiem w 91 ze 106 jednomandatowych okręgów wyborczych. Łącznie zdobyli więc 134 mandaty w 199-osobowym parlamencie.

TOŻSAMOŚĆ I BEZPIECZEŃSTWO

Kiedy w 2010 r. Fidesz zdobywał po raz pierwszy większość konstytucyjną, wyborcy głosowali na składane przez niego obietnice. Gdy po dwóch kadencjach podtrzymali swój demokratyczny werdykt, opowiedzieli się już nie za obietnicami, lecz za realizowanym programem i dokonującymi się zmianami. Uznali, że partia Viktora Orbána wypełniła to, co zapowiadała, i najlepiej gwarantuje rozwój kraju w najbliższej przyszłości. Bez kapitału wiarygodności, zbudowanego na dotrzymaniu przedwyborczych obietnic, ponowne zwycięstwo nie byłoby możliwe.

Wszystkich zadziwiła jednak skala triumfu rządzących, tym bardziej że Fidesz główną osią sporu w kampanii wyborczej uczynił nie kwestie ekonomiczne czy socjalne, ale sprawy dotyczące polityki międzynarodowej, czyli przyszłego kształtu Unii: czy jesteśmy za wprowadzeniem na Starym Kontynencie stałych mechanizmów relokacji kwot uchodźców? Czy opowiadamy się za Europą państw narodowych czy multikulturalizmu? W gruncie rzeczy pytania te dotyczyły tożsamości narodowej i bezpieczeństwa osobistego, a więc wartości fundamentalnych dla większości obywateli, które nagle okazały się zagrożone.

Węgry mieli jeszcze świeżo w pamięci sceny z 2015 r. – szturmami imi-

Bez wygranej wojny o media nie byłoby trzeciego, tak wielkiego wyborczego zwycięstwa Fideszu. Kontrolując opinię publiczną, Orbán nie bał się starcia z wrogiem mu miliarderm George'em Sorosem

Skuteczna broń Orbána

grantów na ich granice, „wędrowkę ludów” przez swe terytorium czy dziekie koczowiska w centrum Budapesztu. W odróżnieniu od Polaków lub Czechów widzieli problem na własne oczy i wiedzieli, czym on grozi. Orbán wykazał się więc niezwykłym słuchem społecznym, narzucając taki, a nie inny temat kampanii. Wydał przeciwnikowi bitwę na swoich warunkach i wygrał ją. Nie byłoby to jednak możliwe, gdyby wcześniej nie zwyciężył wojny o media.

„SPONTANICZNA PRYWATYZACJA”

W 2009 r. w „Dzienniku Gazecie Prawnej” ukazał się tekst Marcina Króla, w którym autor pisał: „Historia powo-

jennego świata zachodniego pokazuje dobitnie, że nigdy żaden rząd ani prezydent nie przegrał w okresie materialnego – i szerzej – cywilizacyjnego dobrobytu (jedynym wyjątkiem jest rząd PiS)”.

Król się pomylił. Zanim Prawo i Sprawiedliwość – mimo gospodarczej prosperity – poniosło w 2007 r. klęskę wyborczą, podobna sytuacja wydarzyła się na Węgrzech. W 2002 r. Viktor Orbán był pewny wygranej w wyborach parlamentarnych. Za triumfem jego partii przemawiały wszystkie wskaźniki ekonomiczne i wzrost zadowolenia społecznego. A jednak Fidesz niespodziewanie przegrał.

Zarówno w Polsce, jak i na Węgrzech decydująca okazała się postawa



większości mediów, niekryjących swej wrogości wobec prawicowych rządów i zaangażowanych mocno po stronie lewicowo-liberalnej opozycji.

Orbán zrozumiał wtedy, że bez środków masowego przekazu można zdobyć władzę, ale nie da się bez nich dłużej rządzić. Do tamtej pory hołdował przekonaniu, że rząd powinien mieć wpływ jedynie na media państwowe, które pełnią misję publiczną, a resztę należy pozostawić prawom wolnego rynku. Zderzenie z rzeczywistością okazało się jednak bolesne. Większość prywatnych mediów nie była wcale ani niezależna, ani obiektywna, lecz stała się agresywną stroną ostrego sporu politycznego.

W dużej mierze zdecydował o tym kształt węgierskiego rynku medialnego, powstały w okresie tzw. transformacji ustrojowej. Nastąpiła wówczas „spontaniczna prywatyzacja” branży prasowej.

Tuż przed utratą władzy partia komunistyczna, będąca właścicielem większości dzienników, wyprzedala je po zaniżonej cenie kapitałowi zagranicznemu. Wiosną 1990 r. aż 17 z 19 węgierskich dzienników lokalnych kupił hurtem niemiecki koncern Axel Springer. Warunkiem umowy było podpisanie klauzuli, że „nowy właściciel zachowa całą kadrę kierowniczą dzienników i bez jej zgody nie zwolni nikogo z zespołu redakcyjnego”. W podobny sposób sprzedane zostały wszystkie tytuły prasowe należące do dwóch wielkich państwowych domów wydawniczych: Pallas i Hirlapkiadó Vallalat.

Tak więc tuż po upadku komunizmu 80 proc. prasy węgierskiej znalazło się w rękach inwestorów zagranicznych, a reszta tytułów pozostała pod kontrolą koncernów nomenklaturowych. Nowi właściciele mieli lewicowe sympatie, a w redakcjach pracowała postkomunistyczna kadra. Dla obu grup naturalnym wrogiem była prawica, czyli rządzące w latach 1990-1994 Węgierskie Forum Demokratyczne.

W 1997 r. lewicowo-liberalna koalicja uchwaliła nową ustawę medialną, dokonując podziału częstotliwości telewizyjnych. Największymi beneficjentami okazały się dwie stacje: TV2, należąca do niemieckiego koncernu ProSiebenSat, oraz luksemburski RTL Klub. Miały one charakter komercyjny i raczej unikały polityki, jednak w czasie kampanii wyborczych zapominały o swej neutralności i atakowały... Oczywiście kogo? Prawicę. Ofiarą tych ataków padł w 2002 r. rządzący wówczas Fidesz.

BROŃ MASOWEGO WRAŻENIA

By pojąć następne kroki Viktora Orbána, należy zrozumieć naturę zmian dokonujących się w międzynarodowych strategiach wywierania wpływu. To, co dla większości mieszkańców Europy Środkowej pozostaje nadal zakryte, od jakiegoś czasu jest oczywistością w akademiach sztuki

wojennej na całym świecie. Chodzi o wojny psychologiczne i operacje informacyjne, a zwłaszcza kluczową w nich rolę mediów.

Dzisiejsze konfrontacje między państwami rzadko odbywają się na frontach, starcia militarne są ostatecznością. Stawką walki jest jednak zawsze to samo: zdobycie kontroli, przewagi, wpływu, władzy. Po co przelewać krew, jeśli można podporządkować sobie kogoś innymi, bardziej subtelnymi metodami? Na przykład kształtując jego poglądy i postawy zgodnie z naszymi interesami.

Z tego punktu widzenia nie jest bez znaczenia to, jaką narodowość ma kapitał w mediach. Stacje telewizyjne, rozgłośnie radiowe, redakcje prasowe czy portale internetowe mogą się stać odpowiednikami baz wojskowych jednych państw na terytorium drugich. Biorą udział w operacjach psychologicznych, stosując manipulację, dezinformację, prowokację. Uaktywniają się zwłaszcza w chwilach, gdy dochodzi do konfliktu interesów pomiędzy krajami (np. próby zmuszenia niemieckich banków czy francuskich supermarketów do uczciwej konkurencji i płacenia podatków). Pełnią wówczas funkcję piątej kolumny w przestrzeni informacyjnej, czyli w swoistym systemie nerwowym przeciwnika. Długotrwałymi kampaniami potrafią niszczyć niewygodnych ze swojego punktu widzenia polityków i promować tych, którzy odpowiadają ich interesom. To abecadło w akademiach wojskowych nie tylko Rosji czy Chin.

To nie przypadek, że Francuzi chronią szczególnie swój rynek medialny i nie pozwalają zagranicznym inwestorom na posiadanie więcej niż 20 proc. udziałów w spółkach wydawniczych. Równie zamknięci na obcy kapitał w tej sferze są Niemcy, którzy nie dopuszczają do sytuacji, by ktoś z zewnątrz wpływał na niemiecką opinię publiczną. W ostatnich latach ciężką pracę wykonali Czesi, by wypchnąć ze swego rynku prasowego kapitał niemiecki.

ZMIANY NA RYNKU

Orbán wyciągnął wnioski z klęski roku 2002. Będąc przez osiem lat w opozycji,

starał się wspierać rozwój mediów niezależnych od lewicowo-liberalnej koalicji. Podczas kampanii wyborczej w 2010 r. mógł jednak liczyć na sympatię zaledwie jednego dziennika („Magyar Nemzet”), dwóch tygodników („Heti Válasz” i „Magyar Demokrata”), rozgłośni radiowej (Lanchid) i niszowej stacji telewizyjnej (HirTv), przy czym cztery z tych redakcji związane były z pravicowym biznesmenem Lajosem Simicską. Reszta rynku była przeciw Fideszowi. Mimo to partia zdobyła większość konstytucyjną. Orbán zdawał sobie jednak sprawę, że bez przychylnych mediów można sięgnąć po władzę, ale bez nich nie da się jej długo utrzymać.

Fidesz zdefiniował też na nowo kwestię bezpieczeństwa narodowego. Uznał, że istnieją strategiczne sektory, w których to Węgrzy, a nie obcy kapitał, muszą mieć większość. To energetyka, bankowość i właśnie media. Inaczej państwo traci swą wewnętrzną sterowność i podmiotowość.

Warto się więc przyjrzeć, jak po ośmiu latach rządów prawicy wygląda dziś sytuacja medialna na Węgrzech. Przypomnijmy: w 1990 r. Springer kupił 17 z 19 istniejących wówczas dzienników wojewódzkich. Obecnie 100 proc. (!) dzienników lokalnych znajduje się w rękach kapitału węgierskiego przychylnego Fideszowi. Większość z nich wchodzi w skład największego koncernu prasowego w kraju, który stworzył Lőrinc Mészáros, burmistrz Felsőcsut – rodzinnej miejscowości Orbána. Jeśli chodzi o dzienniki ogólnokrajowe, to te, które sprzyjają Fideszowi, mają 65 proc. udziałów w rynku, a krytyczne wobec niego – zaledwie 9 proc.

Ciekawa sytuacja panuje w prasie tygodniowej. Wśród tygodników opinii udział w rynku jest następujący: sympatyzujące z rządzącą prawicą – 13 proc., a opozycyjne wobec niej – 42 proc. Diametralnie inaczej jest natomiast wśród bezpłatnych tygodników lokalnych: przychylne wobec partii Orbána mają aż 90,5 proc., a krytyczne – zaledwie 4,5 proc. W świetle tego bardziej zrozumiała staje się informacja, że ostatnie wybory Fidesz

wygrał niemal wszędzie na prowincji, a przegrał jedynie w niektórych dzielnicach Budapesztu.

W innych segmentach redakcje sympatyzujące z prawicą również posiadają większy udział w rynku niż przeciwnie rządowi, np. wśród rozgłośni radiowych stosunek ten wynosi aż 62 do 4 proc., w wieczornych telewizyjnych serwisach informacyjnych – 55 do 45 proc. (szacunki obejmują również publiczne radio i TV). Opozycja ma przewagę jedynie w opiniotwórczych portalach internetowych (50 do 37 proc.). Ogółem – według danych węgierskiego związku kontroli i dystrybucji MATESZ – w zasięgu oddziaływania

Bez środków masowego przekazu można zdobyć władzę, ale nie da się bez nich długo rządzić

mediów sprzyjających Fideszowi znajduje się 8,7 mln Węgrów, a w zasięgu wrogich mu – 3 mln (swoją drogą ciekawe, jak podobne badania wypadłyby w Polsce...).

RAMBO Z NAMI

W tym kontekście nie dziwi to, że Orbánowi nie zaszkodził nawet poważny konflikt z jego dotychczasowym sojusznikiem – Lajosiem Simicską. Kiedy w 2015 r. obaj panowie śmiertelnie się pokłócili, wówczas cztery redakcje związane z biznesmenem stały się nagle wrogie wobec Fideszu, zaczęły atakować go z prawej strony i wspierać Jobbik.

Nie miało to jednak większego wpływu na kształt rynku medialnego, gdzie największym potentatem pozostaje Andrew Vajna. To człowiek legenda. Węgierski Żyd, który po powstaniu w 1956 r. uciekł do USA, gdzie zrobił oszałamiającą karierę w Hollywood. Był producentem takich filmów jak trzy części „Rambo”, „Szklana pu-

łapka 3” czy „Terminator 3”. Orbán zaprzyjaźnił się z nim i w 2011 r. uczynił go najważniejszym człowiekiem w węgierskiej kinematografii. Vajna zainwestował z kolei w rynek mediów. Dziś ma w swych rękach m.in. TV2 – jedną z dwóch największych stacji komercyjnych w kraju, z 10 kanałami tematycznymi, Radió 1 – najbardziej słuchaną radiostacją prywatną, poczytną bulwarówkę „Bors”, dwa dzienniki lokalne, a także – co nie mniej istotne – własny dom mediowy.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji lider Fideszu nie boi się toczyć wojen informacyjnych z przeciwnikami z zagranicy, np. z miliarderem George'em Sorošem, znanym w Polsce m.in. jako udziałowiec „Gazety Wyborczej”. To właśnie jego wskazał Orbán jako swego głównego oponenta w kampanii wyborczej, a spór z nim – o imigrację, multikulturalizm, kształt Węgier i Europy – uczynił najważniejszym tematem debaty publicznej.

W tym starciu Soros też dysponował mocnymi aktywami w postaci np. finansowanych przez siebie organizacji pozarządowych. Te ostatnie – podobnie jak media – potrafią dziś odgrywać istotną rolę w wojnach hybrydowych i psychologicznych. Stosują przy tym metodę astroturfingu, czyli pozorowania spontanicznych działań obywatelskich, a w rzeczywistości realizowania zadań inicjowanych i finansowanych przez ukrytych zleceniodawców. Dlatego w czerwcu 2017 r. parlament w Budapeszcie uchwalił ustawę, w myśl której organizacje pozarządowe otrzymujące spoza Węgier dotacje powyżej pewnej sumy muszą się zarejestrować jako organizacje finansowane z zagranicy. Nowe prawo spotkało się z krytyką w wielu środowiskach międzynarodowych. Władza broniła się jednak, mówiąc, że wyraża jedynie wolę narodu, który pragnie transparentności i przejrzystości życia publicznego. Wprowadzenie ustawy poprzedzone zostało bowiem konsultacjami społecznymi, w których aż 99,1 proc. uczestników opowiedziało się za takim rozwiązaniem. Czy bez posiadania przychylnych mediów byłoby to możliwe?

Oferta
dla domu

Wszędzie tam, gdzie potrzebujesz pomocy. Jesteśmy przy Tobie.

Wybierz ofertę „Przyszłość bez awarii”
i korzystaj z pomocy fachowców!



Zapewniamy energię



JUŻ DZIŚ PODPISZ UMOWĘ

Zapraszamy do
Biur Obsługi Klienta PGE
422 222 222
serwis@gkpge.pl
ebok.gkpge.pl lub **zapewniamyenergie.pl**

Węgierska lekcja dla Polski

Rząd Orbána okazał się znacznie odporniejszy na ulicę i zagranicę niż polski.

Na Węgrzech nie uznano, że ostre spory i dzielenie społeczeństwa są czymś politycznie złym



STANISŁAW JANECKI

Viktor Orbán po raz trzeci z rzędu wygrał wybory parlamentarne i ma konstytucyjną większość. Węgry to oczywiście inny kraj niż Polska, lecz polityczna strategia Orbána i jego Fideszu wykazuje wiele podobieństw ze strategią Prawa i Sprawiedliwości oraz Jarosława Kaczyńskiego. A pewne rzeczy węgierski premier zrobił szybciej i skuteczniej, bo rządzi bez przerwy od ośmiu lat i dysponował konstytucyjną większością. Zjednoczona prawica w Polsce na razie może tylko pomarzyć o zmianie konstytucji,

podczas gdy na Węgrzech została ona przyjęta już po roku rządów Fideszu po odzyskaniu władzy. Na Węgrzech w pierwszych dwóch latach przyjęto m.in. konstytucję, ustawę o sądzie konstytucyjnym i sądach powszechnych, prawo wyborcze, ustawy o służbie cywilnej i związkach zawodowych, ustawę medialną. W Polsce w ciągu dwóch lat przyjęto ustawy reformujące m.in. sądownictwo i Trybunał Konstytucyjny, szkolnictwo, emerytury, pomoc dla rodzin i dzieci (500+, Mieszkanie+), kodeks wyborczy. W obu krajach zmiany wywoływały protesty w parlamencie i na ulicach, opozycja odwołała się do zagranicy, która włączyła się w zwalczanie rządów w obu państwach. Rząd Viktora Orbána okazał się znacznie odporniejszy na ulicę i zagranicę niż polski, a ataki medialne w kraju osłabił, tworząc przychylne sobie prywatno-państwowe imperium medialne. Węgierska lekcja dla

Polski trwa właściwie od 2010–2011 r. Problemem jest to, że nie ze wszystkich nauk można skorzystać, bo instytucje europejskie i poszczególne rządy także się czegoś nauczyły w starciach z Viktoriem Orbánem. Nie zmienia to faktu, że wciąż można, a nawet warto, na węgierskich doświadczeniach się uczyć.

PODWÓJNY NELSON

Viktorowi Orbánowi jest łatwiej, gdyż popiera go przede wszystkim klasa średnia oraz „nowa burżuazja”. Tacy ludzie w Polsce dotychczas raczej popierali Platformę Obywatelską. Twardy elektorat Fideszu (ok. 1,5 mln osób) to klasa średnia – dobrze sytuowana, nieźle wykształcona, głównie po czterdziestce, jej przedstawiciele więc nie są zwolennikami rewolucji, a przy tym to ludzie nastawieni patriotycznie, skłonni twardo bronić narodowych interesów,



Fot. KPH/Waldemar Kempała

mający antykomunistyczne czy (szerzej) antylewicowe poglądy. Ci wyborcy są wierni, a ulica i zagranica ich nie przeraża. Głównie z powodu dobrej, stabilnej pozycji ekonomicznej. Orbán zdecydowanie pozwolił się swoim zwolennikom bogacić, co również wynika z tego, że jest protestantem. W Polsce znacznie mniej niż Węgry zsekularyzowanej i z dominującym Kościołem katolickim równość oraz sprawiedliwy podział są ważniejsze politycznie niż bogacenie się klasy średniej i „nowej burżuazji”. Trzeba jednak węgierskiemu przywódcy oddać, że podczas drugiej kadencji najwięcej zrobił dla tzw. miejskiego proletariatu i mniej za możliwych mieszkańców wsi. Orbán nie musi stawiać na mityczne centrum, bo najważniejszą jego część ma po swojej stronie, a poszerza wpływy tylko w tzw. elektoracie plebejskim, który jest labilny, więc wymaga różnych bodźców

i zachęt. Ale generalnie premier Węgier stawia na identyfikację poprzez wartości, takie jak patriotyzm, suwerenność, tradycjonalizm, konserwatyzm, kulturowa odrębność. Te wartości są wspólne zarówno dla klasy średniej i „nowej burżuazji”, jak i dla miejskiego proletariatu oraz ludności wiejskiej.

Orbán doprowadził do tego, że opozycja jest podzielona na dwa bloki: z jednej strony są lewica, centrolewica, zieloni i feministki (ok. 1,2 mln zwolenników), z drugiej – prawicowy Jobbik (ok. 1 mln zwolenników). Oba opozycyjne bloki dzielą tak fundamentalne różnice, że nie są w stanie się porozumieć, co daje Fideszowi wygodną pozycję pośrodku. PiS oczywiście takiego komfortu nie ma, gdyż narodowa opozycja z prawej pozostaje słaba, a ruch Kukiz'15 nie jest twardą prawicą. Znacząca opozycja w Polsce sytuuje się więc na lewo od PiS, z PO na czele. A skoro PO, PSL, Nowoczesnej i SLD nie dzielą fundamentalne różnice, możliwy jest jakiś ich sojusz przeciwko PiS. Na razie takiego sojuszu nie ma, głównie z powodu słabych liderów i ich uwikłania w walki wewnętrzne, ale perspektywa porozumienia istnieje. To, co łączy lewicową opozycję na Węgrzech i tę na lewo od PiS w Polsce, to bycie anti-PiS-em i anti-Fideszem oraz anti-Kaczyńskim i anti-Orbánem.

Viktor Orbán bardzo umiejętnie rozgrywał winę lewicy w drastycznym obniżeniu poziomu życia Węgrów oraz skupienie się lewicowej opozycji na samej sobie zamiast na sprawach obywateli. Sprytnie rozgrywał też walki trzech głównych postaci opozycji o to, która z nich jest najważniejsza. Podobną strategię zdaje się stosować PiS, choć nie jest ona konsekwentna, gdyż od czasu do czasu partia otwiera się na nowy elektorat, a ten na rozliczenia reaguje niechętnie albo słabo. Dzięki ósmu latom rządów Orbán przeciągnął na swoją stronę pracowników sektora publicznego. Dał im poczucie stabilizacji, ale wcześniej umożliwił wielu awans, głównie wskutek reform w administracji i sądownictwie, gdzie nastąpiła znacząca wymiana kadr. Jednocześnie stworzył sobie wierne zaplecze wśród ludzi biznesu, których dopuścił do interesów z państwem.

SPOSÓB NA ULICĘ

Premier Węgier nie dopuścił do tego, aby różne inicjatywy pozapartyjne czy uliczne trwale zjednoczyły się z partyjnymi, wzajemnie się wzmacniając. Choć podczas jego rządów pojawiło się wiele oddolnych organizacji i inicjatyw kontestujących władzę, np. Milla Milion na rzecz Wolności Prasy, zdolnych do wyprowadzania na ulice kilkudziesięciu tysięcy demonstrantów, nie stały się one trwałą siłą polityczną. Podobnie w Polsce było z Komitetem Obrony Demokracji. Z tym że Orbán nie czekał na wypalenie się oddolnych ruchów, tylko je atakował, organizował kontrmanifestacje, przedstawiał jako akcje George'a Sorosa i wrogów Węgier. W efekcie nie doszło do zawarcia żadnego trwałego sojuszu między organizacjami protestu a partiami opozycji. Po czterech latach starć z rządem zapal w oddolnych ruchach i inicjatywach się wypalił, więc ich wpływ na wyniki wyborów (zarówno w roku 2014, jak i w 2018) był żaden. Stąd wyciągnięto wnioski, że za pomocą ulicy i oddolnych ruchów nie da się przejąć władzy, a muszą to zrobić partie.

Krytycy Orbána z nieskrywanym zalem zauważyli, że jego strategia skumulowania reform w pierwszych dwóch latach rządów (w każdej kadencji), przez którą opozycja i uliczne ruchy nie mogły nadażyć z protestami, doprowadziła do „zamęczenia” protestujących i wyczerpania ich potencjału. W Polsce krytycy PiS obawiają się podobnego efektu. Obawiają się też takiego usytuowania partii Kaczyńskiego na politycznej scenie, by miał wyraźną opozycję po lewej stronie i taką po prawej, która z lewicą i centrum nigdy się nie porozumie. Potencjał dla takiej prawicy widzą w ruchu Kukiz'15 oraz w Ruchu Narodowym. Przeciwnicy PiS po lewej, np. środowisko „Krytyki Politycznej”, przestrzegają również przed strategią „wzmacniania polskiego kapitału” prezentowaną przez premiera Mateusza Morawieckiego. Obawiają się, że (tak jak w wypadku Orbána) powstanie bardzo wpływowa i silna grupa zwolenników władzy, przede wszystkim biznesmenów, materialnie zainteresowana popieraniem PiS, bo czerpiąca z tego ewidentne korzyści. Z tym może być jednak pewien problem, bo Fidesz

bywa ostro, także z zagranicy, atakowany za taką politykę jako korupcyjną i opartą na nepotyzmie. To również paliwo dla opozycji. Nic dziwnego zatem, że w Polsce opozycja tak mocno rzuciła się na premię i nagrody ministrów oraz ich zastępców.

I węgierskie, i polskie doświadczenia pokazują, że poza stworzeniem stabilnego zaplecza władzy trzeba zapracować na przychylność mas. W Polsce były to 500 zł na dziecko, podwyżka płacy minimalnej i stawki godzinowej, na Węgrzech – podwyżka emerytur, wzrost płacy minimalnej, jednorazowe dopłaty do rachunków za gaz czy vouchery dla emerytów. Oprócz tego Orbán wdrożył program robót publicznych oraz program wsparcia dla rodzin, żeby zwiększyć dietność i rozruszać rynek nieruchomości, skoro powiększające się rodziny wspierane przez państwo stały się ważnym graczem na tym rynku. Przy czym na Węgrzech nie chodziło jedynie o najbiedniejszych, lecz również o niższą klasę średnią, która nie tylko we własnym mniemaniu była ofiarą reform przeprowadzonych po 1990 r., a nie ich beneficjentem.

WĘGIERSKA DROGA

Wiele wskazuje na to, że strategia rządu Mateusza Morawieckiego dotycząca ustaw sądowych oraz procedury uruchomienia przeciwko Polsce art. 7 traktatu lizbońskiego korzysta z węgierskich doświadczeń po przyjęciu wiosną 2011 r. nowej konstytucji. Przewodniczący frakcji liberalnej w europarlamencie Guy Verhofstadt, znany także z ataków na rząd PiS, uznał wtedy nową konstytucję za jeden wielki zamach na demokrację i praworządność. A ówczesny szef francuskiego MSZ, były premier Alain Juppé, otwarcie pytał Komisję Europejską, czy węgierska konstytucja „narusza fundamenty Unii Europejskiej”. Viktor Orbán zdecydował wtedy o przekazaniu Komisji Europejskiej tekstu konstytucji po angielsku, z obszernym komentarzem oraz pytaniami, które artykuły są sprzeczne z unijnymi traktatami i prawem europejskim. Unijni prawnicy znaleźli tylko dwa takie artykuły (dotyczące wieku

emerytalnego sędziów oraz statusu szefa Urzędu Ochrony Danych Osobowych) i Węgrzy obie te sprawy szybko załatwili nowelizacją. Postawienie na szczególności i konkrety jest podstawą strategii negocjacyjnej rządu Morawieckiego z Komisją Europejską.

Wielka awantura w kraju i za granicą wybuchła wokół nowej węgierskiej ustawy medialnej, m.in. nakładającej na nadawców prywatnych obowiązek prezentowania „zrównoważonych informacji”, obrony „ludzkiej godności” oraz zakaz „obrażania wiary lub światopoglądu”. Unijni politycy, np. Niemiec Martin Schulz, rozpętały histerię, jakoby węgierski rząd „bezczelnie demontował

I węgierskie, i polskie doświadczenia pokazują, że poza stworzeniem stabilnego zaplecza władzy trzeba zapracować na przychylność mas

demokrację” i „likwidował wolne media”. Orbána zaczęto porównywać do Hitlera, pisano o atmosferze przypominającej lata 30. w Niemczech. Media i „autorytety” nawoływały do nałożenia na Budapeszt sankcji oraz odebrania Węgrom prezydencji w Radzie Unii Europejskiej. Iznowa Viktor Orbán zastosował strategię konkretów oraz porównań do ustaw medialnych w innych państwach UE, co ataki sprowadziło na ziemię. Strategię konkretów zastosowano także w sporze z Komisją Europejską o prezesa Narodowego Banku Węgier, który był również sporem o kompetencje węgierskiego sądu konstytucyjnego. Od 2012 r. mógł się on zajmować jedynie sprawami proceduralnymi i nie mógł się powoływać na wcześniejsze orzecznictwo, skoro parlament je unieważnił. W tych i innych sporach Węgrom grozono sankcjami, w tym odebraniem prawa głosu w instytucjach i organach UE. Skończyło się na straszeniu. Przede wszystkim dlatego, że Orbán jest bardzo mocno zakorzeniony

w Europejskiej Partii Ludowej, ma dobre układy z liberalami oraz wyjątkową pozycję w niemieckiej CDU, a szczególnie w bawarskiej CSU. Morawiecki tymi atutami nie dysponuje, ale i na tym polu może się wspierać strategią premiera Węgier. Polega ona głównie na tym, by nie doprowadzić do zderzenia, lecz manewrować, kluczyc, grać na czas, robić dwa kroki do przodu, krok w tył i dwa kroki w bok.

KONFRONTACJA ZAMIAST KOMPROMISU

Viktor Orbán potrafi kluczyc taktycznie, ale jest wyjątkowo zasadniczy i konsekwentny, gdy chodzi o fundamentalne wartości: suwerenność, nadrzędność krajowej konstytucji nad unijnym prawem, status rodziny jako związku kobiety i mężczyzny, przywiązanie do wiary i narodowych tradycji, obrona Europy przed najazdem emigrantów, prymat interesu Węgier. Konsekwentny jest też antykomunizm Orbána oraz domaganie się szczególnego statusu Węgier jako ofiar obu totalitaryzmów. Fidesz i Orbán nie kokietują postkomunistów, lewicy ani liberalów, lecz ostro się z nimi konfrontują. Przewagę uzyskują, konsekwentnie walcząc, nie czyniąc nagłych zwrotów, niezrozumiałych dla wyborców. I nie boją się nacisków ani wielkich kampanii przeciwko sobie, przede wszystkim poprzez ulicę i zagranicę. Przeżyli bez porównania więcej takich agresywnych akcji i kampanii niż rząd PiS, często potężniejszych, choć Węgry to państwo dziesięciomilionowe. Viktor Orbán nigdy nie dał się zastraszyć ulicy, nigdy z nią nie negocjował, nie próbował się układać. Na Węgrzech nie uznano, że ostre spory i dzielenie społeczeństwa są czymś złym. Przeciwnie, na podziałach zbudowano siłę Fideszu. I taka silna, jednoznaczna partia zyskała dużą moc przyciągania oraz kooptacji – stwarzając zwolennikom, ale i wahającym się, stabilną perspektywę trwania przy władzy i własnym programie. I zyskuje z tego powodu premię, już po raz trzeci z rzędu wygrywając wybory. W Polsce wszystkich węgierskich doświadczeń nie da się wykorzystać, lecz wciąż istnieją spore możliwości.

Wyznaczamy nowe standardy współpracy

- Profesjonalna wycena portfeli wierzytelności
- Skuteczne odzyskiwanie należności
- Kompetentna obsługa osób zadłużonych

www.getbacksa.pl



Bez Macrona

*W 2015 r. PiS podjęło decyzję
o prowadzeniu polityki moralnego
delegitymizowania wszystkich,
jakkolwiek związanych z PRL.
Dziś zbiera jej gorzkie,
a SLD – słodkie owoce*

wicy
ycznej

Fot. Julia Szewczyk

Sondażowe odrodzenie SLD (od dłuższego czasu nie ma badania, które nie dawałoby tej partii mandatów w Sejmie; gdzieś tam odnotowuje ono już wynik dwucyfrowy) może szokować, bo przecież przyzwyczajaliśmy się już do wizji post-PZPR-owców przebitych osinowym kolkiem i złożonych do grobu. Co więcej, nie ma oczywiście pewności, że ten trend się utrzyma. Ale gdyby się utrzymał, nie byłoby to nieelocjne. A to z kilku powodów.

Po pierwsze, dziś renesans Sojuszu nas zdumiewa, ale gdybyśmy się cofnęli do lat 90., a choćby tylko do pierwszych lat dwutysięcznych, i gdyby na to, co teraz uznajemy za zdumiewający fenomen, spojrzeli ówcześni analitycy, to nie zdziwiliby się zupełnie. Wręcz przeciwnie. To, co obecnie się dzieje, byłoby potwierdzeniem dominującego wśród nich poglądu głoszącego, że kiedy ugrupowania postsolidarnościowe z sobą walczą, postkomuniści idą do góry. Wtedy wręcz w takich okolicznościach zdobywali oni władzę, tak jak w 1993 r., w efekcie „wojny na górze”, i w 2001 r. jako rezultat najpierw wojny wewnątrz koalicji AWS-UW, a potem – konfliktów rozmaitych AWS-owskich koterii.

W 2007 r. ten efekt się nie powtórzył – za blisko było do totalnej kompromitacji formacji SLD-owskiej w okresie afery Rywina i niemal demonstracyjnego skorumpowania czasów rządów Millera oraz Belki. Potem cały potencjał polsko-polskiej nienawiści zaangażowała wojna PiS z Platformą. Dziś najwyraźniej część nastrojonych najbardziej niechętnie do Prawa i Sprawiedliwości, tych, którzy niegdyś pozostawali w strefie oddziaływania Sojuszu, zaczyna do niego wracać.

Dlaczego?

MAZGULA CZY WYKŁĘCI?

Tu znów muszę wrócić do określenia, którego dwa akapity wyżej użyłem wobec Platformy. Określenia „partia solidarnościowa”, które zastosowane w kontekście PO może wywołać, sądzę, niechęć pewnej części czytelników „Sieci”. Niemniej, choć Platforma już dawno zawarła sojusz z elitami III RP, w tym tymi o PRL-owskim rodowodzie (więcej, w okresie swoich rządów w ja-



PIOTR SKWIECIŃSKI

kiejś mierze zaczęła się z nimi zrastać), pozostała partią o rodowodzie solidarnościowym. A zarazem, mimo prowadzenia po 2011 r. polityki appeasementu wobec kulturowej lewicy i łagodzenia liberalnych kantów w swojej filozofii gospodarczej, zachowała silne cechy ugrupowania centrowego.

Zachnie się tu wielu czytelników postrzegających Platformę (czy szerzej, liberalną opozycję) przez pryzmat symbolicznego pułkownika Mazguły. Ale ta część społeczeństwa, która jest najbardziej emocjonalnie związana z PRL, postrzega ją inaczej. Przez pryzmat ustanowienia przez prezydenta Komorowskiego (tak, przez niego) Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Przez pryzmat ustawy z 2009 r., odbierającej funkcjonariuszom służb specjalnych tę część ich emerytalnych przywilejów, którą wypracowali w okresie PRL (późniejsza ustawa pisowska odebrała im to, co platformerska im zostawiła, czyli przywileje wypracowane już w okresie III RP). Wreszcie – przez pryzmat głosowania przez PO za ustawą degradacyjną, która wyraźnie odegrała rolę przepełniającej czarę kropli. Bo choć bezpośrednio dotyczyła jedynie bardzo niewielu, pośrednio – prestiżowo – uderzała dotkliwie w całe ogromne środowiska. I nie tylko prestiżowo, bo „skoro dziś robią to, to do czego mogą się posunąć za chwilę...?”

Z punktu widzenia tych środowisk Platforma była albo wręcz tylko mniejszym złem, albo po prostu wyłącznie obrońcą przed realizowaną przez prawicę moralną delegalizacją PRL. Obrońcą jednak dalekim od doskonałości, bo zbyt chwiejnym, zbyt centrystycznym, zbyt mało jednoznacznym, a przez to irytującym. Póki w miarę skutecznym, póty akceptowanym. Ale kiedy ów obrońca, nie rezygnując ze swojej dwuznaczności, stał się dodatkowo nieskuteczny... to minęły przy-

czyny, z jakich środowiska pro-PRL-owskie, z zaciśniętymi ustami i przez rozum, go popierały.

Przy czym kiedy piszę „środowiska pro-PRL-owskie”, nie rozumiem tego dosłownie. Nie mam na myśli ani wyłącznie, ani przede wszystkim tych, którzy przed rokiem 1989 byli zaangażowani po stronie ówczesnego reżimu. To rzeczywiście dziś już pokolenia schodzące.

Idzie mi raczej o ich dzieci i wnuki. Niezwiązane z PRL bezpośrednio i często nawet wobec niej krytyczne. Mające jednak zarazem niechętny stosunek do spychania przez państwową narrację ich ojców oraz dziadków do wizji wyłącznie pogardzanych najemników, realizujących w Polsce kolonialną władzę ZSRR. Bo można się zgodzić ze zdaniem, że dziadek czy ojciec błędził. Ale uznanie za państwowy dogmat, że ów dziadek czy ojciec nie tylko błędził, lecz również był łajdakiem, uruchamia już w synu czy wnuku inną dynamikę, inne emocje. I trudno się spodziewać czegoś innego. Zwłaszcza jeśli państwo zdaje się domagać, by ów wnuk czy syn jeszcze dodatkowo sam tę ocenę potwierdził. A w tę stronę w narastający sposób zdawała się zmierzać polityka symboliczna po 2015 r.

Warto tu przywołać nazwisko Antoniego Macierewicza. Warto choćby dlatego, że nadreprezentację wyborców tego rodzaju zawsze można było odnaleźć w środowiskach mundurowych. Rok 2015 na fali rozczerowania Platformą przyniósł tam zainteresowanie PiS jako czołową partią antyplatformerską, a na fali niechęci do platformerskiego demontowania państwa – zainteresowanie PiS jako ugrupowaniem propaństwowym. Charakterystyczne było pod tym względem ówczesne zwycięstwo tej partii w warszawskim Rembertowie – dzielnicy zdominowanej przez wojsko, instytucje i rodziny wojskowe, i dlatego przedtem z reguły głoszące antyprawicowo.

Przez moment zaistniały wtedy warunki do podjęcia próby jakiegoś strategicznego pogodzenia z polską prawicą – na fundamentach tych wspólnych intuicji – części przez dekady niecierpiących jej środowisk post-PRL-owskich. Prawo i Sprawiedliwość zdecydowało się prowadzić politykę inną, wykluczającą tego

rodzaju zbliżenie (był to zresztą element szerszego zjawiska – świadomego odpychania od formacji IV RP wszelkich grup czy społecznych sfer, dotąd tej partii nieprzychylnych, a w roku 2015 przez moment skłonnych do zrewidowania tej postawy). Dziś SLD zbiera słodkie, a PiS gorzkie owoce tej decyzji.

GENDER I UJAZDOWSKI

PiS zbiera też owoce swojej ewolucji światopoglądowej. W latach 2005–2007 było kulturowo bardziej niż dziś sięjsze ucentrowione. Pacyfikowanie ówczesnych prób zaostreżenia ustawy antyaborcyjnej przychodziło Kaczyńskiemu bez trudu. Obecnie jest inaczej. Prawo i Sprawiedliwość stało się ugrupowaniem znacznie bardziej katolickim i radykalnie konserwatywnym kulturowo. Dziś to jedyna sfera, w której klub stale grozi swojemu liderowi wierzgnięciem. Powoduje to atrofie zdolności tej partii do efektywnego unikania frontalnych starć, związanych z dylematami cywilizacyjnymi.

I w tej sferze – znów, dla ludzi o poglądach kulturowo progresywnych (a tacy przeważają na lewicy) Platforma była wyborem mniejszego zła. Pamiętamy flirty Kopacz z feminizmem, próby wprowadzenia w Polsce elementów polityki gender, konwencję przeciw przemocy. Pamiętamy otwarcie przez Hannę Gronkiewicz-Waltz drzwi ratusza przed środowiskami stołecznej kawiorowej lewicy. Ale dla samych tych środowisk znacznie ważniejsze są – nawet jeśli niejasne – zapowiedzi Grzegorza Schetyny dotyczące dbania o konserwatywne skrzydło PO. Znacznie ważniejsze jest dla nich – nade wszystko – niejednoznaczne zachowanie posłów Platformy w sprawie projektów zaostreżenia ustawy antyaborcyjnej. Wreszcie – przeforsowanie Kazimierza Ujazdowskiego na kandydata PO we Wrocławiu.

A środowiska lewicowe, nawet te niezwiązane korzeniami z PRL, nie są zarazem w ogromnej większości na nią uczulone. PRL-owski bagaż SLD, nawet jeśli nie budzi wśród nich entuzjazmu, nie przeszkadza na tyle, by

uniemożliwić poparcie Sojuszu. Generalnie trudno uciec przed tym, że realną tradycją polskiej lewicy nie jest szlachetna, ale mityczna już PPS, tylko PRL. Renesans SLD przypieczętował tę konstatację. Świadczy o tym niemożność przebicia przez partię Razem psychologicznej bariery 3 proc. w sondażach oraz całkowita nieobecność w tychże sondażach inicjatywy Barbary Nowackiej. To ugrupowania dalekie od siebie (pierwsze radykalne społecznie, drugie liberalne i lewicowe w zasadzie wyłącznie kulturowo), ale mające z sobą tyle wspólnego, że nie są post-PZPR-owskie w genecie.

Lewicowcy postrzegają liberalną opozycję nie przez pryzmat pułkownika Mazguły czy flirtów Kopacz z gender, tylko ustanowienia przez PO Święta Żołnierzy Wyklętych i niejasnego stanowiska w kwestii aborcji

BEZ FASCYNACJI

W renesansie SLD uderza coś jeszcze. Mianowicie to, że trudno uzasadnić ten fenomen jakąkolwiek szczególnie aktywnością podjętą przez Sojusz.

Owszem, SLD nie popełnił żadnego błędu. Utrzymał struktury poza największymi metropoliami (nigdy dość przypomniania, jak kluczowe to jest w polityce). Włodzimierz Czarzasty jest pracowity, skrupulatnie objeżdża teren. A od czasu, kiedy jeszcze w latach 90. w polityce zaistniał (najpierw jako działacz grupującego młodszą część intelektualnego zaplecza partii postkomunistycznej stowarzyszenia „Ordynacka”, potem jako wszechwładny, ustawiający rynek mediów, sekretarz Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji), nikomu nie zdarzyło się odmówić mu zręczności i inteligencji.

Ale zarazem, jeśli by nawiązać do ogłaszanego niedawno przez opozycyjnych publicystów kastingu na polskiego Macrona, trzeba by stwierdzić, że kto jak kto, ale Czarzasty Macronem nie jest. Nie ma za grosz charyzmy. I to nie tylko tej telewizyjnej czy wiecowej. Taki Schetyna nie ma jej również, niemniej przez cały okres swojej politycznej kariery był otoczony wianuszkami postaci, dla których był nie tylko rozdawcą łask, lecz i w jakiś sposób fascynującym liderem czy partnerem. Czarzasty nie fascynuje nikogo.

I nie dokonał przecież niczego spektakularnego. SLD nie wprowadził do publicznego dyskursu żadnego „swojego” tematu, niczym nie zabłysnął.

Co pokazuje, jak głębokie (choć zapewne zarazem limitowane w zasięgu) muszą być społeczne procesy, które w zasadzie same wyniosły tę partię ku odrodzeniu. Co nie znaczy oczywiście, aby była ona skazana na sukces. Jej renesans jest ograniczony (działające przeciw temu ugrupowaniu czynniki pokoleniowe odgrywają, jak się okazuje, mniejszą rolę, niż wydawało się dotąd, ale przecież jakąś odgrywają), a może okazać się krótkotrwałe. Ale jasne jest, że postawy lewicowe w Polsce istnieją i szukają pola do politycznej artykulacji. SLD wydaje się zyskiwać szansę stania się takim polem.

* * *

I jeszcze jedna, pozornie banalna, nauka wypływa z całej sprawy. Popularne powiedzenie głosi, że w polityce nigdy nie należy mówić „nigdy”. Łatwo powiedzieć, ale trudniej trzymać się tej zasady, bo bywają momenty, w których to „nigdy” narzuca się nawet analitykom, mniej niż wielu innych skłonnych do myślenia stadnego. Tak było również z postrzeganiem SLD jako bytu skazanego na zagładę. Sam rok temu nazwałem tę partię „umieralnią”. A okazało się, co się okazało. Składanie do grobu kogokolwiek, kto nawet się nie rusza, ale jeszcze całkiem nie zastygł, jest w polityce niesłychanie ryzykowne, choć często bardzo kuszące.

Ale m.in. właśnie dlatego obserwacja polityki jest czynnością tak fascynującą.

PeoPay, czyli pieniądze na dotyk

Nowoczesna aplikacja Banku Pekao S.A. oferuje wygodny dostęp do banku w telefonie, akceptacje przelewów i płatności odcinkiem palca

PeoPay to aplikacja pozwalająca autoryzować płatności przy użyciu biometrii, co jest bardzo wygodne, a dla ceniących sobie łatwe i szybkie zakupy w internecie – wręcz niezbędne. Odciskiem palca lub twarzy możemy się logować do systemu i autoryzować płatności.

PeoPay pozwoli też zapłacić w biegu telefonem, bez portfela i bez karty oraz telefonem wypłacić pieniądze z bankomatu. Te oraz wiele innych udogodnień mówią nam jedno: bank postawił przede wszystkim na wygodę. Zwłaszcza przy automatycznym płaceniu zbliżeniowym za granicą – niepotrzebny nam kantor, jeśli mamy środki na koncie walutowym, telefon zapłaci we właściwej walucie sam, bez naliczania dodatkowych opłat.

Nowy PeoPay został stworzony razem z klientami banku. Podczas badań poproszono ich, żeby pokazali, jakie funkcje aplikacji bankowości mobilnej są dla nich najważniejsze. Na nich się skoncentrowano i to te funkcje zostały dopracowane. Bank czerpał też inspirację z dotychczasowych rozwiązań, które spodobały się klientom, m.in. lekkiego serwisu mobilnego mPekao24 i płatności mobilnych PeoPay, a także karty wielowalutowej. – W rezultacie aplikacja ma dokładnie te funkcje, których klienci potrzebują – mówi Marek Tomczuk, wiceprezes zarządu Banku Pekao SA, odpowiedzialny za Pion Bankowości Detalicznej.

Za pomocą nowego PeoPay bankowanie, ale również płacenie w kraju i za granicą jest proste i szybkie.

Co wygodne, część operacji można zainicjować bez logowania, w szczególności włączając opcje szybkich płatności zapłacimy zbliżeniowo nawet bez uruchamiania aplikacji, jedynie odblokowując telefon i zbliżając

go do terminala. Po zalogowaniu się do PeoPay (można wybrać jedną z trzech metod logowania: odciskiem palca, czterocyfrowym PIN-em lub hasłem maskowanym) klient otrzymuje dostęp do prostego pulpitu, gdzie ma dostęp do trzech najważniejszych funkcji: salda rachunku, ostatnich transakcji i przelewów. Następnie może zobaczyć graficzne podsumowanie wydatków w miesiącu, podzielone na najpopularniejsze kategorie, m.in.: odzież i dodatki, rozrywkę i wypoczynek, transport, rachunki za czynsz i media czy zdrowie. Analiza jest łącznie dla wszystkich rachunków i kart.

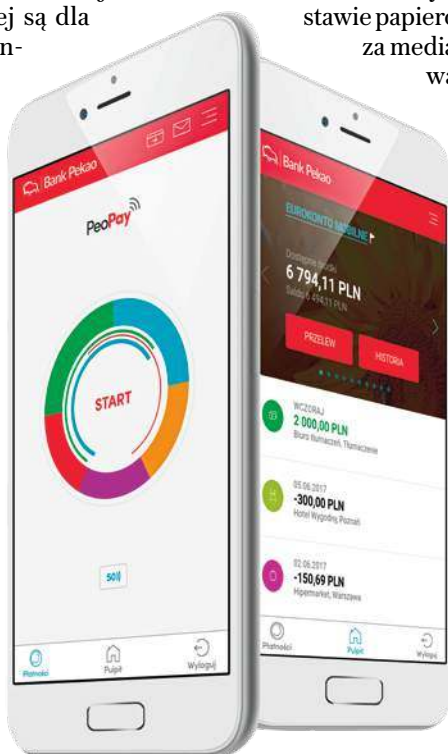
Dużym ułatwieniem dla klientów na pewno jest zaawansowana wyszukiwarka wykonanych transakcji. Wystarczy zacząć wpisywać potrzebną frazę, a system na bieżąco będzie podpowiadał najtrafniejsze wyniki z historii operacji.

Natomiast użytkownicy dokonujący przelewów na podstawie papierowego wydruku rachunku czy faktury, np. za media, docenią unikatową możliwość zeskanowania numeru rachunku bankowego do stawcy bez konieczności jego ręcznego przepisywania.

PeoPay umożliwia płatność za zakupy internetowe bezpośrednio w telefonie – bez podawania kodów czy konieczności logowania się do bankowości internetowej.

Nowa aplikacja PeoPay została stworzona w technologii hybrydowej, co pozwala ją ulepszać bez konieczności tworzenia nowych wersji. Aplikacja jest dostępna na telefony z systemami Android i iOS. Płatności zbliżeniowe są dostępne dla użytkowników smartfonów opartych na systemie Android.

Aplikacja jest dostępna zarówno dla klientów detalicznych, jak i mikrofirm mających telefon z iOS-em lub Androidem.





To, co stało się z Żydami,
to jest niemiecka historia.

Oni to zrobili! Polska
prasa, rząd muszą
o tym mówić, że to były
niemieckie obozy zagłady

*Jacek Karnowski rozmawia
z Edwardem Mosbergiem,
ocalonym z Holokaustu*

Fot. Andrzej Wiktór

Żyję dla prawdy

W zeszłym tygodniu spotkał się pan z premierem Mateuszem Morawieckim.

Edward Mosberg: To było bardzo przyjemne spotkanie. To bardzo miły człowiek. Opowiedziałem mu swoje życie, moją historię. Powiedziałem mu też moje zdanie na temat ustawy o IPN. Mówilem, że tym prawem zbudowano napięcie między Polską a całym światem. To powinno być zmienione, żeby był spokój.

Ale za pomocą tej ustawy Polska chciała walczyć z mowaniem o „polskich obozach śmierci”. To był jej główny i w zasadzie jedyny cel.

O tym od lat powinni mówić na świecie wasi prezydenci, wszyscy, i Kwaśniewski, i Komorowski. Nie było żadnych „polskich obozów zagłady”, to wszystko było niemieckie! Ta ustawa była niepotrzebna.

Jak premier zareagował na pana słowa?

Przyjął je do wiadomości. Spędził ze mną więcej czasu, niż to było zaplanowane. Tłumaczyłem panu premierowi, że należy z tego wyjść, coś z tym zrobić. W zamian trzeba jasno mówić, jak to było. Przypominać, że Niemcy prześladowali Żydów w latach 30. XX w., że już wtedy ich wypędzali, także do Polski, że w Polsce było największe skupisko Żydów w ca-

lej Europie. I trzeba też jasno mówić, że polskiego rządu w czasie wojny nie było w Polsce.

Czyli trzeba przypominać światu podstawowe fakty?

Oczywiście. Należy mówić, że gdy Niemcy napadli na Polskę w 1939 r., nie potrzebowali pytać nikogo o nic, że robili to, co chcieli. Było przecież tak, że wszystkie inne kraje europejskie współpracowały z Niemcami, zbierały swoich Żydów i posyłały ich do Polski, do tych niemieckich obozów zagłady. Nie można o to obwiniać Polski!

Dlaczego mimo to tę straszną zbrodnię przypisuje się Polakom, depcząc prawdę?

Nie wiem, kto oskarża, ja nie oskarżam. A ludzie, którzy otwierają usta i mówią różne głupoty, powinni trzymać język za zębami. A że byli polscy kolaboranci? Oni byli wrogami narodu polskiego. Była również żydowska policja, która współpracowała z Niemcami. Jako Żyd wstydę się tych ludzi, którzy pracowali z Niemcami. I naród polski powinien się wstydzić za tych Polaków, którzy pracowali z Niemcami, bo to byli wrogowie narodu polskiego. Taka jest prawda.

Taka jest prawda, ale świat o tym nie wie.

Na świecie nie wiedzą, że przed wojną Polska miała dwóch wrógów, nie tylko Niemców, lecz i Rosję. Nie wiedzą, że w sierpniu 1944 r. Ruscy przyszli nad Wisłę, stanęli i czekali, aż Niemcy wybiją powstańców. Byłem wtedy w obozie Mauthausen i pamiętam, jak przyszli do nas Polacy z tego powstania. Ludzie o tym dziś nie pamiętają. A to, co stało się z Żydami, to jest niemiecka historia. Oni to zrobili! Prasa, rząd muszą o tym mówić, że to były niemieckie obozy zagłady. To wszystko.

Jak o tych sprawach należy rozmawiać, żeby prawda zwyciężała?

Z Polski wyszedł papież Jan Paweł II. Ojciec Święty był specjalnym człowiekiem. On, papież, był przyjacielem Żydów. Dla jego świętej pamięci powinien Kościół uczyć ludzi, uczyć dzieci, przyjaźni między Żydami a nie-Żydami. Żydzi i nie-Żydzi pochodzą z tego samego źródła, z tego samego drzewka i powinniśmy się kochać jak bracia. I powiem panu też to o rodzinie Ulmów, która przechowywała ośmioro Żydów. Ktoś zdradził. Przyszli Niemcy, zabili tych Żydów, zabili państwo Ulmów, zabili ich sześciu dzieci. A ona była w ciąży. W moim pojęciu członkowie rodziny Ulmów powinni zostać świętymi.

Gdzie teraz pan mieszka?

W Stanach Zjednoczonych. Ale przyjeżdżam do Polski co roku. Osobiście nie widzę tutaj żadnego antysemityzmu.

Pięknie pan mówi po polsku.

Całe moje życie mówiłem po polsku. W domu też. Moja żona jest z Krakowa. Moje dzieci mówią po polsku. A wyjechałem z Polski w 1947 r.

Przyjeżdżam do Polski co roku.
Osobiście nie widzę tutaj
żadnego antysemityzmu

Był pan więźniem niemieckich obozów.

Gdy wojna wybuchła, miałem 13 lat. Niemal całą wojnę spędziłem w obozach. W czasie Holokaustu straciłem całą rodzinę: rodziców, dwie siostry, dziadków, wujostwo, kuzynostwo. Wszyscy zostali zamordowani. Poza mną cała reszta została zamordowana przez Niemców w niemieckich obozach zagłady. Siostry w Stutthofie.

Pan jeden przeżył z całej rodziny?

Ja jeden zostałem. Często pytają, czy to cud. To nie było tak, że jeden był mądrzejszy od drugiego. Po prostu jeden miał dużo szczęścia, inny mniej. Moja żona też przeżyła obozy, jeszcze gorzej niż ja. Na pewno nigdy się nie poddałem, zawsze chciałem żyć. W obozie w Płaszowie pracowałem w biurze komendanta Amona Goetha. Widziałem, jak zabijał ludzi.

Jak wspomina pan przedwojenną Polskę?

Mieszkalem w Krakowie przy ul. Sarego, a moja żona pod samym Wawelem. Przed wojną nie wiedziałem, co to jest antysemityzm. To znaczy o tym słyszałem, ale nigdy tego nie odczułem. Nikt nikogo nie zabijał.

A potem przyszli Niemcy i zrobili to, co zrobili. Skąd wzięło się to zło?

Wszyscy Niemcy byli na jedno kopyto. A skąd to się wzięło? Trudno na to odpowiedzieć. Moje zdanie jest takie: po pierwszej wojnie Niemcy byli w biedzie. Hitler przyszedł do władzy i pozabierał wszystkie majątki Żydom. W czasie wojny Żydom z innych krajów też wszystko zabierano. To też o to chodziło.

Jakie jest pana przesłanie dla kolejnych pokoleń?

Nie wolno kłamać. Trzeba mówić prawdę. Na przykład o Jedwabnem. Mówią, że tam zabito tysiąc, dwa tysiące. Tak nie wolno. Nie wiemy ilu. Więc mówię: „grupa Żydów” została tam zabita. Nie wolno powiedzieć czegoś, jeśli się tego nie wie.

Przyjeżdża pan do Polski co roku. To jest pana wewnętrzna potrzeba?

Straciłem tu całą rodzinę. Jak idę po Krakowie, gdziekolwiek idę, to sobie przypominam: tu siedziałem przy stole z moim ojcem, tu z moją matką, a tam z moimi siostrami.

Jak pan zdołał po czymś takim odbudować swoje życie?

Bardzo ciężko pracowałem całe życie. Moim celem jest teraz dbanie o to, by nie zapomnieć. By był spokój między Polską a Żydami w Izraelu. Bo niektórym się zdaje, że wszystko wiedzą. Nie wolno mówić kłamstw, nie wolno oskarżać, trzeba mówić tylko prawdę. Żyję dla prawdy. Przeszedłem cztery operacje na raka, ale wciąż dla niej żyję.

Według „Ucha Prezesa” jestem na odwyku od polityki, i to już po trzecim etapie. Polityka to nie jest hobby. To jest zawód. Wykonywałam ten zawód przez 20 lat. Trudno więc machnąć ręką na ten czas

Z Elżbietą Jakubiak
rozmawia Dorota Łosiewicz

Ogródek

nie jest najważniejszy

Symboliczny widok ma pani z okna swojego biura. Widują się czasem państwo z Janem Oldakowskim?

Elżbieta Jakubiak: Przeszkodą często bywa czas. Za to widok... faktycznie okna mojego biura wychodzą wprost na wielkie dzieło Lecha Kaczyńskiego, czyli Muzeum Powstania Warszawskiego. Widzę też poświęconą mu tablicę pamiątkową i taras, który prezydent Kaczyński bardzo lubił. Wczesną wiosną miał zwyczaj wpadać do MPW,

umawiał się tu z różnymi osobami. I spacerował ze swoimi gośćmi po tym tarasie. To miejsce to był też namacalny efekt tego, jak miasta zmieniają się przez inwestycje publiczne. Moje życie pełne jest ironii i ten widok to jedna z nich. Gdy przyszłam do pracy w banku, czułam, że mam go za plecami.

Chodząc po tarasie Prezydent planował budowę Muzeum Sztuki Nowoczesnej, widok na zdegradowaną, postindustrialną Wolę zachęcał do wkraczania

z publicznymi inwestycjami. Tu były tylko stare fabryki im. Róży Luksemburg, Kasprzaka i ul. Karolkowa ze swoją historią. Prezydent lubił Warszawę i nie akceptował antywarszawskości przede wszystkim ze względu na jej historię.

Był dla pani aż tak ważny?

Gdy się poznaliśmy, byłam młodą osobą, pracowałam w polskim parlamencie. On przyciągał do siebie ludzi

jak magnes. Był ważnym człowiekiem sfery publicznej, a jednocześnie zwyczajnym niezwykle otwartym i miłym profesorem prawa. Cieszę się, że mogłam towarzyszyć Lechowi Kaczyńskiemu w kilkunastu latach kariery zawodowej. Byłam częścią zawodowego życia polityka, który odcisnął niebywale piętno na życiu Polaków i wielu swoich współpracowników. Pokazał klasę jako polityk i człowiek. Z perspektywy lat widać coraz wyraźniej, jak znakomitym był prezydentem stolicy, jak wielkim był prezydentem kraju. Wykraczał znacznie poza to, czego oczekuje się od urzędnika ratusza czy prezydenta kraju. Lech Kaczyński myślał szeroko, wybiegał myślą daleko, prowadził wiele spraw i rozmów, które wykraczały bardzo poza sposób myślenia ówczesnych elit europejskich. Zajmował się polityką międzynarodową, ale też kulturą, nauką, edukacją historyczną, prawem międzynarodowym. Intensywności jego kontaktów i prowadzonych spraw nie da się porównać do niczego, co się wydarzyło w polityce przez osiem lat jego nieobecności. Z perspektywy widać wyraźniej. Pozostawił po sobie wiele projektów politycznych, ale także tych, które możemy zobaczyć, żyjąc w stolicy: Muzeum Powstania Warszawskiego, Centrum Kopernik, Muzeum Historii Żydów Polskich, przebudowane Krakowskie Przedmieście i wielki Fundusz Stypendialny Miasta Stołecznego Warszawy, Centrum Myśli JPII. Mówię, o tym, bo prezydenta nie ma, a jest wielu, którzy przywłaszczają sobie te projekty. Lech Kaczyński budował instytucje, które przetrwały i dają świadectwo pasji, z jaką rządził Warszawą. Ironią jest też sytuacja, w której instytucja powołana przez prezydenta nie wymienia nawet nazwiska Lecha Kaczyńskiego na swojej oficjalnej stronie. Szkoda, bo on przeforował niechęć wielu polityków wobec tej inwestycji i podjął wszystkie decyzje. Pokazał, że Warszawa pamięta o wszystkich swoich bohaterach. Pusty przez prawie 70 lat plac wokół pomnika nie najlepiej opowiadał historię siedmiu wieków historii Żydów polskich.

Dziś wielu polityków twierdzi, że są spadkobiercami spuścizny Lecha Kaczyńskiego.

Gdyby odwoływano się w dobrych intencjach do myśli politycznej prezydenta, to oczywiście należy to robić. Czytałam ciekawe prace magisterskie odnoszące się do polityki wschodniej Lecha Kaczyńskiego. Jego wystąpienia i wywiady są dzisiaj lepiej rozumiane, ale brakuje biografii politycznej Lecha Kaczyńskiego.

A brakuje pani życia politycznego?

Kiedyś, kilka miesięcy przed śmiercią, prezydent w żartach powiedział, że gdyby go zabrakło, to byłoby po nas. I był tu prorokiem, bo nie mieliśmy wielu politycznych przyjaciół. Często mówiono o nas, że w polityce wzięliśmy się znikąd czy też z protekcji Lecha. To nie była prawda. Wszyscy zaczęliśmy zawodowe życie wraz z wolną Polską. Mieliśmy doświadczenie pełnienia urzędów publicznych, zarządzania dużymi organizacjami, prowadzenia projektów, budowaliśmy polskie instytucje. Ale oczywiście wejście do stołecznego ratusza i do Pałacu Prezydenckiego jest czymś zupełnie innym. To jedyne takie miejsce, gdzie nie można się nauczyć pracy od poprzednika, bo od kogo ja miałam się uczyć, jak być szefem Gabinetu Prezydenta RP: Od Wachowskiego, od Ungiera? Musiałam zbudować ten wysoki urząd sama. Lech Kaczyński otworzył nam drogę do wielkiego świata, z drugiej strony – my mu chcieliśmy w tej drodze towarzyszyć ze wszystkimi swoimi zdolnościami. Czuliśmy, że to zaszczyt i to nie jest tylko moje przekonanie. Kiedy prezydent powołał nas na stanowiska dyrektorów w ratuszu, czy ministrów w kancelarii odczuwaliśmy „specjalność” tej pracy. Musieliśmy popełniać błędy jak wszyscy ludzie na świecie, ale to był wyjątkowy czas „grania o części niezamienne”.

A jakie to były błędy?

Być może nie docenialiśmy komponentu politycznego, fali zła, które gdzieś czyhało. Prezydent zawsze działał w oku cyklonu – tak było w Warszawie i później. Na zewnątrz, w polityce międzynarodowej widziałam to, ale w polityce wewnętrznej nie szukałam

i nie odczuwałam zagrożenia dla prezydenta. Otoczenie opozycyjnej partii było słabe, bez przywódcy. Donald Tusk w tym czasie nie miał koncepcji, raczej leczył rany po przegranej. Druga rzecz, której żałuję, to fakt, że śmierć Lecha Kaczyńskiego nie pozwoliła dokończyć projektów, które przesunęłyby nasz kraj w inne miejsce. Prezydent budował mocny i nowoczesny świat dla Polaków. Chciał uzyskać dla Polski pozycję, która pozwoli zapewnić bezpieczeństwo obywatelom na kolejnych 50-100 lat. A my mu pomagaliśmy w tym wielkim projekcie.

Emocjonalnie opowiada pani o przeszłości. Rozumiem więc, że odpowiedź na pytanie, czy brakuje pani polityki, nie jest wcale taka oczywista?

Według „Ucha Prezesa” jestem na odwyku od polityki, i to już po trzecim etapie [śmiech]. Polityka, to nie jest hobby. To jest zawód. Wykonywałam ten zawód przez 20 lat. Trudno więc machnąć ręką na ten czas. Polityka to podejmowanie decyzji czy doradzanie, jak współpracować z samorządami albo czy finansować inwestycje infrastrukturalne. Polityka to umiejętność przeprowadzania dużych projektów i zmian. To, co dziś bardzo mi się przydaje w pracy, a co wyniosłam z polityki, to brak strachu przed odpowiedzialnością. Ludzie często boją się odpowiedzialności, ja nie. W polityce trzeba być egoistą, nie tłumaczyć się, umieć wykorzystywać otoczenie, umieć tworzyć instytucje. To lubię i to mi pomaga w pracy poza polityką. Wracając do tematu życia poza polityką. Ci, którzy z niej odeszli, robią swoje. Ja z jednej strony dzięki odejściu z polityki zyskałam wolność i trochę prywatności. Pracowałam na prowincji w małych projektach, zobaczyłam dobre życie małych miast i ich potrzeby. Pracowałam z wielkimi firmami i widziałam, jak administracja może ubarwiać życie inwestorom. Strach przed podejmowaniem decyzji to jest choroba polskiego systemu. Myślę o tamtych czasach z satysfakcją.

Dlaczego?

Jako polityk odniosłam dwa wielkie sukcesy. To był zakup Rafinerii

Możejki dla Orlenu. To było kupienie bezpieczeństwa Polski i kraju sąsiedniego. Projekt przeprowadził oczywiście prezydent, ale my mieliśmy tam duże role do odegrania. To był projekt mojego życia. Wymagał szerokiego zrozumienia, czym jest bezpieczeństwo państwa i jego sąsiadów, bezpieczeństwo Europy Środkowej, że nie liczy się własne tu i teraz oraz czubek własnego nosa. Drugi projekt to budowa Stadionu Narodowego i organizacja wielkiej europejskiej imprezy. Gdybyśmy nie sprostali wyzwaniu, byłibyśmy w innym miejscu. Ten projekt wydawał się wtedy nie do zrealizowania. Podsumowując: nie przebiegam nogami, żeby wrócić do polityki, bo mam swoje miejsce poza nią, ale nie chcę, żeby ktoś myślał, że byłam w polityce przypadkiem. Wszystko robiłam świadomie i wiedziałam, w jakiej grze uczestniczę.

W „Uchu Prezesa” to ogródek jest dla pani najważniejszy...

Ogródek nie jest najważniejszy. Daje mi tylko wytchnienie. Moja powierzchowna łagodność bywa interpretowana jako polityczna słabość. A ja nigdy nie byłam słaba. Poziom ryzyka, który brałam na siebie, był niezwykle wysoki. Generalnie swoje zrobiłam, oczekuję teraz bohaterów, którzy zrobią swoje. Czekam z utęsknieniem wielkich inwestycji czy wielkich zakupów, takich z dużym znaczeniem dla przyszłości Polski. Przecież do czasu Euro 2012 nie było w Polsce tematu prowadzenia wielkich inwestycji publicznych. To był synonim ciągnącej się latami beznadziei, fuszerki i traconych pieniędzy.

Czego by się pani spodziewała w tej materii po obozie rządzącym?

Jest kilka projektów kluczowych dla Polski, które zmieniłyby ją na dziesięciolecie, np. elektrownia atomowa czy doprowadzenie do żeglowności polskich rzek. Najważniejszy dla mnie jest jednak Centralny Port Komunikacyjny. Ten projekt trzeba prowadzić tak, by ludzie na bieżąco wiedzieli, co się w sprawie dzieje. Żeby się zaangażowali. To projekt historyczny, który wykorzystuje wszystkie nasze potencjały



Fot. Andrzej Wiktor

i szanse. Mamy teraz nasz czas na rozwój. To krótki moment na wielki skok cywilizacyjny. On jest właśnie teraz. Tak jak prezydentura Lecha Kaczyńskiego. To było pięć minut dla Europy Środkowej i Wschodniej. On pokazał, że Europa Środkowa i Wschodnia istnieją i są ważne dla całości kontynentu. Tak samo teraz jest w infrastrukturze, jest okienko na inwestycje, a przez takie inwestycje wzrasta siła państwa, to zaś się przekłada na jego znaczenie na arenie międzynarodowej. Trzeba mieć solidne podstawy, żeby w polityce i dyplomacji mówić: „reprezentuję 39 mln ludzi, kraj, który zajmuje wysokie miejsce w rankingu OECD, mamy swoją myśl polityczną i chcemy ją przeforsować”. To jest zasadnicza różnica w myśleniu mojego środowiska a kolegów z konkurencyjnej PO. Oni uważali, że można inaczej. Czyli porzucić rozwój kraju na rzecz wspinania się mykami przez meandry salonowych korytarzy, koalicji, danin. To tak nie działa. Państwo dobrze rządzone, ze stabilnym systemem politycznym pozwala stawiać swoje priorytety na agendzie międzynarodowej.

A tak się nie dzieje?

Mamy teraz trudny moment dla rządzących. Premier jest politykiem niedocenianym, bo jeszcze nie zagrał

ostro z konkurentami wewnętrznymi. A w naszej polityce to daje siłę. A on ma politykę we krwi, nazywa się Morawiecki.

Musi mieć swój projekt. Premier powinien też obejrzeć rozmowę Tony'ego Blaira z królową Elżbietą w filmie „Królowa”. Królowa odpytuje premiera z różnych projektów i w pewnym momencie pyta go o szkoły. Dla polskiego polityka to pytanie niezrozumiałe, dla Brytyjczyka to podstawa. „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie” – wiedział Jan Zamoyski. A szkoły przeszły reformę i co dalej? To pytanie do premiera: czy dzieci z Pułtusza czy Płońska dostaną się do liceum Reytana czy Batorego? Czy mogą o tym myśleć, kończąc podstawówkę na prowincji? Czy premier wie, że marzeniem matki na prowincji jest to, żeby dzieci skończyły dobre liceum, żeby miały szansę dotknąć elitarności? Reforma powinna być po to, żeby dzieci miały wyrównany start. PiS walczyło kiedyś o to, by nie likwidować małych szkół, żeby nie dochodziło do degradacji społeczności lokalnych. Chciałabym, żeby premier interesował się dziś tym, jak są finansowane małe szkoły. Czy są w stanie zapłacić za dobrego nauczyciela, pracownię fizyczne, uczyć angielskiego od pierwszej klasy itd. Czy może

Elżbieta Jakubiak – minister sportu i turystyki w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, w latach 2005–2007 szefowa Gabinetu Prezydenta RP i sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP, posłanka na Sejm VI kadencji. Dzisiaj pracuje w instytucji finansowej

POWSTANIE W GETCIE WARSZAWA 1943



ODWAŻNI NA SZLAKU MACHABEUSZY

75. rocznica powstania w getcie warszawskim

W założonym przez Niemców w 1940 roku getcie warszawskim znalazło się blisko pół miliona Żydów, którzy musieli toczyć codzienną walkę o przetrwanie w nieludzkich warunkach. W lipcu 1942 roku rozpoczęła się likwidacja getta, z którego do komór gazowych w Treblince wywieziono 250 tysięcy osób. W kwietniu 1943 r. pozostali w getcie Żydzi, wzorem walecznych Machabeuszów z okresu starożytnego Izraela, chwycili za broń. Kilkuset bojowników z Żydowskiej Organizacji Bojowej i Żydowskiego Związku Wojskowego podjęło heroiczną, jednak pozbawioną szans na zwycięstwo walkę.

Ciężko doświadczeni przez okupantów Polacy nie byli w stanie powstrzymać niemieckich zbrodni. Nie brakowało jednak osób decydujących się na niesienie pomocy prześladowanym. Rada Pomocy Żydom „Żegota” – organizacja działająca w ramach Polskiego Państwa Podziemnego – pomagała przetrwać Żydom, którym udało się wydostać z piekła, jakim było getto.

Instytut Pamięci Narodowej wzywa wszystkich do oddania hołdu żydowskim bohaterom walczącym w getcie warszawskim. Niech ich ofiara, złożona siedemdziesiąt pięć lat temu, pozostanie na zawsze w naszej pamięci!

bieda samorządowa (nie myślę tylko o pieniądzach, ale też o priorytetach) przekłada się na szkoły? A jeśli tak, to czy nie mamy do czynienia z degradowaniem państwa? Państwo tworzą ludzie, to o nich trzeba dbać.

Pani tu o wielkich projektach, a rząd ma zadyszkę.

Niech więc dalej kontynuują temat nagród. Beata Szydło sejmowym wystąpieniem wyniosła ten temat na pierwsze strony gazet. Opozycja nie mając własnej agendy wykorzysta ten fakt. Jeśli kwestia pieniędzy nie zostanie szybko ucięta, sondaże będą leciały na łeb na szyję. Taka jest natura ludzi, że lubią liczyć politykom pieniądze. Trzeba pokazać, jak się wypracowuje pieniądze dla Polski i dla Polaków. Uszczelnianie systemu podatkowego to wynik determinacji polityków. No, chyba że ktoś chce znów trafić w ławy opozycji, a to będzie bolesne doświadczenie. Niech politycy PiS każdego dnia stają przed lustrem i odpowiadają sobie na pytanie, czy znów chcą siedzieć w tych ławach. Jeśli nie chcą, to wracamy punkt wyżej. O dużych projektach trzeba mówić prostym językiem. 500+ było ważne nie tylko dlatego, że poprawiło życie ludzi, lecz dlatego, że władza pokazała, że można mieć projekt i wprowadzić go w życie.

W obozie władzy słychać wyraźne tarcie, i to na wielu płaszczyznach.

Bardzo źle, że konflikt jest tak silny, że obywatele widzą go w telewizji. Jest teoria samospełniających się przepowiedni. W stadzie musi być jasne, kto jest wilkiem, który idzie na czele, kto idzie w środku, a kto na końcu. Od wilków trzeba się uczyć. Środowisko musi rozumieć, że jak konflikt zajdzie za daleko, to stado się rozpadnie. Dlatego co rano politycy powinni się zastanawiać nad tym, co myślą ich koledzy z opozycji i czy na pewno chcą się z nimi zamienić. Teraz rząd musi wykreować projekt podobny do 500+, ale nie w tym sensie, że znowu komuś się coś da, tylko musi być nowa idea, która pociągnie, uwiedzie ludzi. Li-

czyłam, że to będzie Centralny Port Lotniczy. To może być marzenie Polaków, ludzie chcą się tym interesować, potrzebują wizji, wiedzieć jak będzie za parę lat wyglądała Polska. Elektromobilność to za mało, to jest za daleko od ludzi. Na prowincji, tam gdzie jest duża część naszego elektoratu, ten pomysł można między bajki włożyć. Trzeba zrobić przegląd programu i wybrać projekty. Pamiętam projekt

Teraz rząd musi wykreować projekt podobny do 500+, ale nie w tym sensie, że znowu komuś się coś da, tylko w tym sensie, że to musi być nowa idea, która pociągnie, uwiedzie ludzi

gospodarstw rodzinnych dotyczący ludzi młodych na wsiach, a na razie ziemia jest w agencjach i latyfundiach. Mieszkania+ na wsiach nie będzie, a 30 proc. ludzi będzie mieszkać na wsi i w małych miastach. Jest dużo dobrych projektów, które mogłabym wymienić.

Z czego, pani zdaniem, wynikają obecne spory w PiS? Może zaczęła się walka o schedę po przezie partii?

Może, ale jeśli tak, to ci, którzy walczą, w ogóle nie znają swojego szefa. On się nigdzie nie wybiera. W jednym z wywiadów Jarosław Kaczyński powiedział, że największe projekty Schuman i Adenauer zrobili po 80. roku życia. A prezes PiS nie ma nawet 70 lat. Czekanie uszlachetnia. Kaczyński jest zwornikiem wielkiego środowiska. To on doprowadził do politycznej sytuacji, w której w ramach jednego obozu współpracują różne grupy. Nikt inny nie zagwarantuje jedności tego obozu. A dla Polski lepiej, że wykształcił się klarowny dwubiegunowy system polityczny. Coś na kształt systemu amerykań-

kańskiego. Jestem przekonana, że dwubiegunowa stabilna scena polityczna pozwala się Polsce rozwijać. Partnerzy z Zachodu wiedzą, z kim rozmawiać po jednej i po drugiej stronie. Ponowne rozdrobnienie zahamuje rozwój kraju. Mam nadzieję, że politycy po obu stronach to widzą.

Jesteśmy osiem lat po katastrofie smoleńskiej. Ma pani poczucie, że wie pani dużo więcej niż osiem lat temu?

Niestety nie padły kluczowe pytania o to, kto mógł zyskać na śmierci Lecha Kaczyńskiego. Nie powstało tu żadne całościowe opracowanie politologiczne. Nikt nie pokusił się o odpowiedź na pytanie, co takiego wydarzyło się w wielkiej polityce międzynarodowej, gdy Polska przestała w niej grać? Scenariusz, który prezydent Kaczyński roztoczył w Gruzji, niestety się spełnia. On miał doskonałą intuicję. Rozumiał politykę międzynarodową, wiedział, jak bardzo agresywna jest polityka wschodnich sąsiadów wobec Polski i środkowej Europy, jak blokowano w Bukareszcie MAP dla Gruzji czy Ukrainy. Brakuje dziś projektów, które chroniłyby Europę Środkową i Wschodnią. Politycy powinni sobie wypisać na kalendarzach, co to jest polska racja stanu – „nie być krajem flankowym”. Zbudować przeciwwagę dla stumilionowego sąsiada z jednej i z drugiej strony. Wciągnięcie Ukrainy w obszar bezpieczeństwa ekonomicznego, militarnego to polska racja stanu. Musimy wypowiadać głośno, co oznacza dla nas racja stanu, czasem ryzykując konflikt Polski z UE. To jeszcze żadna katastrofa. Konflikt jest czasem potrzebny po to, żeby wyjść z roli żółtodzioba, którego się przepycha do ostatniej ławki. Mamy własne projekty polityczne, a konflikty kreuje się czasem celowo. Francja nieustannie tworzy takie konflikty, żeby chronić swoje interesy. Dokładnie to samo robią Niemcy. Konflikt trzeba oczywiście kontrolować i mieć co oddać bez żalu w ramach kompromisu. Ten typ negocjacji zawiera element „handlu szmatami” i trzeba mieć te szmaty (to z żargonu dyplomatów).

SIECI

*8 lat
po Smoleńsku*
**NARESZCIE
POMNIK**

Tomasz
MERTA

Andrzej
PRZEWOŹNIK

bp gen. dyw
Tadeusz
PŁOSKI

generał broni
Bronisław
KWIATKOWSKI

Maciej
PŁAŻYŃSKI

Janusz
KURTYKA

Arkadiusz
RYBICKI

Sebastian
KARPINIUK

Poczucie ulgi i spełnienia dominowało wśród Polaków uczestniczących w ceremonii odsłonięcia pomnika Ofiar Tragedii Smoleńskiej w Warszawie. – Nie tłum, ale Naród, tak na nas mówicie, – zaznaczali dumni obywatele, którzy wywalczyli ten wykuty w marmurze symbol pamięci, przez osiem lat uczestnicząc w miesięcznicach. To ich zwycięstwo



Fot. Prata

Słodko-gorzka rocznica



MARCIN WIKŁO

Osiem lat temu było chłodniej – mówi mi mężczyzna, z którym rozmawiam na pl. Piłsudskiego w Warszawie w ósmą rocznicę katastrofy smoleńskiej. Rzeczywiście, pamiętam to dokładnie. Jaka była temperatura, gdzie wtedy byłem, kto poinformował mnie, że „coś niedobrego stało się z samolotem”, co pomyślałem, gdy dotarło do mnie, że wszyscy zginęli, i co robiłem w kolejnych godzinach. To niesamowite, jakie szczegóły zapadają człowiekowi w pamięć, gdy jest świad-

kiem ważnych wydarzeń. Kolejne osoby, z którymi rozmawiam, wspominają, że ten sobotni poranek 10 kwietnia 2010 r. mogą porównać tylko do 2 kwietnia 2005 r., gdy dotarła do nas wieść, że Jan Paweł II „powrócił do domu Ojca”. Inieco późniejszy czas wspólnoty, specyficznej, bo spowodowanej żałobą, też był podobny w obu tych przypadkach.

Prezydent Andrzej Duda mówi wprost, że coroczne spotkanie z Martą Kaczyńską i jej córkami na Wawelu rano 10 kwietnia to rytuał, który jest dla niego ważny. Po dziewczynkach, Ewie i Martynie, widać upływ czasu. Osiem lat temu to były naprawdę małe dzieci, teraz to nastolatki. Najpierw zawsze jest msza św. w krypcie św. Leonarda, tuż przy grobach Jana III Sobieskiego, Tadeusza Kościuszki czy gen. Władysława Sikorskiego. Później przejście do krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów.

Kwiaty na sarkofagu marszałka Józefa Piłsudskiego i czas na to, by pomodlić się przy grobie Marii i Lecha Kaczyńskich. „Wiadomo, że czas leczy rany, i wiadomo, że co roku to uczucie i spojrzenie jest nieco inne, ale żal pozostał, pozostaje i na pewno będzie” – mówił prezydent Andrzej Duda dziennikarzom po zakończeniu kameralnej uroczystości. Szczególnie zależało mu na tym, by podkreślić, że wspominając prezydenta Lecha Kaczyńskiego, nie zapomina o innych ofiarach tej tragedii.

„Tamtego dnia odeszło bardzo wielu ludzi, którzy byli skarbem dla Polski, którzy byli wielką nadzieją dla polskiej polityki i polskiego życia publicznego. To jest taka wyrwa, której nikt nie potrafi naprawić. Odeszli, a przecież Polska mogła tak wiele zyskać dzięki nim. Mówię tutaj o ludziach ze wszystkich stron sceny politycznej, którzy razem

wtedy polecili, by złożyć hołd polskim oficerom pomordowanym w Katyniu. Polecili z patriotyczną misją i zginęli na służbie ojczyźnie. Wieczna pamięć i smutek, że odeszło tak wielu dobrych ludzi, polskich patriotów” – mówił prezydent.

O wyrwie, jaką w jej rodzinie uczyniła katastrofa, mówiła także w ubiegłym tygodniu w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” Marta Kaczyńska: „Widzę, jak bardzo moim córkom brakuje dziadków. To jest wyrwa. Nasza rodzina jest okrętem, który płynie, ale jest przechylony”.

10 kwietnia 2018 r. rano rozmawiałem z Andrzejem Melakiem, bratem śp. Stefana Melaka, przewodniczącego Komitetu Katyńskiego, który zginął w Smoleńsku. Zapytałem go, jakiego zachowania Polaków życzyłby sobie w ósmą rocznicę katastrofy. – Pamiętam skupienie, ból i autentyczną żalobę, które łączyły Polaków w pierwszych dniach po Smoleńsku. Powinniśmy wszyscy wykazać taki sam spokój, skupienie i powagę. Bez ekscesów, bez zakłócania. Rodziny zwracają się do wszystkich o to, by godnie upamiętnić naszych bliskich – mówił w „Kwadransie politycznym” w TVP.

Nie do końca to się udało, bo na obrzeżach pl. Piłsudskiego w Warszawie, gdzie odsłonięto pomnik ofiar 10/04, pojawiła się grupka krzykaczy, którzy protestowali przeciwko upamiętnieniu ofiar w takiej formie i w takim miejscu. Na transparentach pojawiły się także hasła polityczne, antyrządowe. Kamera telewizji wPolsce.pl zarejestrowała kuriozalną wypowiedź Mateusza Kijowskiego, który bagatelizował obraźliwe napisy, próbował za to wmówić dziennikarzom, że to on i jego grupa walczą o godność ofiar katastrofy, nie zgadzając się na odsłonięcie pomnika. To był jednak margines uroczystości, dosłownie i mentalnie. Rocznicą przebiegła godnie i w duchu zgody, o którą apelowały rodziny ofiar. Na własne życzenie z tej wspólnoty wykluczili się politycy opozycji, choć pomnik upamiętnia także ich przysiaci.

Paweł Kurtyka, syn śp. Janusza Kurtyki, prezesa IPN, dla telewizji

wPolsce.pl: „Jestem przeciwnikiem mówienia 10 kwietnia o tym, o czym można mówić w każdy inny dzień. O przyczynach katastrofy, o konflikcie wokół Smoleńska czy projekcie pomnika. Skupmy się na wspomnieniach”.

Te słowa trafiły do osób zgromadzonych na pl. Piłsudskiego. Choć wydawało się to niemożliwe, można było momentami poczuć rzeczywiście taką wspólnotę jak tuż po katastrofie. Tylko teraz opartą już nie na rozpacz i żalobie, lecz raczej radosnym wspomnieniu dorobku życia tych, których pomnik wreszcie stanął w godnym miejscu w centrum Warszawy. Jednoczące było również poczucie ulgi i spełnienia, bo ten pomnik nie został podarowany,

„Dziękuję, że także i ten pomnik wychodziliście, maszerując przez osiem lat ulicami Warszawy i innych miast. Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy” – powiedział prezydent

trzeba było o niego walczyć z władzami stolicy. Stąd także дума ludzi, którzy przyjechali z najdalszych zakątków Polski, by wziąć udział w uroczystości odsłonięcia monumentu. Podobnie jak po 10 kwietnia 2010 r. prosili, by nie mówić o nich tłum, tylko naród.

„Naród, który ma poczucie godności, państwo, które ma być traktowane jako państwo poważne, musi takie tragiczne wydarzenia brać pod uwagę i upamiętniać je, nie może się bać!” – mówił podczas uroczystości odsłonięcia pomnika Jarosław Kaczyński. I podkreślił, że pomnik ten „nie jest przeciwko nikomu”.

Prezydent Andrzej Duda dodał: „To taki dzień słodko-gorzki. Gorzki, bo przecież osiem lat temu dotknęła Polskę straszliwa tragedia, najgorsza od II wojny światowej. Nie tylko dlatego, że w katastrofie smoleńskiej zginęło 96 Po-

laków, ale dlatego, że państwo polskie, że nasza Polska [...] znowu straciła swoją elitę, [...] dużą jej część. Jakże tragiczny, straszny moment! Najstraszniejszy oczywiście dla rodzin. [...] Straszliwy dla całej Polski, bo to byli ludzie, którzy Polskę, tę odrodzoną, budowali i co do których mieliśmy nadzieję, że będą ją budowali jeszcze przez długie lata [...]”.

Monument ma kształt schodów i jest z kilku powodów symboliczny. To z jednej strony stylizowany trap do samolotu, to także droga w kierunku nieba. Warto podkreślić, że wszystkie nazwiska są na marmurze napisane taką samą czcionką, bez funkcji i tytułów, uporządkowane alfabetycznie. Wszyscy zrównani wobec majestatu śmierci.

Wspólnej śmierci. Taki był zamysł Jerzego Kaliny, artysty, który stworzył projekt. Wiadomo także, że to nie jest skończona forma. Dopelnieniem kompozycji ma być żywopłot okalający bryłę pomnika. Jego twórca ma również wkomponować w otoczenie krzyż, który towarzyszył uczestnikom marszów z okazji kolejnych miesięcznic smoleńskich. To także symbol, bo osiem lat to 96 miesięcy i tyleż modlitewnych procesji, które odbyły się w Warszawie. Tyle, ile ofiar. Jak zapowiedział Jarosław Kaczyński, co miesiąc będzie msza św., marsze będą organizowane tylko w rocznice tragedii.

Podczas obchodów ósmej rocznicy katastrofy na pl. Piłsudskiego wmurowano też kamień węgielny pod pomnik, który będzie upamiętniał śp. Lecha Kaczyńskiego, prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, ale także prezydenta Warszawy i honorowego jej obywatela. „Zrobił dla Polski rzeczy wielkie i to dzięki jego pracy, jego przekonaniom, które starał się wcielać w życie, ta Polska jest teraz coraz silniejsza, coraz bezpieczniejsza, bo dziś realizujemy to, o czym mówił, a czego nie zdążył zrealizować” – mówił Andrzej Duda w miejscu, gdzie będzie upamiętniony Lech Kaczyński. „Dziękuję, że także ten pomnik wychodziliście, maszerując przez osiem lat ulicami Warszawy i innych miast. Dziękuję wam za tę pamięć. Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy” – zakończył prezydent. 

By Polska była krajem wolnych Polaków

*Przemówienia Jarosława Kaczyńskiego podczas obchodów ósmej rocznicy
katastrofy smoleńskiej w Warszawie*



TEN POMNIK NIE JEST PRZECIWKO NIKOMU

*Uroczystość odsłonięcia pomnika Ofiar Tragedii
Smoleńskiej, pl. Piłsudskiego*

„Przyszła dzień, na który czekaliśmy. Tu, tuż obok, stanie prawdopodobnie w listopadzie pomnik Lecha Kaczyńskiego. Zapytajmy, jaki jest sens tych wydarzeń, tego pomnika, który tutaj obok stoi, pomnika pamięci, pomnika godności, pomnika wierności.

Spójrzmy na napis na tym pomniku, tam jest 96 nazwisk, bez żadnych tytułów, funkcji. 96 Polek i Polaków, osób, które wspólnie wybrały się do Katynia, aby podtrzymać pamięć. Już to jest wystarczającym powodem, aby ten pomnik tutaj stał. Gdyby to była wycieczka z miasteczka czy małej wsi i gdyby te osoby nie pełniły żadnych funkcji, to ten pomnik i tak powinien tutaj stanąć.

Ten pomnik powinien stanąć, bo jest wyrazem pamięci o ludziach, którzy chcieli uczynić coś ważnego w wymiarze narodowym, odnoszącym się do naszej historii i trudnej pamięci o Katyniu, pamięci tak ważnej. Gdyby to były osoby zupełnie nieznane, to sam fakt, że chcieli, jest wystarczający. Tak się złożyło, że wśród tych osób był prezydent i jego małżonka, i wiele innych osób, które pełniły ważne funkcje w życiu publicznym, była to śmierć polskiej elity i choć śmierć zwykłych Polaków byłaby równie ważna, ale to buduje związek z tym, co działo się w Katyniu, tam też mordowano polską elitę. Nie możemy tego z naszej pamięci wypierać. Musimy mówić tutaj nie tylko o pamięci, ale także o godności. Naród, który ma poczucie godności, państwo, które ma być traktowane jako państwo poważne, musi takie tragiczne wydarzenia brać pod uwagę i upamiętniać je, nie może się bać!

»Nie lękajcie się!«. Te słowa śp. Jana Pawła II musimy ciągle pamiętać. Ten pomnik jest wyrazem odrzucenia lęku i przywrócenia godności. Dlatego jest potrzebny.

Jest to także pomnik wierności, upamiętnienie tych, którzy przez lata walczyli o to, aby ten pomnik powstał i dlatego ten pomnik jest. To także jest pomnik odwagi jednego człowieka, który zdecydował się go zaprojektować.

Dlaczego pomnik prezydenta znajdzie się w tym miejscu? Czy dlatego, że zginął w Smoleńsku? Nie, dlatego, że przez całe życie był w tym nurcie, tworzył ten nurt, który miał najważniejsze znaczenie, który tworzył drogę do wyzwolenia ojczyzny, a jak się okazało, że ta wyzwolona ojczyzna jest nie taka, jak trzeba, to ją zmieniał. Dlatego ten pomnik tutaj stanie i to będzie nasze wielkie zwycięstwo. Ten pomnik, który powstał i ten pomnik poświęcony prezydentowi, nie jest przeciwko nikomu, my chcemy jedności Polaków. Chcemy silnej i solidarnej Polski. Temu nasze wysiłki miały służyć”.

JEST TO MARSZ OSTATNI. KOŃCZYM, DOSZLIŚMY DO CELU

Marsz Pamięci, przed Pałacem Prezydenckim

„Szanowni państwo, to 96. marsz. Tyle marszów, ile ofiar katastrofy smoleńskiej. To jest pierwsza przesłanka, pierwsza choć niedecydująca, na której mogę dzisiaj powiedzieć, że jeśli

chodzi o te marsze, które były organizowane co miesiąc, to jest to marsz ostatni. Kończymy. Ale przed wszystkim dlatego, że doszliśmy do celu. Tam już odsłonięto pomnik, w pięknym miejscu na placu Piłsudskiego. Stoi postument w miejscu przyszłego pomnika Lecha Kaczyńskiego i ten pomnik jest już przygotowany. Tylko względy techniczne spowodowały, że nie mógł być odsłonięty. Zostanie odsłonięty 10 listopada.

Te marsze były po to, by doszło do upamiętnienia i byśmy doszli do prawdy.

Mamy już raporty, które mają charakter wstępny, jeszcze nieostateczny, jeszcze przed nami badania w Stanach Zjednoczonych zeskanowanego samolotu, takiego samego jak ten, który rozbił się pod Smoleńskiem. Mamy przed sobą to, co będą czynili najwybitniejsi w skali światowej specjaliści od katastrof lotniczych, którzy zostali zatrudnieni przez prokuraturę. Gdy to wszystko będzie gotowe, to będziemy mogli powiedzieć na 100 proc., jak było. Bo dzisiaj wiele spraw jest jeszcze niewyjaśnionych, ale można powiedzieć, że część spraw już została wyjaśniona. A droga do wyjaśnienia innych jest otwarta. W życiu społecznym rzadko zdarza się, by jakieś cele dało się osiągnąć w 100 proc. Myśmy osiągnęli taki wysoki procent tych celów, że mogę spokojnie powiedzieć, że zwyciężyliśmy.

Chcę bardzo mocno podkreślić, miesięcznice zostają, poranna msza, wieczorna msza, będziemy składać kwiaty pod pomnikami. A sądzę, bo decyzji jeszcze nie ma, że co rok będziemy maszerować w kolejne rocznice. Te marsze będą, ale tylko raz na rok.

Muszę podziękować komuś, kto był w tych marszach, choć to nie była jego główna rola – Antoniemu Macierewiczowi. Wiele lat bardzo ciężkiej pracy, wiele eksperymentów udanych i nieudanych, wiele hipotez potwierdzonych i niepotwierdzonych. Stalowa wola, która doprowadziła do tego, że jesteśmy już nieporównanie bliżej prawdy, niż byliśmy osiem lat temu.

Chciałbym podziękować obrońcom Krzyża. Zwyciężyliśmy. Pójdziemy pod pomniki, to było takie uwieńczenie naszego zwycięstwa. Przysłużyliśmy się ojczyźnie, przysłużyliśmy się prawdzie, godności Polski, godności Polaków”.

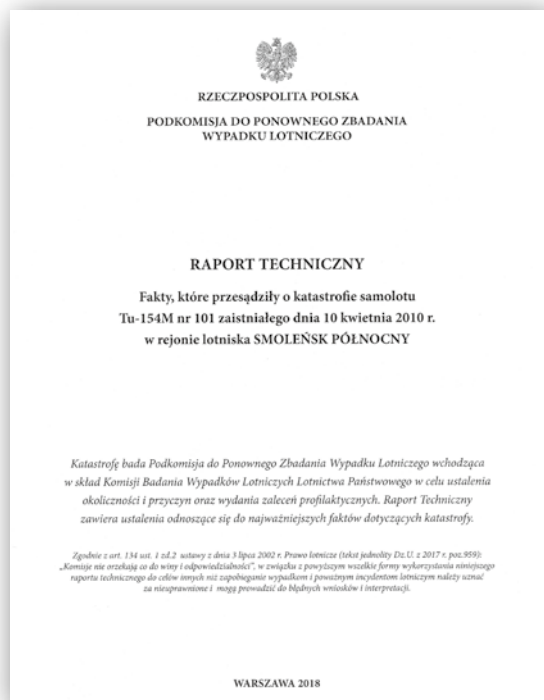
NIE MA WOLNOŚCI BEZ PRAWDY

Zakończenie Marszu Pamięci, pl. Piłsudskiego

„Szanowni państwo, chcę jeszcze raz podziękować za ten dzisiejszy dzień, za te 96 marszów tym wszystkim, którzy nas wspierali. Chcę podziękować Radiu Maryja i ojcu Rydzykowi. Bez niego, bez Radia Maryja ta cała wielka akcja, to wielkie przedsięwzięcie nie mogłoby przynieść rezultatów. Chciałem podziękować Telewizji Trwam, a także wszystkim środkom masowego przekazu, które transmitowały, szczególnie w ostatnich latach, nasze msze i mam nadzieję, że będą to czynić dalej. Chciałem podziękować odważnym dziennikarzom, którzy angażowali się w walkę o prawdę i powiedzieć jeszcze raz: prawda zwyciężyła, a dzięki temu także wolność. Bo nie ma wolności bez prawdy. Ale jak dziś słyszeliśmy w katedrze – wolność jest zawsze zadaniem i my to zadanie ciągle mamy przed sobą i będziemy musieli je wykonywać. Będziemy musieli odnosić kolejne zwycięstwa, by Polska była wolna i była krajem wolnych Polaków”.







Raport dzień po rocznicy

Na wyjaśnienie katastrofy smoleńskiej przyjdzie nam jeszcze długo poczekać. Opublikowany w środę raport techniczny nie przyniósł przełomu. Bo przynieść go nie mógł

Podkomisja smoleńska wykonała olbrzymią pracę. Przeprowadziła sporo eksperymentów, przeanalizowała tysiące zdjęć, którymi nikt się dotychczas nie interesował. Podjęła badania, o których wcześniej działające państwowe instytucje nawet nie pomyślały. Lecz wciąż jest „tylko” na drodze do końcowych ustaleń. Dziś jest to tak samo jasne, jak było przed ostatnią konferencją podkomisji.

Stawiane przez nią hipotezy o wybuchach w Smoleńsku są oczywiście prawdopodobne. Poszlakami są tu m.in. obrażenia i rozmieszczenie ciał ofiar, sposób rozczłonkowania samolotu czy wcześniejsze badania na okoliczność występowania śladów materiałów wybuchowych.

Jednak żadna z tych kwestii nie została ostatecznie zbadana. W pierwszej brakuje m.in. opinii sądowo-medycznych po sekcjach zwłok zarządzonych przez prokuraturę i analizy wytrzymałości foteli Tu-154M, jakie prowadzi amerykański Narodowy Instytut Badań Lotniczych (NIAR) z Wichita, w drugiej – m.in. symulacji, jakie zamierza przeprowadzić NIAR, w trzeciej zaś – efektów prac trwających w trzech europejskich laboratoriach kryminalistycznych.



MAREK PYZA

NIEDOSYT

Nazwa „raport techniczny” wydaje się zbyt szumna jak na jego zawartość. Ledwie 56-stronicowa publikacja przypomina bardziej sprawozdanie z niewielkiej części prac komisji wydane w nieco publicystycznej formie. Za taką należy uznać m.in. stwierdzenie zawarte we wstępie o „anulowaniu” raportu komisji Millera – na gruncie prawnym to nieśtety mocno wątpliwe.

Dokument powstawał w pośpiechu (prace nad nim kończyły się w nocy z 4 na 5 kwietnia), dyktowanym ósmą rocznicą katastrofy. Brakuje w nim rzetelnego, czyli dokładnego, opisu przeprowadzonych badań. Nie jest to krytyka wykonanej przez ekspertów pracy, lecz spisania jej owoców.

W zasadzie do każdego rozdziału można stawiać liczne pytania, na które

raport nie daje odpowiedzi. Nawet w wątku nawigacyjnym, opisującym skandaliczne działania rosyjskich kontrolerów, który stanowił najmocniejszy punkt prezentacji w siódmą rocznicę katastrofy. Teraz otrzymujemy go w formie okrojonej.

Najwięcej miejsca zajmuje kwestia eksplozji w lewym skrzydle. Zamieszczono wiele zdjęć odłamków znalezionych na dużej przestrzeni, ale nie ma mowy np. o siłach, jakie musiały zadziałać, by doszło do takiego rozrutu.

Na stronie 55 znajdujemy rozdział „Ekspertyza patomorfologiczna”, w którym czytamy, że „wybuch przestrzenny musi spowodować powstanie pewnej ilości odłamków”, które „powodują charakterystyczne uszkodzenia układu kostnego”, ale... dotychczas przeprowadzone badania „nie dały możliwości znalezienia śladów tego rodzaju wybuchu”.

Dziesięć stron wcześniej w rozdziale o obrażeniach pasażerów czytamy: „Opinia wynikająca z jedyne go dotychczas ukończonego badania osoby siedzącej w salonie trzeciej stwierdza, że przyczyną jej śmierci mogło być uderzenie fali, będącej skutkiem eksplozji. Dowodem na to jest szczególnie duży zakres zniszczeń ciała. W takiej samej

Tępy odłamek odłamkowy części lewego skrzydła widoczny na galeriach (38). Rys. 4.



Rys. 4. Zdjęcie odłamka odłamkowego części lewego skrzydła widoczny na galeriach (38).

Ekspertyzę przeprowadzono przez Podkomisję w 2016 r. na wykończonym w skali 1:1 elemencie w gablotach konstrukcji i kopii do zabudowy z wykończonymi odłamkami, wykonanymi na podstawie list odłamków (co najmniej 100 m) i wysokości nie mniejszej niż 28 m, aby taki odłamek wyrzucił pyłostłoczek i osadził na galerii.

Indeks odłamków widocznych w gnieździe (38) nie pochodzi z hipotetycznego miejsca odłamania skrzydła z lewym i prawym odłamkami, ale z elementu konstrukcyjnego w konstrukcji samolotu 70 cm bliżej kadłuba, niż przypisywane mu miejsce kontaktu przy raporcie MAK (Młoda, Rys. 5).



Rys. 5. Miejsce w konstrukcji samolotu odłamka widoczny w gnieździe (38).

sytuacji jak ta osoba znajdowało się co najmniej 12 spośród 20 osób siedzących w tej salonce lub w jej pobliżu”. Niestety nie zacytowano tej opinii. Czy dlatego, że obszerny cytat pokazałby, iż – jak stwierdzają cytacy sądowi – do potwierdzenia w tym przypadku hipotezy wybuchu brakuje w badanym ciele jeszcze innych obrażeń charakterystycznych przy eksplozjach?

Na stronie 42 napisano: „Wszystkie fotele były całkowicie zniszczone, tzn. osobno leżały siedzenia, oparcia, zagłówki i stelaż”, ale nie napisano, co z tego wynika i jak tego typu zniszczenia wyglądały w innych katastrofach.

Podobnych nieścisłości jest dużo więcej. Można odnieść wrażenie, że autorom chodziło raczej o zaznaczenie pewnych wątków niż ich dogłębne wyjaśnienie. A tego należałoby oczekiwać od raportu, nawet (a może: zwłaszcza) „technicznego”.

Jeszcze we wtorek Antoni Macierewicz zapowiadał, że w środę „poznamy kluczową informację potwierdzającą wybuch”. Trudno stwierdzić, co miał na myśli, bo wszystkie ustalenia zawarte w raporcie były już znane – z licznych medialnych wystąpień przewodniczącego i innych członków podkomisji.

Najbardziej żał tych ostatnich. Przez lata wykazali się gigantyczną odwagą, zaangażowaniem i pracowitością. Poświęcili wiele w najtrudniejszych czasach, gdy byli wyszydzani, gdy środowisko naukowe się od nich odwróciło, gdy odmawiano im jakiegokolwiek wsparcia finansowego i instytucjonalnego. Szczególnym przykładem jest tu prof. Piotr Witakowski, który zorganizował cztery wielkie konferencje smoleńskie. Pomocy w nich odmówiły wszystkie (!) polskie uczelnie techniczne.

Ci ludzie weszli w skład podkomisji, by już jako funkcjonariusze publiczni dokończyć swoje prace. Szkoda, że zamiast im to umożliwić, ostatnie miesiące poświęcono na przygotowanie się do rocznicowej prezentacji.

W rozmowie z tygodnikiem „Sieci” Marta Kaczyńska zauważyła: „Poczekalabym na końcowe ustalenia naukowców. Oni też potrzebują spokoju do pracy, a nie bombardowania terminami i koniecznością pisania cząstkowych raportów [...] dywagowanie o nie do końca

potwierdzonych okolicznościach jest po prostu szkodliwe”. Podobnie uważa wiele rodzin, z którymi rozmawialiśmy.

ROZŁAM W KOMISJI

Nie ma już co ukrywać tego, że wewnątrz podkomisji istnieje spór co do niektórych hipotez – m.in. trajektorii (a zwłaszcza wysokości) w ostatnich sekundach lotu czy sposobu, w jaki doszło do zniszczenia lewego skrzydła. To właśnie było powodem sprzeciwu części członków przed podpisaniem całości raportu technicznego. Po tym, jak poinformowałem o tym fakcie, przewodniczący podkomisji zarzucił mi „kłamstwo”, którym był „zbulwersowany”, a TV Republika pytała: „Na czyjej smyczy chodzi dziennikarz w Polityce.pl i »Sieci« Marek Pyza?”. Nie reagowałem na te epitety, spokojnie czekając na prezentację raportu. Wtedy okazało się, kto miał rację. W raporcie znajduje się jeden podpis – przewodniczącego. Na konferencji zabrakło sześciorga jego podwładnych. Dopitywamy przede mną Antoni Macierewicz przyznał, że jeden z nich zrezygnował z zasiadania w komisji. Doprecyzował też, że „aprobata” (a nie – jak mówił wcześniej – „podpisy”) ekspertów dotyczyła nie całości dokumentu, lecz tylko tych części raportu, które leżały w obszarze badań ich zespołów.

To zasadnicza różnica, która ma ogromne znaczenie. Macierewicz wieczorem 10 kwietnia stwierdził: „Nawet jeżeli znajdzie się taka osoba, to to z punktu widzenia raportu nie ma znaczenia. Prawo lotnicze przesądza tę kwestię, że taka jedna osoba, która np. podejmie decyzję o zdaniu odrębnym czy jakichś innych zastrzeżeniach,

Przebieg separacji końcówki lewego skrzydła nie jest równoległy do osi kadłuba, lecz tworzy łuk odchylający od tej osi o 7,3-10 stopni.

Przebieg separacji odłamkowej części lewego skrzydła w miejscu odłamania końcówki wykazuje charakterystyczne ślady pociętości, typowe dla zastosowania materiałów wybuchowych, jak nieregularne wywinęte krawędzie. Odłamana lewa końcówka lewego skrzydła wykazuje smęgi śladów spójnych i eksplozywnych działania ciśnienia wewnętrznego jak: rozwarstwienie listów nitów, wyrwane nitów i czyste odłamki fragmentów porzucenia od pozostałej struktury. Rys. 21.



Rys. 21. Widok zlokalizowanego miejsca separacji końcówki odłamkowej części lewego skrzydła Tu-154M.



Rys. 22. Problemy odjęcia z Rys. 21 i zwiastowaniem łuków pociętości.

to z punktu widzenia wiarygodności i ważności państwowej raportu nie ma znaczenia”. Jest dokładnie odwrotnie. Jeśli część podkomisji nie zgadza się z końcowymi ustaleniami, w oczywisty sposób rzutuje to na ich wiarygodność. A to najgorsze, co może tę komisję spotkać. Lepiej, by działała w ciszy i mogła wypracować spójne stanowisko zaprezentowane w raporcie końcowym.

Cisza była jednak rzadkością. W październiku 2016 r. Antoni Macierewicz ogłosił, że odnaleziono nową taśmę z 10 kwietnia, na której znajduje się sensacyjny materiał – rozmowa Donalda Tuska m.in. z Władimirem Putinem i Siergiejem Szojgu wieczorem na miejscu katastrofy. Na portalu wPolityce.pl napisałem, że nie jest to ani nowa taśma, ani sensacyjna. Chodziło bowiem o tzw. surówkę – zdjęcia TVP, na których w 2010 r. wielokrotnie pracowałem i publikowałem je w „Wiadomościach”. Po tym komentarzu Macierewicz w telewizyjnym wywiadzie oskarżył mnie o ukrywanie dowodów, a następnego dnia MON wydało oficjalny, groteskowy komunikat kończący się słowami: „Jeżeli dziennikarz lub urzędnik państwowy znalazł ten materiał i nie poinformował o tym prokuratury, to działał na szkodę wyjaśnienia przyczyn katastrofy smoleńskiej”. Dziś można tylko zapytać, dlaczego raport podkomisji nie wspomina o tym nagraniu, wówczas nazywanym „przełomowym”?

Podkomisja potrzebuje spokoju zamiast epatowania sensacjami. Potrzebuje też powagi. A za taką trudno uznać np. publikowanie państwowego raportu najpierw na portalu Niezależna.pl, zamiast na oficjalnej stronie podkomisji.



Zdjęcia:
Andrzej Wiktor



Zalety pożyczek ARP:



indywidualne
podejście do
każdego projektu



brak opłat za
rozpatrzenie
wniosku oraz
ukrytych opłat



przejrzyste
procedury



możliwość
finansowania
inwestycji brutto



niska marża
od 0,8 %



warunki finansowania
dostosowane
do potrzeb
wnioskodawcy

Pożyczki w ofercie ARP (z wyłączeniem pomocy publicznej):

- finansowanie dłużne wzrostu średnich i dużych przedsiębiorstw
- finansowanie przedsiębiorstw w procesie restrukturyzacji
- pożyczki dla innowacyjnych firm (w tym także dla małych)
- finansowanie dłużne branż strategicznych obciążonych wysokim ryzykiem

Finansowanie ARP umożliwia realizację przedsięwzięć:



inwestycyjnych



restrukturyzacyjnych
i rozwojowych



innowacyjnych

Więcej informacji:

www.arp.pl/uslugi-finansowe
(22) 695 37 79, (22) 583 84 21

Od 2010 r. ARP S.A. udzieliła przedsiębiorstwom finansowania na łączną kwotę 3,66 mld zł.



A portrait of Patryk Vega, a bald man with a beard, smiling and wearing a grey patterned blazer over a white shirt. He is standing with his hands clasped in front of him. The background is dark.

Bez przerwy upadam, ale dążę do świętości

– mówi **Patryk Vega**

w rozmowie z **Łukaszem Adamskim**

Z Patrykiem Vegą, reżyserem, producentem i scenarzystą takich hitów jak „Botoks” i „Pitbull”, rozmawia Łukasz Adamski

Widziałeś już „Pitbulla. Ostatniego psa” Władysława Pasikowskiego?

Patryk Vega: Nie widziałem.

Quentin Tarantino mówi, że nie obejrzał do dziś „Urodzonych morderców” Olivera Stone’a, który, jego zdaniem, zepsuł mu scenariusz. Pasikowski natomiast przejął twoją markę. Trudno mi uwierzyć, że to cię nie dotknęło.

Jestem przekonany, że Pasikowski nie marzył o nakręceniu czwartej części filmu „po kimś”. Zrobił to z pobudek ekonomicznych. Od czasu „Jacka Stronga” nic nie nakręcił, więc wziął ten temat. To nigdy nie jest dla twórcy komfortowa sytuacja.

Tobie dobrze zrobiło oderwanie się od marki „Pitbull”. „Kobiety mafii” zebrały już dwa miliony widzów w kinach. Moim zdaniem to twój najlepszy film od czasu serialu sprzed dekady. To film spójny. Bez typowej dla twojego kina anarchii narracyjnej.

Psycholog mówi, że moja świadomość wypuszcza specyficzne strumienie, w których obok siebie płyną wiara, spojrzenie na mroczny świat gangsterów czy policji. Stąd może to moje przywiązanie do fragmentaryczności fabuły. To tłumaczy pasję mieszania z sobą różnych wątków.

Widać, że w „Kobietach mafii” za panowałaś nad tym strumieniem. Może dzięki temu, że masz współscenarzystę Olafa Olszewskiego spajającego twoje pomysły. Czy teraz po uwolnieniu się od „Pitbulla” rozpuścisz nową trylogię?

Każdy marzy, by stworzyć film, który daje szansę kontynuacji. Dla mnie punktem zwrotnym był film „Pitbull. Niebezpieczne kobiety”, gdzie na świat policji, którzy przeszedłem wzduż i wszecz, nagle spojrzalem oczami kobiet. Odkryłem policję na nowo. Ale też jako socjolog kultury uważam, że żyjemy w kraju, gdzie kobiety są dyskryminowane. W większo-

ści obszarów zawodowych. Dlatego ukazywanie w kinie silnych kobiet, pełnokrwistych postaci kobiecych to znak czasów. Myślę, że też dlatego moje ostatnie filmy mają tak dobrą frekwencję kinową.

Czujesz się feministką?

Moja żona śmieje się ze mnie, żebym z tym nie przesadzał. Dużo aktorek, z którymi współpracuję, uważa, że do tego feminizmu się zbliżam. Dlaczego? Po prostu rzeczy, które propaguję, pokrywają się z feminizmem. Przejawia się to głównie w kwestii równouprawnienia, za którym jestem z naturalnych powodów.

Gdzie widzisz dyskryminację?

Mówią mi o niej kobiety. Ja jestem doś-
syć oderwany od życia. Nie mam od 12 lat telewizora. Nie czytam bieżącej prasy. Unikam nawału newsów w internecie. Biorę te przykłady z rozmów z ludźmi. Wątkuję temat, gdy zabieram się do niego filmowo. Zgłębiając, by pokazać prawdę.

W „Botoksie” mówiłeś o #metoo, za nim to stało się modne w Hollywood. Molestowanie, gwałty, dyskryminacja kobiet – pokazałeś to bez makijażu. Feministki powinny za ten obraz nosić cię na rękach. A spadło potępienie. Za wątek aborcyjny.

Dla tego słynnego ujęcia z miską, w której umiera abortowane dziecko, zrobiłem ten film. Gdy się dowiedziałem, że takie rzeczy się zdarzają i nie dotyczą tylko patologicznych szpitali, ale również miejsca, gdzie na świat przyszła trójka moich dzieci, uznałem, że muszę o tym opowiedzieć. Muszę o tym krzyczeć.

Zrobiliś to dosłownie. Mocno krytykowałem „Botoks” za różne aspekty, ale wątek aborcyjny mnie znokautował. Powiedziałeś: skoro popieracie aborcję, to zobaczcie, jak ona wygląda.

Dla mnie ta sytuacja była bardzo trudna. Wszystko mi mówiło, by tego filmu nie robić. Kilkunastu aktorów nie zgodziło się w nim zagrać. Bliskie mi osoby z ekipy odeszły, bo z różnych powodów nie chciały go realizować. Nie tylko przez wątek aborcyjny, lecz również dlatego, że mają w rodzinie lekarzy. Jednak to właśnie ujęcia



Kadr z filmu „Botoks”

abortowanych dzieci w miskach były najczęściej krytykowane przez czytających scenariusz. Żyłem przez to w bardzo silnym stresie. Dostałem krwotoku żołądka. Byłem tym po prostu zajęchany. Totalnie skołowany.

Jednak sceny nie wyciąłeś.

Modliłem się. Prosiłem o znak, by wiedzieć, w którą stronę mam pójść. Gdy wstałem z klęcznika, zobaczyłem napis na bramie kościoła: „Ocal życie dziecka”. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nic nie ma znaczenia. Wiedziałem, że muszę zrobić ten film. Na przekór wszystkiemu i wszystkim, którzy mnie od tego odводzili. Miałem tak silny imperatyw, że pozwolił mi przez to przejść. Awantura, jaka się rozpętała po premierze, przeszła natomiast moje największe przewidywania. Wiedziałem, że ten film wywoła jakąś dyskusję, jednak wydawało mi się, że w XXI w., w dobie internetu, gdzie ludzie widzieli już wszystko, nie jest możliwy wybuch aż takiej społecznej kłótni.

Może właśnie to, że potępiłeś aborcję bez religijnego kontekstu wywołało gniew. Nie można było z ciebie zrobić nawiedzonego katola.



Tak, choć zrobiłem to przez proste przykazanie „Nie zabijaj”. Cała reszta została do tego dobudowana. Chodziło mi o to, by ludzie w masowym wymiarze zobaczyli aborcję. By namacalnie dotknęli tego, jak ona wygląda w rzeczywistości. Gdybym jednak zrobił film stricte o aborcji, to poszłoby na niego maksymalnie 300 tys. ludzi, a nie miliony. „Botoks” działał więcej w kwestii aborcji niż wiele organizacji pro-life. Docierały do mnie sygnały, że ludzie, dla których aborcja była do tej pory obojętna, po zobaczeniu filmu stali się jej przeciwnikami. Cel osiągnąłem. Chciałem dotrzeć właśnie do niezdeterminowanych.

Mówisz, że siła z góry pchnęła cię do zrobienia tego filmu. Czujesz opiekę duchową. Kiedyś tak jednak nie było. Były narkotyki i zabawa.

Wszystko jest drogą. Człowiek nie nawraca się w jednej sekundzie. W jakimś momencie zmienia się wektor naszego postępowania. To mozolna podróż. Małymi kroczkami, często niezauważalnymi, dokonujemy w sobie zmian. Dopiero na przestrzeni lat są one widoczne. Teraz czuję ogromną odpowiedzialność za to, co robię. Mam wielką tubę propagandową w postaci mojego kina. Mam wielomilionową widownię. Mogę więc powiedzieć „dupa, dupa, dupa” albo przemycić bliskie mi wartości. Chrystus nauczał, że trzeba być przebiegłym. Ludzie nie lubią być indoktrynowani gotowymi тезami. Wolą sami dochodzić do jakiś wniosków.

Ale nie unikasz wulgaryzmów ani przemocy. Epatujesz nimi. Chodzi ci o realizm ulicy?

Wulgaryzm staje się powoli manierą w naszym świecie. To nie dotyczy osób wyłącznie z marginesu i ulicy, o której mówisz. Wulgaryzacja życia dotyczy również polityków czy nauczycieli. Podczas spotkań z osobami, które potem stają się bohaterami moich filmów, zapisuję dialogi. Moje filmy są odbiciem rzeczywistości. Niczego nie kreuję. Przez wiele lat byliśmy społeczeństwem aspirującym do sukcesu. Na tym jechał TVN, który pokazywał rzeczywistość o oczko lepszą niż za oknem. Wszyscy w ich serialach mieli

apartamenty, byli piękni i jeździli supersamochodami. Polacy uwierzyli, że ich życie będzie tak wyglądać. Realizm okazał się inny. Młodzi ludzie w tej młodej demokracji nie potrafili się odnaleźć. Właśnie na skutek tego pędu życia. Newsy pędzą, przykrywają się wzajemnie, a oni chcą czegoś, co ich ukonstytuuje w rzeczywistości. Chcą prawdy i czegoś, co ich dotyczy. Chcą kogoś, kto im powie, jak jest. Dlatego jest czas na takie kino jak moje. To kino bliskie życia i realizmu. Ludzie mają dosyć waniliowych historii.

To może chcesz być jak wcześniejszy Abel Ferrara i jak on w „Złym poruczniku” pokazywać Jezusa na „ulicach nędzy”?

„Zły porucznik” to jeden z moich ulubionych filmów. To jest droga, która mnie fascynuje. Przykład. Jestem zadowolony z tego, jak pokazałem wiarę w „Służbach specjalnych”. Dzięki wątkowi nawrócenia cyngla WSI granego przez Janusza Chabiora wielu księży chciało mnie zapraszać na spotkania z młodzieżą. Dlaczego? Bo starałem się pokazać tę przemianę w delikatny sposób. Bez nachalności. Dlatego chwalili ten film ludzie zrażeni do Kościoła. To był trafiający do nich sposób opowiadania o wierze.

Czujesz, że masz konkretną misję jako filmowiec?

Tak, bo wiem, jakie jest źródło zła. Przymierzam się do międzynarodowej produkcji o handlu dziećmi. To będzie centralne uderzenie w ciemność. Spotykając się trzy lata z handlarzami, ofiarami i ich rodzicami, policjantami czy naukowcami, nie znałem jeszcze całego problemu. Poznałem go dopiero, docierając do sekt satanistycznych, które wykorzystują dzieci. Zrozumiałem, że tego zła nie da się poznać bez kontekstu duchowego. To będzie film o walce dobra ze złem. Chrystus mówi, że „Królestwo wewnętrznie skłócone nie jest w stanie się ostać na fundamentach”. Do dzisiejszego świata coraz mocniej przenikają symbole satanistyczne. Nawet na tej najniższej płaszczyźnie. Znaki satanistyczne stały się zabawą. W tym filmie będę chciał pokazać, że za nimi kryje się zło i ciemność. Chcę wywołać

w ludziach wstręt do zabawy tego rodzaju symboliką. Pokazując cierpienie milionów dzieci.

Spadną na ciebie gromy. Nawet niektórzy księża lekceważą „jasełkowy satanizm”. Przecież to obciachowe i bardzo moherowe!

W USA jest oficjalnie zarejestrowany kościół szatana. Problem istnieje. Nie myśl jednak, że się zamieniłem w jakiegoś świętego ewangelizatora. Ciągłe upadam. Popełniam grzechy. Jednak wiara na każdej płaszczyźnie mnie zmienia. Dwa lata temu w ogóle przestałem oglądać pornografię. To generator złej energii. Jak już mówiłem, powoli przechodzę ten proces. Przemycam go w swoim kinie.

Grzech wciąż czeka za rogiem. Dzięki każdemu kolejnemu spektakularnemu sukcesowi komercyjnemu twój portfel staje się grubszy. Nie boisz się, że wrócisz do tego, co już cię raz pochłonęło? Do alkoholu i hedonizmu?

Gdybym odniósł taki sukces komercyjny 10 lat temu, tobym z tobą dziś nie rozmawiał. Już bym nie żył. Bym się zachlał albo zaćpał. Jestem dzieckiem z blokowiska, więc mam w sobie ciągle lęk o byt. Boję się, że wrócę do ubóstwa z dzieciństwa. Przez długi czas zadreślałem się tą myślą, materializm nie koreluje z moją wiarą. Na skutek rozmów z księżmi zrozumiałem, że w bogactwie nie ma nic złego, o ile nie stawiamy mamony w miejscu Boga. Gdy kupowałem sobie wymarzone od dzieciństwa lamborghini, miałem poczucie, że to obnoszenie się z bogactwem. Ale to jest zamknięcie pewnego etapu w moim życiu oraz pokazanie też, że wierny Chrystusowi katolik może być człowiekiem materialnego sukcesu. Ja również spłacam swój dług. Zaangażowałem się w działalność charytatywną. Założyłem fundację pomocy dla sierot. Oddaje też dziesięcinę na ubogich, jak nakazuje Pismo.

Mój amerykański przyjaciel protestant mówi, że od kiedy daje dziesięcinę, to wie, że mu się w biznesie. Przeszczepiasz ten rodzaj american



Kadr z filmu „Kobiety mafii”

Fot. Materiały prasowe

dream w Polsce? Swoją własną Hollywood nad Wisłą już stworzyłeś.

Nie pomagam ubogim z wyrachowania, choć oczywiście wierzę, że dawane dobro wraca. Otrzymuję tak dużo, nie zasługując na to, że nie wyobrażam sobie, aby nie pomagać bliźnim. Pamiętaj, że nie biorę żadnego państwowego dofinansowania do mojego kina. A więc inwestorzy i ekipa polegają na komercyjnym sukcesie. Jednocześnie wiem, że nie mogę się kierować wyłącznie tym aspektem. Nie jest to łatwe. Wielkie pieniądze tworzą wielki stres. Wróciłem więc do opowieści, jakie pisałem w dzieciństwie, m.in. o zamachu na Jana Pawła II. Wówczas czułem ogromną radość kreowania różnych historii. Coraz częściej myślę, że nie muszę się dziś spinać i mogę znów poczuć tę radość.

No tak, ale jesteś symbolem komercyjnego sukcesu w polskim kinie. Jeździsz wypasioną furą, jak rytmował Liroy, „znasz znanych ludzi, a oni znają ciebie”. Masz status celebryty. Staje przed tobą młody spragniony takiego blichtru człowiek, a ty mu mówisz, żeby wystrzegał się hedonizmu? Jak ma to zrobić?

Nie wiem, czy jestem w stanie kogośkolwiek czegoś nauczyć. Każdy musi przeżyć swoje błędy. U mnie spustoszenie zaczęło się w liceum. Sataniści muzyka. Pentagram na szyi. Z pogodnego dziecka stałem się smutnym, ubranym na czarno gościem. Moja późniejsza depresja, alkohol, narkotyki były konsekwencją wejścia w ciemność. Dopiero po latach wyciągnął mnie z tej jamy Chrystus. Wciąż się z niej wygrzebuje. Obecnie alkohol kojarzy mi się z bólem i samotnością. Musiałem jednak przejść pewne upodlenie emocjonalne. Dziś mam trójkę dzieci i nawet z tego względu nie wrócę do poprzedniego życia. Wiesz,

co dla mnie było momentem przełomowym? Że po ośmiu latach związku otrzymałem stwierdzenie nieważności poprzedniego małżeństwa. W końcu mogliśmy z matką moich dzieci zawrzeć kościelny ślub. Mogłem przystąpić do spowiedzi i komunii świętej. To naprawdę mnie oczyściło. Zrzuciłem z barków 150 kilo. Mam teraz pewność, że Chrystus, który jest z nami w małżeństwie, nas wzmacnia. Cieszę się, że mogę pokazać wizerunek katolika szczęśliwego i spełnionego zawodowo.

Czyżbym czuł na horyzoncie jakiś filmowy moralitet Vegi? Może film o istocie rodzinnych więzów? Wersje szalejących rozwodów byłaby to wielka rzecz!

To dobry pomysł, ale na razie mam plany filmowe zajęte do 2021 r. Jednak chciałbym nakręcić też filmy o innych problemach. Oczywiście kręcę trylogię „Kobiety mafii”, ale planuję też obraz o problemie uzależnienia. Nie tylko od używek, lecz właśnie materializmu, seksu czy magii. Chciałbym też nakręcić obraz o patologii w polskim sądownictwie. Mam już datę premiery. Jesień 2020 r. Pracuję też nad zrobieniem jednego z kolejnych filmów w języku angielskim z międzynarodową obsadą.

Wiesz po czym poznać, że Pan Bóg ma wysublimowane poczucie humoru?

Po czym?

Zaprowadził hedonistę, który swój pseudonim Vega wziął od Tarantino'skiego bohatera z „Pulp Fiction”, do filmowego ewangelizatora, który chce podbić walką ze złym zachodnie kino.

Wielu świętych było grzesznikami. A każdy człowiek jest powołany do świętości, więc się bardzo staram. Długa droga przede mną.



www.telkol.pl



Zarządzanie i utrzymanie linii telekomunikacyjnych



Obsługa systemów informacji pasażerskiej



Utrzymanie sprawności radiołączności kolejowej



Budowa sieci telekomunikacyjnych

Smutny sowiecki diabeł

Inspekcja” Grzegorza Królikiewicza nie mogła się przez lata przebić jako projekt przez telewizyjne struktury. Okazją stała się dopiero teraz kolejna rocznica katyńskiego mordu. Tematem jest aktywność majora NKWD Wasilija Zarubina, który pracował nad polskimi jeńcami w Kozielsku, usiłując pozyskać jakąś grupę spośród nich. Sama masakra, ledwie zamarkowana, to finał niezwyklego ciągu zdarzeń.

Miałem wątpliwości, czy to się uda. Temat sowieckiego aparatu przemocy jest już trochę zużyty. Z drugiej strony Królikiewicz jawił mi się jako spec od widowisk niełatwych, hermetycznych. Ewa Millies-Lacroix, szefowa Teatru TVP, mówiła podczas premiery, że choć pozornie ten spektakl nawiązuje do niedawnych teatrów faktu (uchodzących, to mój dodatek, za zbyt deklaratywne, toporne), „Inspekcja” rozsadza tę konwencję.

Królikiewicz napisał scenariusz, ale zmarł podczas przygotowań do realizacji. Reżyserię przejął syn, Jacek Raginis-Królikiewicz. Powstał spektakl niezwykle. Ascetyczny, pasujący widmowym krajobrazem do wyobraźni Królikiewicza seniora. A zarazem nieprzytłaczający słowa plastycznymi wizjami. Skoncentrowany na aktorach, ich twarzach. Ze świetną muzyką Michała Lorenca w tle.

Przypominał mi się dziejący się kilkadziesiąt lat później film „Akwarium” Antoniego Krauzego według Wiktora Suworowa. Ten język, styl działania okazał się trwały, pasujący do natury wszystkich służb specjalnych, a przecież dodatkowo obciążony rosyjską naturą, tym szczególnym fatalizmem, przekonaniem, że jednostką jest częścią w wielkiej maszynie. Raginis-Królikiewicz dostrzegł drobny fakt: z podręczników Zarubina do dziś uczą się funkcjonariusze FSB.

Ale kiedy Zarubin prezentuje się jako wizjoner żądający od Polaków rozmycia swojej tożsamości „w czymś większym”, nie przemawia tylko językiem przemocy rosyjskiego imperium. Także rozmaitych globalnych utopii, niekoniennie z Moskwy. Ma więc

rację Królikiewicz junior: warto to czytać współcześnie. My też jesteśmy kuszeni na rozmaite sposoby.

A równocześnie ta wirtuozeria opowieści! Nie ma tu wtrącanych w podobnych widowiskach słów ze współczesności. To jest współczesne, ale opowiedziane językiem z roku 1940. Mamy wieloznaczność postaci zamiast schematyzmu teatrów faktu. Któż z nas nie zastanowi się, oglądając kuszenia Zarubina, jak sam by się zachował? Gdzie granica między zdrowym rozsądkiem a pokusą, żeby skapitulować? A sam kusiciel? Przecież zastanawiamy się, na ile delektuje się on swoimi pracami, a na ile jest szatanem udręczonym, nie-szczęśliwym. Oficerowie wspominali go jako uprzejmego, delikatnego. Taka była jego rola, ale co się za tą maską kryło?

Mariusz Ostrowski wznosi się na wyżyny aktorstwa jako Zarubin, naukowy eksperymentator w środku stalinowskiej rzeźni. Podczas gier operacyjnych na jego twarzy maluje się gama emocji. A jednak wszystko sprowadza się do grymasu ust, upiornego, ale i gorzkiego. Czujemy jego obecność nawet w scenach, w których go nie ma. Pośród polskich oficerów wyróżniają się Radosław Pazura jako Komarnicki (później-



szy emigracyjny minister sprawiedliwości) i Marcin Kwaśny jako Swianiewicz. Ileż można wyczytać z ich min, gestów, mowy ciała. Rewelacją wydał mi się 80-letni Zygmunt Malanowicz. Zwyczajny, niemal monotony, jako generał-senior Minkiewicz. A przecież dlatego tragiczny – i w walce z pokusami, i w końcowym, nieefektywnym, dyskretnym heroizmie oporu.

Opowieść o historii, o uniwersalnych mechanizmach polityki i o człowieku w sytuacji ekstremalnej. Mało jak na jeden spektakl?

Piotr Zaremba



Plan szyty na miarę

Plan
#15



600 200 200

provident.pl



Wierzymy w Twój plan

Koszt połączenia wg taryfy operatora. Provident Polska SA

Provident Polska SA z siedzibą przy ul. Inflanckiej 4A, 00-189 Warszawa, wpisany przez Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, do rejestru przedsiębiorców Krajowego Rejestru Sądowego pod numerem KRS 0000009389, zarejestrowany jako podatnik pod numerem NIP 525-15-71-292, o kapitale zakładowym w wysokości 142 900 000,00 zł, który został wpłacony w całości.

Kameliowa dama nie gra sama

Fot. Ewa Krasucka

Nieszczęśliwie zakochana Marguerite tym razem swoją miłość wytańczy. W Warszawie. Do poruszającej muzyki Fryderyka Szopena



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Płomienny, tragiczny romans, choć ubrany w kostium i dawne obyczaje, wciąż inspiruje. Wracają do niego filmowcy. Na nowo opowiadają artyści opery i tańca. 20 kwietnia „Dama kameliowa” za sprawą Johna Neumeiera wspaniale współbrzmiąca z muzyką Szopena przedstawi się premierowo w Polskim Balcie Narodowym.

To prawdziwa perła światowej literatury baletowej i kolejna pozycja choreograficzna z muzyką wielkiego polskiego romantyka – zapowiadają znawcy tematu. Warszawską premierę uznają za najważniejsze wydarzenie sezonu baletowego w Polsce. Do czego odwołują się jego twórcy?

ZABŁĄKANE UCZUCIA

Historia pięknej kurtyzany, której miłość nie może trwać, bo przeciwni są jej zarówno ludzie, jak i los, zaczęła się w latach 40. XIX w. 20-letnia Marie Duplessis, której Paryż nadał przydomek nawiązujący do kwiatów, jakimi ozdabiała swoje stroje, budzi namiętność

Yuka Ebihara jako Małgorzata Gautier i Patryk Walczak jako Armand Duval podczas próby”

najznamienitszych mieszkańców francuskiej stolicy. Bywa w operze i organizuje słynne przyjęcia, wyznaczając – jak powiedzielibyśmy dziś – trendy mody i sztuki. W tym czasie poznaje Aleksandra Dumasa, równolatka, syna słynnego pisarza (który już za chwilę wyda powieści o dzielnych muszkietierach i hrabim Monte Christo). Zaczyna się płomienny romans i trwa przez 12 miesięcy, przerwany półtora roku przed śmiercią chorej na gruźlicę Marie.

Miłość wydaje się jednak nie gasnąć, bo rok po ostatecznym pożegnaniu ukończonej, w 1848 r., młody Dumas wydaje powieść „Dama kameliowa”. Cztery lata później tekst, uznawany dziś za szczytowe osiągnięcie melodramatu, trafia na scenę. Z rocznym poślizgiem, bo adaptacja wzbudza wątpliwości cenzury. W paryskim teatrze ogląda ją Giuseppe Verdi i już wie, że to materiał na libretto. Namawia do jego napisania przyjaciela, Francesca Piave, który godzi się na propozycję, ale pod pewnym warunkiem. Niestety złagodzenie obyczajowego wydźwięku oryginału nie pomaga. Opera zatytułowana „Traviata” (z wł. „zabłąkana”) wystawiona w 1853 r. w Wenecji wywołuje skandal. Kurtyzana Violetta Valéry na operowej scenie burzy pruderyjną publiczność. W odpowiedzi Verdi przenosi akcję w czasy Ludwika XIV, zmienia tytuł na „Violetta” i rok po wystawieniu pierwszej wersji dzieła przekonuje do niego widzów. W takiej wersji nowatorską muzycznie historię Violetty poznaje dwa lata później publiczność Teatru Wielkiego w Warszawie. Powieść Dumasa (syna) trafia do polskich czytelników w 1870 r.

MIŁOŚĆ W KADRZE

Mijają dekady, a sława kameliowej damy trwa. Z nadejściem ery X muzy, a potem telewizji, potencjał wpisanego w strojne dekoracje płomiennego uczucia dostrzegają filmowcy. Nie sposób wymienić wszystkich adaptacji. Tylko w epoce kina niemego było ich kilka, ale palpitacje serca musiała wywoływać produkcja z roku 1921, w której Armand miał twarz Rudolfa Valentino.

Nakręcona 15 lat później przez George’a Cukora „Dama kameliowa”

z Gretą Garbo jako Margueritą połączyła widzów, podnosząc na równi ciśnienie krwi mężczyznom i wyciskając łzy kobietom.

W kolejnych dekadach, wśród licznych prób opowiedzenia na nowo znanej miłosnej historii, pojawia się m.in. adaptacja dokonana w 1981 r. przez włoskiego reżysera Maura Bologniniego. Z pogłębianą refleksją bliższa jest klimatowi „Traviaty” niż popularnego romansu. W tej włosko-francusko-RFN-owskiej produkcji gra m.in. Isabelle Huppert, a muzykę do niej komponuje Ennio Morricone. Kolejny rok przynosi bezpośrednie odwołanie do opery Verdiego. Oczywiście niejedynie w historii kina, ale „Traviata” Franca Zeffirellego staje się wydarzeniem. Jest nominowana do najważniejszych nagród: Oscara (za scenografię i kostiumy), Złotych Globów (najlepszy film zagraniczny), BAFT-y (tu wygrywają twórcy filmowej oprawy).

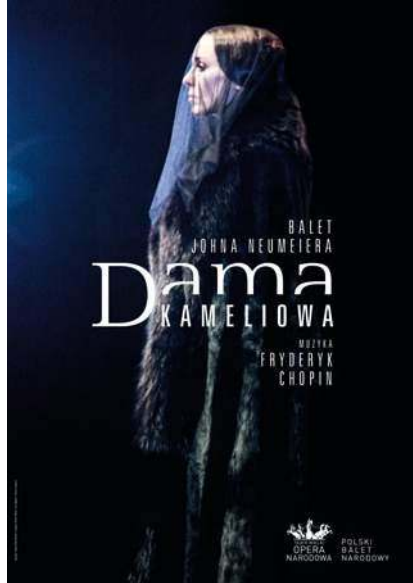
Popularne dziś aktorskie nazwiska – Colina Firtha jako Armanda i Greta Scacchi w roli Marguerite – łączą się z amerykańsko-angielską telewizyjną wersją „Damy...” z 1984 r. Dla polskich widzów bohaterowie melodramatu wszech czasów mają twarze Anny Radwan i Jana Frycza z obrazu wyreżyserowanego w 1994 r. przez Jerzego Antczaka. Tło zdarzeń tworzą na ekranie m.in. malownicze kadry z warszawskich Łazienek.

Filmowcy wciąż wracają do historii opowiedzianej przez Dumasa syna, choć niełatwo im znaleźć do niej oryginalny klucz. Tu o wiele szersze pole do działania wydają się mieć artyści innych dziedzin sztuki, np. baletu.

ZAFASCYNOWANI

Równo cztery dekady temu znakomity amerykański choreograf John Neumeier, twórca i szef Baletu Hamburskiego (jego dyrektorem artystycznym i naczelnym choreografem został w roku 1973, od 1996 r. jest dyrektorem generalnym tego autonomicznego już zespołu) stworzył swoją wersję „Damy kameliowej”.

Jak w przypadku powieści Dumasa syna, tak i tu wszystko zaczęło się od fascynacji. Budując zarówno kolejne cho-



reograficzne sceny, jak i dramatyczne napięcie między bohaterami, Neumeier miał na uwadze konkretną osobę: primabalerinę Marcię Haydée, obdarzoną również wielką aktorską wrażliwością. Dlatego utwór, który powstał z myślą o niej, wymaga od wykonawców nie tylko tanecznego mistrzostwa, lecz i talentów dramatycznych, wypełnienia roli osobowością. Z tego powodu choreograf bardzo oszczędnie udostępnia go innym zespołom.

Wystawiony w 1978 r. w Stuttgarcie (i wykonywany w Hamburgu) balet pojawił się jeszcze na scenach: Opery Paryskiej, American Ballet Theatre w Nowym Jorku, Teatru Bolszoi w Moskwie (filmową rejestrację spektaklu można oglądać w kinach) i mediolańskiej La Scali.

Teraz do ekskluzywnego grona dołączył Polski Balet Narodowy. Możliwość jego zespołu Neumeier poznał podczas swoich wcześniejszych pobytów w Warszawie. Pięć lat temu wystawił na scenie Teatru Wielkiego – Opery Narodowej swój inny balet: „Sen nocy letniej” według Szekspira.

Na decyzję być może wpłynęło i to, że „Damę kameliową” wypełnia muzyka szczególnie Polakom bliska. I chociaż początkowo Neumeier brał pod uwagę m.in. kompozycje Verdiego, ostatecznie „romantyczną miłość Małgorzaty i Armanda połączył z muzyczną kwintesencją romantyzmu, jaką jest twórczość Szopena”. Nie bez znaczenia wydaje się i to, że nasz kompozytor przebywał we Francji, gdy rozgrywały się zdarzenia przeniesione potem na karty powieści (mieszkał tu od września 1831 r.). Zmarł w Paryżu 17 października 1849 r. – dwa i pół roku po śmierci Marie Duplessis

i rok po narodzinach powieściowej „Damy kameliowej”.

ROMANS NA POINTACH

170 lat od premiery książki i 40 od pierwszego wystawienia balet Neumeiera trafia na polską scenę.

To nie pierwszy spektakl tańca inspirowany powieścią Dumasa syna, ale najgłośniejszy. Także z powodu muzyki. Usłyszymy w nim m.in.: Koncert f-moll, Fantazję A-dur na tematy polskie, Andante spianato i Wielki Polonez Es-dur. Jeden pianista, Krzysztof Jabłoński, wykonuje utwory z towarzyszeniem Orkiestry Opery Narodowej pod dyрекcją Grzegorza Nowaka, a drugi Marek Bracha, gra na fortepianie włączony w akcję. Muzyka jest znakomicie rozpisana – co doceniają znawcy tematu – zarówno dramaturgicznie, jak i formalnie.

Neumeier sięga m.in. po narrację szkatułkową. Zabierając Marguerite i Armanda do opery, mruga jednocześnie do odbiorcy. Oglądany przez nich spektakl „Manon Lescaut” także opowiada o tragicznej miłości kurtyzany. Marguerite mocno go przeżywa, obawiając się losu bohaterki. Sceniczna postać zaczyna ją prześladować.

Nieoczywistym dla baletu zabiegiem jest też retrospekcja. Od niej (jak m.in. w musicalu A.L. Webbera i ekranizacji „Upiora w operze” dokonanej przez Joela Schumachera) zaczyna się przedstawienie. Licytacja rzeczy należących do zmarłej Marguerite przywołuje wspomnienia: zarówno Armanda, jak i jego ojca. Trzeci narracyjny wątek z przeszłości wprowadza pamiętnik kameliowej damy. We wszystkich tych planach przeszłość przedstawiana jest w tańcu. A głównym walorem choreografii w baletach Neumeiera, co podkreślają znawcy, są poruszające duety: ekwilibrystyczne, wyrafinowane, z wieloma wysokimi podnoszeniami, ale też zapewniające ogromne emocje. Wymagające od artystów nie tylko znakomitego tanecznego warsztatu, lecz i osobowości.

Do warszawskiego spektaklu wybrane zostały cztery obsady. W pierwszej są: Yuka Ebihara i Patryk Walczak. Autorem plastycznej oprawy jest Jürgen Rose.

„Twarz” byłaby filmem wybitnym, gdyby opowiadała uniwersalną historię wyobcowania. Szumowska nie potrafi się jednak odciąć od własnych uprzedzeń wobec „katolickiej prowincjonalnej Polski”

Dwie twarze Szumowskiej



Fot. Bartosz Mrozowski

Już zwiastun „Twarzy” Małgorzaty Szumowskiej zapowiadał TVN-owską „Fabrykę patriotów” Pożaru w burdelu w wersji festiwalowej. Ba, nawet liberalny pisarz Krzysztof Varga napisał w „Gazecie Wyborczej”, że Szumowska rzeczywiście zrobiła film pełen pogardy dla ludu. Nie jest aż tak źle.

Szumowska nakręciła film z pozycji warszawki z „placu Hipstera”. Zrobiła go okiem osoby pełnej poczucia wyższości wobec prowincji. Widząc ją przez wykoślawiony pryzmat. Jednak jest w „Twarzy” coś, co powoduje, że zamiast gniewu albo poczucia zażenowania z intelektualnego lenistwa liberalnych salonów odczuwam smutek.

Szumowska, luźno opierając swój film na historii pierwszego Polaka, któremu przeszczepiono twarz, pokazała dobitnie, jak bardzo jest zniewolona przesadami i uprzedzeniami. „Twarz” ociera się momentami o wybitne kino, będące poruszającym obrazem samotności i odrzucenia. Szumowska pokazała w świetnym „Body/Ciało”, że potrafi być subtelna, ironiczna i przenikliwa. Niestety w „Twarzy” znów patrzy w stronę krzyża, który ją parzy, drażni i kłuje w oczy. Reżyserka nie jest bowiem prymitywną antyklerykałką. Ona mocuje się nie z uniwersalnym wymiarem chrześcijaństwa, ona nienawidzi polskiej, ludowej religijności.

Dlatego właśnie historia mężczyzny (Mateusz Kościukiewicz), który przez wypadek traci twarz i po nowatorskiej operacji musi się odnaleźć w jedynym znanym sobie świecie, jest osadzona na polskiej prowincji. Szumowska mogłaby taką samą historię osadzić w Warszawie, Krakowie albo Olsztynie. Wtedy jednak musiałaby dawać swojemu środowisku. Miejskim, liberalnym elitom. Klasie w jej mniemaniu wyższej. Łatwiej jest, jak pisze Varga, strzelać w kukielki będące projekcją jej największych lęków i kompleksów.

„Twarz” byłaby filmem wybitnym, gdyby opowiadała uniwersalną historię wyobcowania. Szumowska pyta przecież: na ile twarz definiuje człowieka? Jak bardzo zewnętrzny wygląd determinuje naszą egzystencję? Na ile romantyczne hasła z romansidel o istocie wewnętrznego piękna wytrzymują



ŁUKASZ ADAMSKI

zderzenie z rzeczywistością? Gdy reżyserka zadaje te pytania, jej film nabiera właściwej temperatury. Dogłębnie porusza. Jest doskonale zazębiany ze świetnymi zdjęciami Michała Englerta i Jacka Drosia. W tych momentach rozumiem decyzję o przyznaniu filmowi Srebrnego Niedźwiedzia w Berlinie.

Szumowska jednak ma w sobie dwie osobowości. Albo może lepiej w tym wypadku

napisać, że ma dwie twarze. Jedna to twarz subtelnego filmowca z „Body/Ciało”, druga ma wyraz infantylnego i pełnego fochów gniewnego dzieciaka z „W imię...”. Niestety w „Twarzy” górę bierze to drugie oblicze.

Nie odmawiam prawa Szumowskiej do szyderstwa z religijnej powierzchowności zatopionej w pustej symbolice. Trafnie piętnuje absurdalnie pompatyczne imprezy z okazji Pierwszej Komunii Świętej. Niemal udaje jej się wejść w buty Grzegorza Królikiewicza, który w „Sąsiadach” obnażył upodlającą pogoni Polaków za promocjami w dyskontach. Królikiewicz był jednak wiarygodny, bo nie miał w pogardzie prostego ludu. Szumowska nie może natomiast odmówić sobie szarżowania z najbardziej prymitywnym szyderstwem. Nie zauważa, jak bardzo jest przy tym wtórna i nudna. Nachlani i wulgarni Polacy podczas Wigilii? Wszechobecny rasizm, ksenofobia i obłudnie pazerni księży, lubujący się w spowiadaniu wiernych z ich seksualnych igraszek? Przecież to zawstydzająco nudne i przewidywalne. Ile razy już to widzieliśmy w polskim kinie?

Szumowska w końcu kpi z egzorcyzmów. Nie ma oczywiście zielonego pojęcia o rytuałach kościelnych i parodiuje hollywoodzkie filmy o wypędzaniu diabła. Jednak w tej dosyć zabawnej scenie obnaża swój problem. Gdyby wyegzorcyzmowała z siebie warszawkowe poczucie wyższości nad katolicką Polską z prowincji, stałaby się w pełni dojrzałą reżyserką. Jej talent jest skażony i pętany złymi emocjami. W ostatniej scenie „Twarzy” wielki pomnik Chrystusa na wzór tego z Rio odwraca twarz w innym kierunku, niż planowali budowniczy (czyli pazerny kler i polskie kultuństwo). Mam nadzieję, że kiedyś Szumowska też zwróci głowę w innym kierunku. Dobrze jej to zrobi.

„Twarz”,
reż. Małgorzata Szumowska,
dystr. Kino Świat

Mętny los

Rzadki przypadek: przedstawienie niepotrzebne, ale co więcej, wręcz aroganckie w swoim bezsensie. Taki jest „Edyp Tyran” z toruńskiego Teatru Horzycy.

Sam tytuł spektaklu Wojciecha Klemma jest nieporozumieniem, choć to detal, który w kontekście całego przedsięwzięcia można wybaczyć. Podmiana „Króla Edypa” na „Edypa Tyrana” nie tłumaczy się filologicznie, greckie określenie bowiem „tyrannos”, które pojawia się jako ustalony przez wieki tytuł tragedii Sofoklesa, w języku oryginału nigdy nie miało ustalonej konotacji. Tyran to po prostu władca, król. Ale mniejsza z tym. Bo po co w zasadzie ta nowa fraza?

To proste. Przecież potencjał teologiczny, rozmowa o fatum, winie i karze dziś mogą się wydać nie do przyjęcia w teatrze, który ma być głośny, szybki i posklejany niczym patchwork. Wojciech Klemm – choć nie zawsze z tak fatalnym skutkiem – idzie tą drogą od dawna; pamiętam jego „Judytę” Hebbła (2011), z której mimo wszystko dało się wyluskać szczątkową psychologię słynnej bohaterki.

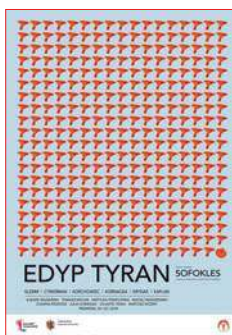
W tym przedstawieniu wszystko zaś miesza się ze wszystkim. Klemm pokazuje państwo Edypa jako maskaradę, w której zakompleksiony władca oferuje ludowi pozory wartości, na których buduje się wspólnota. Chór wyśpie-

wuje „O Panie, to Ty na mnie spojrzalesz” albo „Oto jest dzień, który dał nam Pan”. Z czego to wynika? Z bezradności, która dodatkowo definiuje brak koncepcji dla całego spektrum antycznego – interpretacje partii chóralnych pokazują, na ile reżyserzy są w stanie wykorzystać toposy tragiczne. Tu mamy zatem zgryw z religii.

Wojciech Klemm nie cofa się przed niczym. Edyp to po trosze mocny w awanturach prostak, po trosze Jarosław Kaczyński, który mówi coś o „zamachu”, „zradzieckiej mordzie” (to bodaj do Kreona), umiłowaniu kotów i kilka innych banałów. Bartosz Woźny nie wie, co zrobić ze swą rolą, ratuje się więc graniem siłowym, wymuszonym, jest rozhisteryzowany, bo to najprostszy sposób, by pokazać niepewność Edypa. To nie jego wina – od reżysera nie dostał nie tylko żadnego klucza do postaci, nie dostał też zapewne odpowiedzi, po co grać Sofoklesa w tej formule. Liczba kabaretowych gagów u Klemma jest tak pokaźna, że nie sposób się upierać, iż oglądamy cokolwiek na serio. To błąd, że spektakl ten dopuszczono do premiery.



Przemysław Skrzydelski



Sofokles
„Edyp Tyran”
reżyseria: Wojciech Klemm
premiera: 24 marca 2018 r.
Teatr im. Wilama Horzycy
w Toruniu (Duża scena)

Retrospektywa Festiwalu NNW już 19-20.04.2 Krakowie

Do grodu Kraka za tydzień zawita Festiwal NNW. Po dużym wydarzeniu w Gdyni echa Festiwalu odbyły się już we Wrocławiu, Lublinie i Ciechanowie. Teraz czas na Kraków.

W trakcie dwudniowej Retrospektywy zostanie zaprezentowanych ponad 10 filmów, w tym nagrodzony Złotym Opornikiem „Braciszek Karel” Krystyny Krauze i premierowy pokaz filmu o oddziale mjr. Henryka Flamego ps. „Bartek” Dariusza Walusiaka.

Uczestników czekają także panele dyskusyjne, wystawy, koncerty.

Uczniowie krakowskim szkół będą mieli niepowtarzalną okazję wziąć udział w żywych lekcjach historii, gdzie spotkają bohaterów podziemia niepodległościowego

oraz zobaczą ciekawe filmy o naszej pięknej ale bolesnej historii.

Jak powiedział dyrektor Festiwalu NNW Arkadiusz Gołębiowski: „W każdej naszej Retrospektywie stałym elementem są warsztaty dla młodzieży oraz panele eksperckie o aktywizacji środowisk pozarządowych. Natomiast niezwykle ważnym wzruszającym momentem są uhonorowania Sygnetami Niepodległości i Drzwiami do Wolności, przywoływanych z niepamięci, zapomnianych, lokalnych cichych bohaterów.”

Krakowską Retrospektywę objął patronatem honorowym J.E. metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski.

Retrospektywy Festiwalu NNW sfinansowano ze środków Fundacji PZU.



Cały smutek Polski

Wojciech Stanisławski

Lektura opowiadań Marka Nowakowskiego pozostawia nas ze zrozumieniem, że perspektywa upadku czy klęski jest w życiu stale obecna

Trudno polecać tom opowiadań klasyka w taki sam sposób jak debiutanta. Prozę Marka Nowakowskiego znają wszyscy, którzy choć trochę czytają, tym bardziej że chociaż bibliografie notują kilkaset jego opowiadań, wspomnień, szkiców, nie trzeba być badaczem literatury, aby czerpać radość z rozpoznawania tych samych postaci ukrytych pod kolejnymi imionami, z powtórzeń scen, intryg i point. Charakterny urke, zgorzkniały akowiec, prywaciarz, prezes, Piękna Iza tworzą ten sam ni to panteon, ni to krąg wdziałel, wędrujący przez lata od mordowni, gdzie do cieplej wódki podawano na zagrychę rozgotowany groch, do barku w Marriocie: chochoły PRL.

To jedyne w swoim rodzaju źródło, porządna historia społeczna Polski Ludowej nie obejdzie się bez setki cytatów z Nowakowskiego. Bo to on, prawie 20 lat przed głośnym manifestem Zagajewskiego i Kornhausera, zaczął opisywać „świat nie przedstawiony”. Krytyka upupiała go, zarzucając mu efekciarskie pisanie o ludziach marginesu społecznego: tak, od nich zaczynał i trzymał się ich, ale po lekturze wyboru jego najlepszych opowiadań widać, że opisał wszystkie niemal stany i typy ludzkie. Te odwieczne – stare matki, poborowych, chłopów; i te swoście peerelowskie – złote rączki, zaopatrzeniowców, kapusiów. To perspektywa trochę jak w ikonach przedstawiających Sąd Ostateczny: jedni to postacie centralne, w złocie i czerni, inni, mniej ważni, mrowią się na obrzeżach, są jednak wszyscy.

Nieobecnych w jego prozie jest tylko kilka „kondycji”: wyżsi rangą funkcjonariusze władz (wyżsi, bo powiatowi partyjni i komendanci MO już się tam znaleźli), wielcy naukowcy i artyści (niższych szczeblem, nieudaczników, ile chcieć), niepijący, entuzjastyczni robotnicy, no

i dzieci. Czyli dokładnie odwrotnie niż w powieści socrealistycznej, obowiązującej przez kilka sezonów, dogorywającej do lat 80. Może należałoby uznać Marka Nowakowskiego za najbardziej konsekwentnego polemistę z socrealizmem, za szermierza przez pół wieku mówiącego „nie” propagandowej nadrzeczywistości?

Pisarz-antykomunista, godny towarzysz Józefa Mackiewicza? Wielu chce go tak widzieć, czasem trochę na siłę łącząc ambicje pisarskie debiutującego pod koniec lat 50. autora, odwagę „artysty w czasie dojrzałości” piszącego „Raport o stanie wojennym”, melancholię, z jaką przywoływał zamkniętą już przeszłość w „Powidokach”, wreszcie coraz bardziej cierpki z latami stosunek Nowakowskiego do zachwyconego sobą środowiska, pamfletowo i nieprecyzyjnie określanego mianem „salonu”.

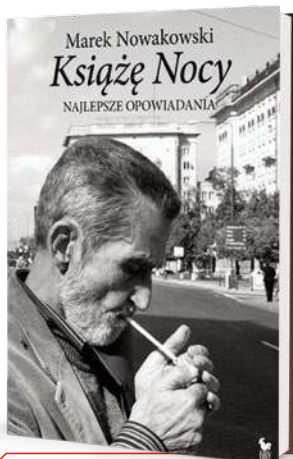
Jest w tym widzeniu sporo racji, mnie jednak podczas lektury „Najlepszych opowiadań” uderzyło coś innego: konsekwencja sięgająca poza wielki przełom lat 80. i 90., poza odzyskanie niepodległości. Owszem, znikło kilku bohaterów drugoplanowych, w oczywisty sposób należących do dawnego porządku, a kilku pierwszoplanowych tak się postarzało, że nie sposób ich już było galwanizować w kolejnych wcieleniach. Panteon jednak jako całość nie zmienił się niemal wcale. Ta sama zapobiegliwość, cwaniactwo, histeria, głątwa zżerają jego bohaterów po roku 1989, takie same są: potrzeba klina, gniew, zawiść.

Ta niezmiennosc jest znacząca. Ma ona oczywiście swoją wymowę polityczną. Stasio Bombiak z „Homo polonicusa” był żywym dowodem na to, że skazanie Polski komunizmem trwało i trwa, nawet jeśli zetlałe.



Niezmiennność frazy dla jednych była dowodem na stałość autora, dla innych – na jego zakrzepnięcie w formie, na rzeźbienie wzdłuż stałych linii. Jedni i drudzy mieli rację, w powracaniu do starych opowiadań Nowakowskiego, wyszukiwaniu tych jeszcze nieznanых było coś z przywiązania inżyniera Mamonia do melodii, które zna, irytacja na znajomy zwrot akcji ustępowała podziwowi, że można tak na jednej strunie.

A zarazem ta niezmiennność pozwala dostrzec w Marku Nowakowskim nie tylko świadka czy „kronikarza PRL”, lecz także pisarza – mocne słowo – metafizycznego, który opowiadał o świecie upadłym, skalanym, niczym w manichejskiej mitologii, nie przez ustrój, ale przez złego demiurga. Bo przecież, gdyby podsunęto nam jakieś



Marek Nowakowski, „Książę Nocy. Najlepsze opowiadania”, Iskry, Warszawa 2018

jego opowiadanie jeszcze nieznanе, rozpoznalibyśmy autora nie po krajobrazie warszawskich Włoch czy Powiśla, nie po szyku przestawnym zdań czy powracającym urywku knajackiej śpiewki, ale po tym, że nieodmiennie ukazują małość, słabość, śmieszność, a w najlepszym razie – porażkę jednego lub wszystkich bohaterów, tak samo w roku 1948, jak 1998. To katharsis na opak, lektura choćby i znanego na pamięć „Kwadratowego” czy „Sarkomy” pozostawia nas zawsze z takim samym żalem, osadem, ze zrozumieniem, że perspektywa upadku czy klęski jest w życiu stale obecna. To opowiadania na wiek męski. I taki też był, bez zdjęć z siłowni, selfie ze spluwą, wszystkich tych hemingwayowsko-twardochowych akcesoriów, Marek Nowakowski.

Dekady, miesiące

S ynteza dziejów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ukazała się kilkanaście, można by z nich ułożyć antologię „od Alberta po Zbiewskiego”. Ciągłe jednak potrzebujemy opowiedzenia tamtego czasu, wytłumaczenia nieszczęścia Jałty, zbrodni, a potem zwyczajnego skundlenia i paraliżu, z którego jednak narodziła się „Solidarność”.

Praca prof. Jerzego Eislera opisuje PRL wiernie, a zarazem z pewną powściągliwością sądów. Jej lektura skłania do przypomnienia sobie pierwszych, niemal na gorąco pisanych portretów kolejnych „polskich miesięcy” pióra Jakuba Karpińskiego. Śledząc z kolei metrum tej książki, jej elegancję, takt, czasem zaś głęboko ukryty między zdaniem i półuśmiechem, z jakim reagować można na osobliwe obroty ludzkich losów, wspominałem szkice Jerzego Stempowskiego.

Wzorów, a nieraz po prostu odwołań do literatury pięknej i fachowej, można zresztą wyliczać więcej, ta książka

obdarzona jest – by przywołać zgraną przed laty frazę – „laską późnego urodzenia”, powstaje trzy dekady po końcu tamtego niesławnego 45-lecia: stąd możliwość cytowania współczesnych prac, podjęcia dyskretniej polemiki ze zdumiewającym a głośnym esejem Andrzeja Ledera o „prześnionej rewolucji”, nie z politrukami.

Jest w tej książce oddech, umiejętność pokazania dziedzictwa/osadu „długiego trwania”, tak ciekawiego historyków, a umykającego czytelnikom ciągle zainteresowanym tym, kto za kim stał, już to w kolejce, już to w Biurze Politycznym. Eisler podejmuje rozmowę o modernizacji, o trudnej do oszacowania skali „postaw przystosowawczych”. Na chłodno, bez portallowych wykrzykników zwraca uwagę na całkowite niemal wyeliminowanie z życia publicznego w PRL – najpierw za pomocą terroru, potem szlabanów cenzuralnych, niszczenia karier, szerzenia czarnej legendy – ludzi najszerzej pojętej prawicy. „Na pa-

radoks – zauważa – zakrawa fakt, że w III RP prawicę tworzyły osoby o tak lewicowych (w rozumieniu niepodległościowej tradycji PPS) sympatiach jak Lech Kaczyński czy Jan Olszewski”. Zarazem z równym chłodem dekonstruuje prostacki mit „żydokomuny”, przywołując zadające mu kłam dane liczbowe oraz nazwiska towarzyszy Józefa Duszy, Franciszka Mazura czy Zenona Nowaka, wygodnie skrytych za emblematycznym Bermanem czy Mincem. Ale i tłumaczy, z jakich upokorzeń, spiskowego myślenia, chęci przypisania zbrodni „obcemu” brał się ten mit.

Jest wreszcie w tej pracy uważność wobec języka, czasem odrobinę zabawna, jak w mocnym zastrzeżeniu, w jednym z pierwszych akapitów książki, że błędem jest traktowanie skrótowców „PRL” i „PZPR” jako męskości, częściej niesłuchanie wartościowa, jak w rozpisaniu na kilka stron namyśle nad fenomenem „ograniczonej suwerenności” PRL i propozycja określenia Polski Ludowej mianem państwa niepodległego, ale nie suwerennego.

„Najtrwalszym dziedzictwem tamtych czasów jesteśmy my sami – ludzie, którzy wyrosli w Polsce Ludowej” – konkluduje Eisler. I rzeczywiście, wyszedłszy z domu niewoli mniejszym kosztem niż pokolenia II Rzeczypospolitej, będziemy pewnie rozważać PRL i spierać się o nią do końca życia.



Jerzy Eisler, „Czterdzieści pięć lat, które wstrząsnęły Polską. Historia polityczna PRL”, Wydawnictwo Czerwone i Czarne, Warszawa 2018



Solidny kryminał made in Italy



Donato Carrisi odebrał kilka tygodni temu z rąk Stevena Spielberga nagrodę Włoskiej Akademii Filmowej dla najlepszego debiutującego reżysera. Nieczęsto się zdarza, by pisarz w tak udany sposób przekładał na język filmu swoją powieść.

„Dziewczyna we mgle” to kryminał ze skandynawskim klimatem, choć akcja rozgrywa się na północy Italii. Zamiast sycylijskiej spalonej gleby z litrami wsiąkniętej krwi dostajemy posępne góry gdzieś na pograniczu Włoch i Słowenii. Jest mrok, tajemnica i zbrodnia ukryta w skąpanym w deszczu lesie i we mgle. Właśnie we mgle „rozplywa się” nastolatka. Jak jednak mogła zniknąć w hermetycznie zamkniętej społeczności? To społeczność chrześcijańskich radykałów, którzy stworzyli zamknięty świat, w jakim chcieli chronić swoje dzieci przed niebezpieczeństwami świata.

Do miasteczka przyjeżdża ciesząc się sławą cynicznego i bezwzględного gliniarza Vogel (Toni Servillo). To kolejne głośne zabójstwo, jakie chce rozwiązać. Nie ma oporów, by wykorzystać do tego media. Tworzy niebezpieczny spektakl, który zaczyna zjadać jego samego. Tabloidyzacja mediów nie jest dla nikogo żadną tajemnicą. Kino dotyka tego problemu od dłuższego czasu. Niemniej to wła-



Kino

nie w Italii (za sprawą wejścia na rynek mediów Berlusconi) tabloidyzacja osiągnęła specyficzny wymiar, co Carrisi dobrze odmalowuje.

Debiutant odrobił lekcje najlepszych współczesnych twórców kryminałów. Nie jest oczywiście Davidem Fincherem, ale skrupulatnie, w zdyscyplinowany sposób prowadzi intrygującą fabułę. Odpowiednio dawkuje napięcie i sprawnie robi fabularne przewrotki. Siłą tego kryminału są niejednoznaczne postacie. Ulubieniec Paolo Sorrentino, czyli Toni Servillo, jest znakomity w roli cynicznego i podstępного gliniarza. To nie żaden komisarz Cattani, ale bezwzględny manipulant. Nie żaden upadły moralnie policjant, jak ten grany przez Alę Pacino w podobnej stylistycznie „Bezsenności” Nolana, ale do ostatnich scen postać niejednoznaczna.

Walka między Vogelem a podejrzanym o przestępstwo miejscowym nauczycielem prof. Martinim (Alessio Boni) jest prowadzona intrygująco. Carrisi myli tropy, udaje, że gra znaczącymi kartami, i wiarygodnie dokonuje zwrotów akcji. Jako wisienka na torcie, w epizodycznej, ale znaczącej roli, pojawia się też Jean Reno. Solidny, wciągający kryminał nie tylko dla fanów gatunku.

„DZIEWCZYNA WE MGLE”,

REŻ. DONATO CARRISI, DISTR. BEST FILM



VOD

Po prostu Spielberg



Nie jest to jeden z wielu robionych na klęczkach, banalnych dokumentów o ikonie popkultury. „Spielberg” to przenikliwy film nie tylko o Spielbergu reżyserze, lecz również Spielbergu człowieku. To historia żydowskiego chłopca z przedmieść prowincjonalnego miasta, który sięgnął marzeń. Stał się jednym z najważniejszych reżyserów świata, który nawet w Hollywood pozostał na tyle niezależny, że może robić kino, na jakie ma ochotę. Jednocześnie pozostał tym samym chłopcem idealistą, który własne przeżycia umieszcza w każdym swoim filmie.

Doświadczona dokumentalistka Susan Lacy doskonale naświetliła ten aspekt produkcji Spielberga. Jak bardzo osobiste są „E.T.” i „Bliskie spotkania trzeciego stopnia”? Ile własnych lęków i pragnień Spielberg umieścił w „Monachium” czy „Szczękach”? Ten dokument to też kawał historii kina, który pokazuje, jak grupa przyjaciółnych się brodatych buntowników (Lucas, Spielberg, Coppola, Scorsese, De Palma) przemieszła wspólnie całe kino amerykańskie w latach 70. Fascynujące!

„SPIELBERG” DOSTĘPNY NA HBO GO



Allen pełen goryczki 👎👎

Woody Allen zawsze powtarzał za Groucho Marxem, że życie jest przygnębiające, pełne samotności, cierpienia i do tego kończy się za szybko. Słodczy i gorzki – te dwa smaki, raz lepiej, raz gorzej, przenikały się w kinie Woody’ego Allena. Dziś została tylko gorzkość. Gorzkość nieznosna. 82-letni Allen już nie wierzy w ludzi. To musi być dla niego okropne, gdyż nie wierzy też w Boga. W jego ostatnich kilku filmach bezнадziejа triumfuje. Mnie to przygnębia.

Allen wraca na Coney Island swojego dzieciństwa i opowiada historię czterech osób niemogących zejść ze ślamazarnej karuzeli życia. Rozdygotana emocjonalnie, niespełniona aktorka Ginny (Kate Winslet) służy gburowatemu, ale mającemu gołębie serce mężowi Humpty’emu (Jim Belushi). On jest operatorem mało opłacalnej karuzeli. Ona kelnerką w nadmorskim barze. Życiowy marazm zostaje przerwany, gdy pojawiają się uciekająca przed gangsterami wyklęta córka Humpty’ego Carolina (Juno Temple) i marzący o karierze dramaturga przystojny ratownik Mickey (Justin Timberlake).

Mickey jest narratorem filmu i bezpośrednio mówi do widzów, patrząc w ekran. Lubię w kinie ten ekscentryczny zabieg, ale nie przykrywa on faktu, że Allen nie ma nic nowego do powiedzenia.



DVD

To kolejny jego film polemizujący z Dostojewskim – nie ma sprawiedliwości ani kary za zbrodnie. Niestety pozbawione to jest błysku jego „Zbrodni i wykroczeń” oraz „Wszystko gra”.

Allen nadal ma nosa do obsady. Kate Winslet jest zjawiskowa jako sfrustrowana, niestabilna emocjonalnie, dobiegająca czterdziestki kobieta, która nie umie się wyrwać z szarości egzystencji. Zaskakująco złożony jest też Humpty

w ujęciu przeżywającego drugą aktor-ską młodość Jima Belushiego.

Aktorski duet powoduje, że błahy i wyzbyty z oryginalności „Na karuzeli życia” dobrze się ogląda. Między obsadą jest chemia, Coney Island zaś błyszczy w oku mistrza Vittoria Storaro. Ja jednak wciąż czekam na błysk dawnego mistrza z Manhattanu.

„NA KARUZELI ŻYCIA”,

REŻ. WOODY ALLEN, DYSTR. KINO ŚWIAT

DVD

Podróbka Vegi 👎👎

Totem” to film zdumiewający. Pod każdym względem. Zdumiewa skala wulgaryzmów na minutę. Zdumiewa Popek na plakacie jako gwiazda filmu, którego w filmie praktycznie nie ma. Zdumiewa też to, że produkcja nie ma prawie dialogów, bo ich nie słychać przez katastroficzne udźwiękowanie. W końcu debiut fabularny Jakuba Charona to po prostu marne ksero gangsterskiego kina Patryka Vegi. Mimo że kadrowaniem, zabawną kolorystyką jego film ma się wpisywać w klimat artystycznego kina Nicolasa Refna, to jednak ekranowe dresiarstwo wrzuca film do zupełnie

innej szufladki. Postacie mamrocząc, miotają się po ekranie bez ładu i składu. Z głośników dudni zagłuszający wszystko rap. Szkoda, że Charon tak się pogubił, bo wychodził od ciekawego konceptu – braterski konflikt i bałkańska mafia w tle. Niestety ta historia donikąd nie prowadzi. Postacie nie rozwijają się, a chaotyczne ujęcia męczą i nużą. Charon chciał odkryć przed widzem świat gangusów? Sam zatopił się w cień potwornie złego kina.

„TOTEM”, REŻ. JAKUB CHARON,
DYSTR. KINO ŚWIAT





Fot. Andriej Widor

Piekło paradoksów

Końca syryjskiego piekła na razie nie widać. Odniesione przez Kurdów i sprzymierzonych z nimi Amerykanów wielkie zwycięstwo nad demonicznym Państwem Islamskim dało pole do kolejnych brutalnych pacyfikacji wojskowych



JAN ROKITA

Syria jest prawdziwym piekłem na ziemi, gdzie przeciwko człowiekowi używa się zarówno średnio-wiecznych narzędzi głodu i pragnienia, jak i najnowocześniejszej broni chemicznej” – mówił niedawno nuncjusz apostolski w Damaszku, abp Mario Zenari. Ponad rok temu papież mianował tego włoskiego duchownego kardynałem, co było aktem podkreślającym nadzwyczajne zainteresowanie, z jakim Watykan traktuje polityczną przyszłość Syrii, a zwłaszcza dalsze losy chrześcijan żyjących tam nieprzerwanie od czasu misji ewangelizacyjnej apostołów Barnaby i Pawła z Tarsu. Teraz Zenari informuje, że w wyniku ośmioletniej wojny liczba chrześcijan syryjskich zmniejsza się o połowę. I wieszczę, że „kiedyś przed Bogiem z tego wszystkiego będziemy musieli zdać sprawę”.

Dość niespodziewanie dzieła zniszczenia antycznych śladów syryjskiego

chrześcijaństwa dopełnia dziś lotnictwo tureckie (będące częścią sił NATO!!!), które podczas inwazji na kurdyjską Rożawę zbombardowało grób św. Marona – czczonego przez katolików i prawosławnych ojca monastycyzmu syryjskiego – a także cenne pozostałości katedry św. Juliana z czasów Teodozjusza Wielkiego.

Końca syryjskiego piekła na razie nie widać. Jeszcze trwa rozpaczliwa obrona miasta Duma przez islamskich powstańców, których damasceński tyran Baszar al-Asad chce zmusić do kapitulacji, używając przeciw nim nawet broni chemicznej. Osiem lat temu to właśnie tutaj rozpoczęła się zbrojna rebelia przeciw władzy Asada.

To ponad stutysięczne niegdyś miasto, przylegające od wschodu do aglomeracji Damaszku i położone w bajecznym krajobrazie u stóp gór Antylibanu, jest dziś całkowitą ruiną za sprawą regularnych nalotów rosyjskich bombowców. Duma to już druga po Aleppo tego typu zbrodnia przeciw ludzkości, jakiej dopuścili się w Syrii rosyjskie siły interwencyjne, ale Moskwa wykazuje brak wrażliwości na wezwania zachodnich polityków czy międzynarodowe apele humanitarne.

Całkowite zniszczenie miasta z powietrza przez Rosjan, połączone z okra-

żeniem przez armię rządową i ochotników perskich oraz punktowymi atakami chemicznymi na mieszkańców, to taktyka wojskowa, która nawet najbardziej heroiczne grupy powstańcze zmusza do kapitulacji i rozbrojenia. Syryjskie Obserwatorium Praw Człowieka, które stało się dla świata głównym źródłem jako tako wiarygodnych danych na temat wojny, podaje, że w ciągu 30 miesięcy takich bombardowań Rosjanie zabili ok. 10 tys. rebeliantów i 8 tys. cywilów. To za pewne kwestia najbliższych dni, kiedy ostatni powstańcy zostaną zmuszeni do opuszczenia Dumy, a Asad wraz z Rosjanami przejmie całkowitą kontrolę nad prowincją Guta, skąd przez ostatnie lata powstańcy zagrażali Damaszкови i mogli ostrzeliwać stolicę kraju.

ROZPRAWA Z KURDAMI

Także turecka inwazja na kurdyjską Rożawę jest politycznym skutkiem zwycięstwa nad Państwem Islamskim. Ten spektakularny sukces militarny, jaki odniosły zorganizowane i dowodzone przez Kurdów Syryjskie Siły Demokratyczne, umożliwił bowiem stworzenie autonomicznego quasi-państwa Kurdów w północnej Syrii, aż po turecką granicę. Trzy kurdyjskie kantony

powołały tam federację rządzącą się unikalnym na tych terenach ustrojem samorządowym. Turecki prezydent Recep Erdoğan nie kryje tego, że zbrojna interwencja jego wojsk w Syrii ma na celu likwidację tej quasi-państwowości. Na razie Turcy zbrojnie podbili jeden z trzech kurdyjskich kantonów – Afrin, doprowadzając do ucieczki paruset tysięcy tamtejszych mieszkańców oraz uchodźców, którzy pod opieką władz kurdyjskich znaleźli tam w przeszłości schronienie przed prześladowaniami Państwa Islamskiego.

W ciekawym wywiadzie, jaki „Krytyka Polityczna” przeprowadziła z rzecznikiem sił kurdyjskich Novim Mahmoudem, twierdzi on, że przez Afrin przewinęło się prawie milion uciekinierów. Te setki tysięcy ludzi koczują teraz gdzieś na obszarach pomiędzy Turkami okupującymi Afrin a zajęętymi przez armię Asada ruinami Aleppo. Poza kurdyjską samopomocą, dzięki której powstaje tam olbrzymi obóz uchodźczy, nie widać, aby świat wykazywał jakieś większe zainteresowanie ich losem.

We wspomnianym wywiadzie Mahmoud twierdzi, że „celem Turków jest głęboka zmiana demografii regionu”. Nie ma wątpliwości, że prawidłowo odczytuje cel polityki prezydenta Erdoğan. Inwazja na Rożawę jest bowiem tylko środkiem do wypędzenia Kurdów z ich rdzennych terytoriów w Syrii, by móc zasiedlić je na nowo osadnikami przywiezionymi tam z Turcji oraz (co szczególnie ciekawe) ewakuowanymi z Guty, w wyniku kapitulacji islamistycznych oddziałów powstańczych. Dlatego Kurdowie podejrzewają istnienie jakiejś tajnej (zapewne nieformalnej) umowy Erdoğan z Asadem, dzięki której pokonani w Gucie rebelianci, jak również zbuntowana przeciw Asadowi tamtejsza sunnicka ludność, której udało się przeżyć bombardowania i oblężenie, mogliby zostać przesiedleni na okupowane przez Turków terytoria kurdyjskie. Te przymusowe przesiedlenia wielkich mas ludzkich miałyby zapewnić w przyszłości spokój zarówno Erdoğanowi, jak i Asadowi w zajętych przez nich siłą prowincjach syryjskich.

W kategoriach prawa międzynarodowego tego rodzaju zмова jest jeszcze jedną popełnianą w Syrii zbrodnią przeciwko ludzkości, będącą wstępem do przygotowywanego rozbioru nieistniejącej już syryjskiej państwowości. Jednym z wielu nieoczekiwanych zawiślań wojny syryjskiej jest to, że fundamentalistyczni powstańcy islamscy, zabijani i wypędzani ze swoich miast przez Asada i Rosjan, są mile widzianymi sojusznikami Erdoğan, którzy mogą mu pomóc w trwałej „dekurdyzacji” Rożawy. Mahmoud mówi o posiadanych przez Kurdów filmach wideo, na których widać żołnierzy wkraczających wraz z Turkami do Rożawy Wolnej Armii Syryjskiej, z patosem śpiewających dżihadystyczne pieśni. „Wojska tureckie niczym nie różnią się od bojowników Państwa Islamskiego” – dodaje.

EUROPA ZALEŻNA OD ERDOĞANA

Podczas gdy prezydent Turcji wypędza ludność kurdyjską i publicznie zapowiada atak na następne kantony

REKLAMA



FUNDACJA WSPIERANIA
UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

Zima się skończyła i pozostawiła po sobie to, no co kierowcy samochodów zwykli narzekać niewybrednymi zwrotami. Dziury w jezdniach. A to oznacza, że samorządy terytorialne, do których drogi należą, muszą je naprawić oraz uporać się z roszczeniami o odszkodowania za zniszczenia pojazdów. To duży problem i wydatek dla gmin, powiatów czy miast. Jednak coraz więcej z nich wychodzi z tego obronną ręką korzystając z ochrony ubezpieczeniowej T UW-ów.

Towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych zdobywają coraz większy udział w rynku ubezpieczając spółki skarbu państwa. Spotykają się także z coraz większym zainteresowaniem swoją ofertą ze strony samorządów terytorialnych. Wystarczy wspomnieć Łódź, która jako pierwszy duży samorząd skorzystała z tego typu oferty.

– Samorządy terytorialne zaczęły dostrzegać przede wszystkim olbrzymią szansę w tym, że decydując się na współpracę z towarzystwem

Ubezpieczenie OC dla samorządów

ubezpieczeń wzajemnych nie muszą organizować przetargu – wyjaśnia Jarosław Bierecki, prezes Fundacji Wspierania Ubezpieczeń Wzajemnych. – Samorząd chcąc skorzystać z oferty komercyjnych ubezpieczycieli musi ogłosić przetarg. Zgłaszające się towarzystwa często przedstawiają oferty zdecydowanie za drogie. W takiej sytuacji samorząd może się na nie godzić lub nie. Inaczej sprawa wygląda w przypadku T UW-ów, z którymi po prostu bez przetargu samorząd może wynegocjować warunki umowy ubezpieczeniowej. Właśnie takie rozwiązanie samorządy coraz częściej wybierają, jeżeli kierują się oszczędnością – wyjaśnia prezes FWUW.

Co jeszcze, oprócz większego wpływu na warunki współpracy, zyskują samorządy decydując się na ofertę T UW-ów? Ubezpieczenie w T UW daje możliwość rozliczenia składki na podstawie faktycznej szkodowości – na zasadzie systemu dopłat i zwrotów. Oznacza to, że jeśli nie ma szkód lub są niewielkie, członkowie T UW zyskują, jeśli szkody są wysokie, towarzystwo może wnioskować o dopłatę. Jednak z tej drugiej opcji rezygnuje ze względu na perspektywę dalszej współpracy z klientem. Następną korzyścią jest zminimalizowanie kosztów obsługi ubezpieczeń majątkowych.

– Zły stan dróg to bolączka większości samorządów terytorialnych. Koszty ich utrzymania i napraw są bardzo wysokie, co szczególnie dotkliwie odczuwalne jest wraz z nastaniem wiosny. I tutaj widać kolejną korzyść ze współpracy z T UW-em. Dzięki wynegocjowanym warunkom towarzystwo może zapewnić kompletną obsługę ubezpieczenia majątkowego samorządu, również dróg, zwalniając go często tym samym, np. z opłacania rzeczoznawcy przy wycenie swojego majątku – wyjaśnia Jarosław Bierecki.



Jarosław Bierecki,
prezes FWUW

Różawy, Europa wykonuje wobec niego kolejne polityczne umizgi, przerażona perspektywą, że turecki władca mógłby pewnego dnia znów puścić przez Morze Egejskie tysiące łódek z imigrantami. 26 marca w bułgarskiej Warnie odbyło się przyjacielskie spotkanie Erdoğan z szefami instytucji unijnych – Donaldem Tuskiem i Jeanem-Claudem Junckerem – w trakcie którego Tusk z entuzjazmem chwalił tureckiego przywódcę za „imponującą pracę, którą wykonuje”. Rzecz jasna, Tuskowi szło nie o wojnę w Syrii, ale o sprawną blokadę szlaków uchodźczych, jaką przeprowadziła armia turecka, budując m.in. mur na granicy turecko-syryjskiej. W nagrodę Unia przekazała Turkom 80 pojazdów pancernych przystosowanych do pilnowania granic, z których część wykonuje już operacje przeciw Kurdom na syryjskim pograniczu.

Faktem jest, że Europa skazana jest dziś na schlebienie tureckiemu autokracie. I może jedynie od czasu do czasu wydawać ciche pomruki na temat okrutnego losu ludności kurdyjskiej, nie po to, by coś od Turka naprawdę uzyskać, lecz aby zadośćuczynić choć trochę własnym wyrzutom sumienia.

CO ZROBI TRUMP

Jeszcze bardziej zagadkowa jest strategia Donalda Trumpa w tej zawilej syryjskiej układance. W ostatnich dniach marca oświadczył on niespodzianie podczas wiecu politycznego w stanie Ohio, że Amerykanie wycofają się z Bliskiego Wschodu „bardzo szybko”, gdyż tylko ponoszą tam koszty i straty. Ta zapowiedź spotkała się z gwałtowną (jak słychać z nieustannych teraz przecieków z gabinetów rządowych w Waszyngtonie) reakcją ze strony głównych sojuszników Ameryki: Arabii Saudyjskiej i Izraela. Owe przecieki do amerykańskich mediów mówią o bardzo burzliwych rozmowach telefonicznych Trumpa z królem Salmanem i premierem Netanjahem, co nie dziwi, zważywszy na to, że rejtura Amerykanów stanowiłaby niekorzystną dla obu krajów zmianę układu sił w regionie. Chodzi w jakiejś mierze o trwałe osadzenie się Rosjan w Syrii, ale przede wszystkim o zagrożenie ze strony Iranu, który

(z perspektywy Saudyjczyków) mógłby już bez jakichkolwiek hamulców zapanować nad szyickim w większości Irakiem oraz sporą częścią rozebraną przez sąsiadów Syrii, a z perspektywy Żydów – bezkarnie postawić swoje rakiety u stóp Wzgórz Golan, czyli paręnaście kilometrów od świętego żydowskiego miasta Safed i Jeziora Galilejskiego.

Zarówno Rijad, jak i Jerozolima boją się na Bliskim Wschodzie tak naprawdę tylko jednej rzeczy: rozlewającej się potęgi perskiej. Próbuje więc wyhamować zapędy Trumpa, który (skądinąd nie całkiem bez racji) uznał, że pomimo wielkiego zwycięstwa nad Państwem Islamskim politycznego sukcesu na Bliskim Wschodzie raczej nie osiągnie. Z perspektywy Trumpa lepiej wycofać amerykańskich żołnierzy i lotnictwo teraz, gdy odniesione zostało zwycięstwo nad największym wrogiem, niż kiedyś w przyszłości, gdy sytuacja tylko bardziej się skomplikuje.

„The New York Times” tak relacjonował (z przecieków) zebranie Rady Bezpieczeństwa Narodowego w Białym Domu 3 kwietnia 2018 r. Trump domaga się od generałów szybkiego powrotu Amerykanów do domu, ale szef Pentagonu gen. Mattis oraz szef połączonych sztabów gen. Dunford miękko oponują, mówiąc, że przygotowali dwie opcje działań. Jedną, tak jak chce prezydent, szybkiego wycofania, oraz drugą – wycofania „za jakiś czas, po ustabilizowaniu regionu”. Poirytowany Trump pyta: „A ile czasu na to potrzebujecie?”. „Miesiące, a nie lata” – odpowiadają generałowie. „No dobrze, na to mogę się zgodzić” – konkluduje prezydent. Efektem tego zebrania stał się dość niejasny komunikat, z którego wynika, że Amerykanie co prawda planują wycofanie się, ale na razie jeszcze tego nie robią.

Zdaje się, że w osłabieniu woli rejtury ze strony Trumpa sporą rolę odegrała informacja, iż w Dolinie Środkowego Eufratu, na pograniczu syryjsko-irackim, usadowiło się prawie 2 tys. najbardziej wytrwałych bojowników Państwa Islamskiego, którzy za jakiś czas mogą stamtąd podjąć kolejną kontrofensywę. Przed takim niebezpieczeństwem otwarcie przestrzegał płk Ryan Dillon – oficjalny rzecznik amerykańskiej

„koalicji antyterrorystycznej” w Iraku i Syrii. A atak chemiczny na ludność Dumi chwilowo zdjął kwestię wyjścia Amerykanów z politycznej agendy Białego Domu.

Syryjskie piekło jest więc nie tylko pełne niebывалых okrucieństw i zbrodni przeciw ludzkości, lecz także miejscem zdumiewających politycznych paradoksów. Wygląda na to, że głównymi politycznymi przegranymi tej wojny mogą się stać jej militarni zwycięzcy – czyli Kurdowie, którzy rozbili Państwo Islamskie i zdobyli jego stolicę Rakkę. Ani Europa drżąca przed kolejną falą imigrantów, ani Ameryka związana z Turcją sojuszem NATO nie chce – albo i nie jest w stanie – wystąpić w ich obronę. Ich przyszłość, jak i los całej Różawy mogą się okazać tragiczne, jeśli Trump istotnie wycofa stamtąd za jakiś czas swoje wojska. Z kolei masakrowani przez Rosjan islamistyczni powstańcy (a przynajmniej ci, którym uda się przeżyć) mogą zasilić szeregi protureckiej Wolnej Armii Syryjskiej, usadowić się na tureckim pograniczu i być może nawet stamtąd planować po cichu jakieś terrorystyczne zamachy. Przed taką właśnie perspektywą przestrzegają świat zachodni przywódcy kurdyjscy.

W niespójności i paradoksy wikłają się również syryjskie plany Donalda Trumpa. Amerykanie, którzy w 2014 r. zmontowali z poparciem ONZ zwycięską globalną „koalicję antyterrorystyczną”, myślą teraz o szybkiej rejturadzie, nawet za cenę zlekceważenia interesów swoich sojuszników. Tyle tylko, że całkowicie na przekór własnym intencjom i planom, Białe Domy – nie chcąc okazać słabości – musi teraz nakazać odwetowy nalot na wojska Asada, po tym jak po raz kolejny prowokacyjnie dopuściły się one ataku chemicznego. I to mimo ryzyka absolutnie niechcianej zbrojnej konfrontacji z Moskwą, która publicznie grozi zestrzeleniem amerykańskich pocisków lecących w stronę Syrii. Widać wyraźnie, że Amerykanie robią w Syrii wszystko to, czego właśnie najbardziej nie chcieliby robić. W finale wojny syryjskiej zaś jej wielkimi geopolitycznymi przegranymi mogą się okazać Żydzi i Saudowie, których śmiertelny perski wróg ma szansę, bez szczególnego rozgłosu, usadowić się na dobre u ich granic.

Tylko u nas w takiej cenie!

plus



Abonament telefoniczny
+ Internet
+ Telewizja

60 zł

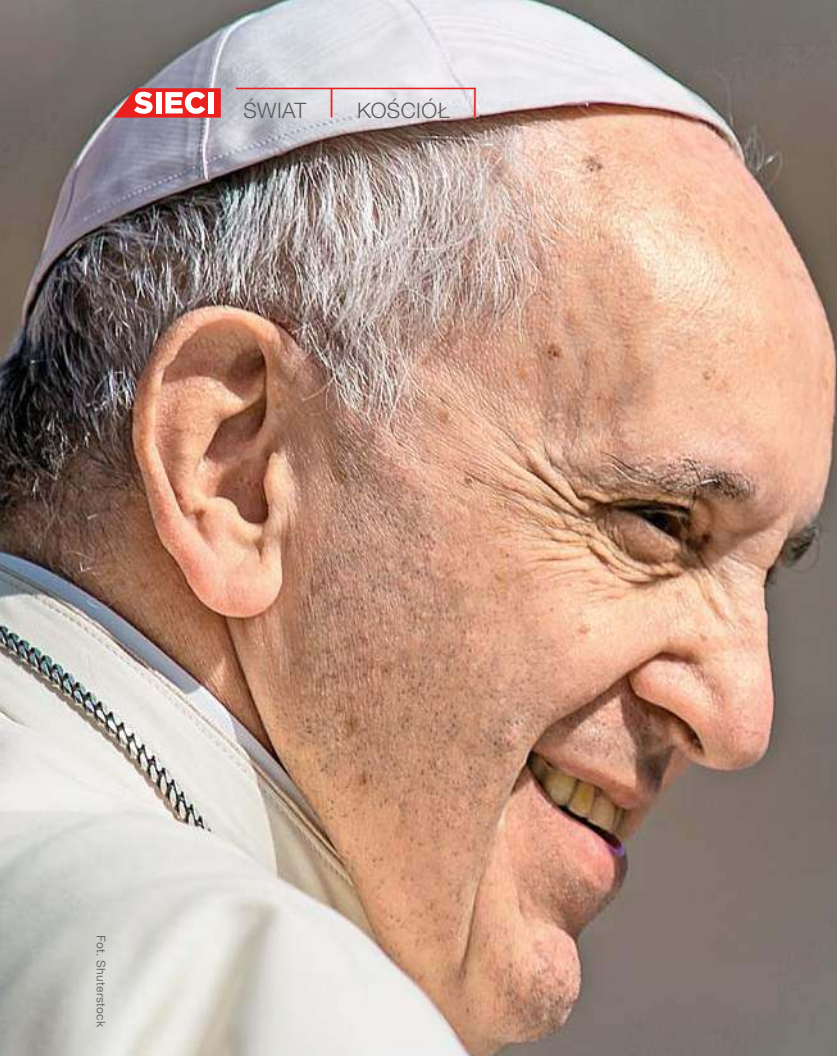
miesięcznie z rabatem smartDOM



HUAWEI P SMART

Opłata miesięczna 60 zł uwzględnia rabaty wynikające z programu smartDOM. Dotyczy wybranych wariantów ofert: abonament telefoniczny 30 zł/mies., Internet z abonamentem 20 zł/mies. z rabatem smartDOM oraz telewizja z ofertą Rodzinny HD + Cinemax HD z minimalnym zobowiązaniem 10 zł/mies. z rabatem smartDOM, przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. Szczegóły w regulaminach promocji, Warunkach Oferty regulaminie oraz regulaminie programu „smartDOM 4 – Telewizja, Internet, Telefon” dostępnych na www.plus.pl, www.cyfrowypolsat.pl i u Doradców.





„Zły humor nie jest oznaką świętości. [...] Święty jest zdolny do życia pełnego radości i poczucia humoru. Nie tracąc realizmu, oświeca innych pozytywnym i pełnym nadziei duchem”. Przeczytaj, co jeszcze zawiera adhortacja apostolska papieża Franciszka „O powołaniu do świętości w świecie współczesnym”

Franciszek o drodze do świętości



PIOTR ŚLABEK

Najnowsza adhortacja papieża Franciszka „Gaudete et exsultate” podejmuje zagadnienie powszechnego powołania do świętości. Papieski dokument jest rozważaniem o aktualności Bożego wezwania na tle realiów współczesnego świata, z uwzględnieniem dzisiejszych zagrożeń, wyzwań i możliwości. Bóg pragnie, abyśmy byli świętymi, i oczekuje, że nie zadowolimy się życiem przeciętnym, rozwodnionym, pustym, ale zaryzykujemy wędrówkę Jego ścieżkami, podążając mimo przeszkód za Słowem Bożym.

Idąc drogami świętości, zawsze możemy liczyć na pomoc Boga, na to, że postawi na naszym szlaku tych, którzy będą

nas wspierać, kiedy się zatrzymamy, będą nas pobudzać do osiągnięcia celu naszej pielgrzymki. Wśród nich mogą być nasi bliscy: matka, ojciec, babcia, brat, siostra lub inne osoby. Święci to nie tylko ci, którzy są już beatyfikowani lub kanonizowani. Duch Święty rozlewa świętość wszędzie także poza Kościołem katolickim, w bardzo różnych środowiskach. Dostrzegajmy świętość w rodzinach, w ludziach ciężko pracujących, by zarobić na chleb, w osobach starszych i chorych, które nadal się uśmiechają.

ODKRYĆ W ŻYCIU TROCHĘ RADOŚCI

„Święty jest zdolny do życia pełnego radości i poczucia humoru. Nie tracąc realizmu, oświeca innych pozytywnym i pełnym nadziei duchem. Bycie chrześcijanami jest »radością w Duchu Świętym« (Rz 14, 17). [...]”

Zazwyczaj radości chrześcijańskiej towarzyszy poczucie humoru, tak widoczne np. u św. Tomasza Mo-

rusa, u św. Wincentego à Paulo czy też u św. Filipa Nereusza.

Zły humor nie jest oznaką świętości: »usuń przygnębienie ze swego serca!« (Koh 11, 10)... (przypis 101). Zalecam odmawianie modlitwy przypisywanej św. Tomaszowi Morusowi: »Panie, obdarz mnie dobrym trawieniem, a również czymś, co mógłbym strawić. Daj mi zdrowie ciała i dobry humor, by móc je zachować. Daj mi, Panie, duszę prostą, która potrafi uznać za skarb wszystko, co jest dobre, i która nie zleknie się widokiem zła, ale raczej znajdzie sposób, by doprowadzić wszystko na swoje miejsce. Daj mi duszę, która nie zna nudy, zrządzenia, westchnień, lamentów i nie pozwól, bym zbyt martwił się zawałidrogą, która nazywa się 'ja'. Daj mi, Panie, poczucie humoru. Udziel mi łaski zrozumienia żartu, by odkryć w życiu trochę radości i by móc użyć jej innym. Amen«” (adhortacja „Gaudete et exsultate” 122, 126).

Papież Franciszek przestrzega przed błędnym i wypaczonym rozumieniem chrześcijaństwa. Nawiązuje do sta-

rożytnych herezji, takich jak gnostycyzm czy pelagianizm. Wspomniane poglądy nigdy do końca nie zanikły w katolicyzmie, ich echo można usłyszeć w wielu krytycznych wobec Franciszka wypowiedziach.

WSPÓŁCZESNY GNOSTYCYZM

„Dzięki Bogu w całej historii Kościoła bardzo jasno ukazano, że miarą doskonałości osób jest stopień ich miłości, a nie ilość zgromadzonych danych czy wiedzy. »Gnostycy« wprowadzają w tej kwestii pewien zamęt i osądzają innych, zaczynając od zweryfikowania, czy te osoby są w stanie zrozumieć głębie pewnych doktryn. [...] Bądźmy jednak uważni. Nie mam na myśli racjonalistycznych wrogów wiary chrześcijańskiej. To może się zdarzać w Kościele, zarówno wśród osób świeckich w parafiach, jak i tych, które nauczają filozofii lub teologii w ośrodkach kształcenia. Cechą charakterystyczną gnostyków jest bowiem również przekonanie, że dzięki swoim wyjaśnieniom mogą uczynić doskonale zrozumiałą całą wiarę i całą Ewangelię. Absolutyzują nas teorie i zmuszają innych, by podporządkowali się rozumowaniu, którym oni się posługują („Gaudete et exsultate” 37, 39).

IDEOLOGIA BEZ TAJEMNICY

„Gnostycyzm jest jedną z najgorszych ideologii, ponieważ niesłusznie wywyższając wiedzę lub pewne doświadczenie, uważa swoją szczególną wizję rzeczywistości za doskonałą. [...]”

Kiedy ktoś ma odpowiedzi na wszystkie pytania, pokazuje, że nie podąża właściwą drogą, i możliwe, że jest fałszywym prorokiem, który używa religii dla własnej korzyści. [...] Bóg nas nieskończenie przerasta, zawsze jest zaskoczeniem i nie my decydujemy o tym, w jakich okolicznościach historycznych można Go spotkać, bo nie od nas zależy czas i miejsce, i sposób spotkania. [...] Nie można też próbować określać, gdzie nie ma Boga, ponieważ jest On tajemniczo obecny w życiu każdej osoby, jest obecny w życiu każdego w taki sposób, w jaki tego chce, i nie możemy temu zaprzeczyć naszymi rzekomymi pewnikami. Nawet jeśli czyjeś życie było katastrofą, nawet

gdy widzimy, że został zniszczony przez wady lub uzależnienia, Bóg jest obecny w jego życiu. Jeśli pozwalamy się prowadzić bardziej Duchowi niż naszym rozumowaniom, możemy i powinniśmy szukać Pana w każdym ludzkim życiu. Jest to częścią tajemnicy, którą mentalności gnostyckie zazwyczaj odrzucają, ponieważ nie są w stanie jej kontrolować. („Gaudete et exsultate” 40, 41, 42).

Wiele zamieszania w odbiorze dokumentów papieża wynika z inaczej stawianego akcentu w rozumieniu prawdy i nauczania Kościoła katolickiego. Papież podkreśla dynamiczny, a nie statyczny charakter prawdy, wskazuje na jej bogactwo w różnorodnych tradycjach i interpretacjach, jest daleki od utożsamiania prawdy ze skostniałym i hermetycznie zamkniętym systemem.

„Prawda to nie zamknięty, pozbawiony dynamiki system, gdzie nie ma miejsca na pytania, dyskusje czy wątpliwości. Prawdę, którą otrzymujemy od Pana, możemy pojąć jedynie w sposób bardzo niedoskonały. Z jeszcze większą trudnością udaje nam się ją wyrazić. Dlatego nie możemy udawać, że nasz sposób rozumienia upoważnia nas do sprawowania ścisłego nadzoru nad życiem innych. Chcę przypomnieć, że w Kościele współlistnieją zgodnie z prawem różne sposoby interpretacji wielu aspektów doktryny i życia chrześcijańskiego, które w swojej różnorodności »pomagają lepiej wyrazić niezwykle bogaty skarb Słowa«. Oczywiście »ludziom tęskniącym za monolityczną doktryną, bronioną bez żadnych wyjątków przez wszystkich, może się to wydawać jakimś niedoskonałym rozpraszaniem« (por. adhort. apost. „Evangelii gaudium”, 40).

W istocie doktryna, lub lepiej: nasze jej rozumienie i wyrażanie, »nie jest systemem zamkniętym, pozbawionym dynamiki zdolnej do rodzenia pytań, wątpliwości, dyskusji«, a »pytania naszego ludu, jego zmagania, marzenia, troski mają wartość hermeneutyczną, której nie możemy pomijać, jeśli chcemy poważnie potraktować zasadę wcielenia. Jego pytania pomagają nam zadawać sobie pytania, jego dociekania stają się naszymi dociekaniem« (por. Videomen-saje al congreso internacional de Teología de la Pontificia Universidad Católica Argentina: AAS 107, 2015 r., 980). [...]

Św. Jan Paweł II ostrzegał tych, którzy w Kościele mają możliwość otrzymania głębszej formacji, przed pokusą rozwijania »swoistego poczucia wyższości wobec innych wiernych« (por. Posynodalna adhort. apost. „Vita consecrata”, 38) („Gaudete et exsultate” 43, 45).

Papież stanowczo podkreśla, że nie można czynić z Kościoła muzeum staroci, być zamkniętym na to, co Bóg mówi przez znaki czasu. Krytyka Franciszka jest echem postawy i słów Jezusa z Ewangelii wobec faryzeuszów. Punktuje faryzejskie podejście w przesadnej trosce o prawo i nakazy, nadmiernie przywiązanie do szczegółów i przepisów w liturgii.

WSPÓŁCZESNA HEREZJA – WOLA PONAD WSZYSTKO

„Są też chrześcijanie, którzy starają się podążać inną drogą: polegającą na usprawiedliwieniu w oparciu o własne siły, na kulcie ludzkiej woli i własnych zdolności. Przekłada się to na egocentryczne i elitarystyczne samozadowolenie, pozbawione prawdziwej miłości. Przejawia się ono w wielu postawach, pozornie różniących się między sobą: obsesji na punkcie prawa, uleganiu urokowi osiągnięć społecznych i politycznych, ostentacyjnej trosce o liturgię, o doktrynę i prestiż Kościoła, próżności związanej z zarządzaniem w praktyce [...]. Wiele razy, wbrew impulsom Ducha Świętego, życie Kościoła zamienia się w eksponat muzealny lub dostępny dla niewielu. Dzieje się tak, gdy niektóre grupy chrześcijańskie przywiązują nadmierną wagę do zachowywania pewnych własnych norm, zwyczajów lub stylów. Nie zdając sobie z tego sprawy oraz sądząc, że wszystko zależy od ludzkiego wysiłku ukierunkowanego przez normy i struktury kościelne, komplikujemy Ewangelię i stajemy się niewolnikami schematu, który pozostawia niewiele przestrzeni, w której może działać łaska” („Gaudete et exsultate” 57, 58, 59).

Mam nadzieję, że najnowsza adhortacja pozwoli wiernym lepiej poznać myślenie papieża, jego troskę o Kościół, dążenie do silniejszej więzi z Bogiem i ludźmi, większe akcentowanie miłości i osobistej relacji z Bogiem, niż sztywnego systemu norm.

Szef wszystkich szefów

Nadchodzi nowa era Tuska. Nie tyle jako zbawcy totalnej opozycji, ile co najmniej jako świadka w procesach i przesłuchaniach w komisjach śledczych

Skończyły się dworcowo-peronowe ustawki organizowane dla byłego premiera Donalda Tuska powracającego do kraju pod hasłem „Witaj, zbawco, witaj, królu”, a zaczęło się pompowanie sondażowego balona pod nowym hasłem: „Rośnie zaufanie do Donalda Tuska”. Tym razem jednak autentyczny strach przywiódł byłego premiera na łono ojczyzny. Był premier przybył natychmiast po zatrzymaniu i postawieniu zarzutów byłemu wiceministrowi finansów Jackowi Kapicy w związku z tzw. aferą hazardową. Przesłanie „króla Europy” do ferajny było jasne: „Jacku, trzymaj się, nie damy ci zrobić krzywdy”, czyli zgodnie z regułą – omerta wiecznie żywa. Trudno się temu dziwić, przecież wiceminister Kapica był powszechnie znany z tego, że z każdego spotkania i rozmowy robił notatkę. Niektórzy twierdzą, że ma także bogatą taśmotekę.

Tusk, co wiemy z tzw. taśm prawdy, na pokładzie samolotu lecącego z Gdańska do Warszawy wypowiedział do ważnego polityka, byłego skarbnika PO, współpracownika Jana Kulczyka, Piotra Wawrzynowicza, takie oto słowa: „Twoi przyjaciele to mafia i bandyci”. Czyżby więc ówczesny premier wiedział coś szczególnego w tej materii, o czym nie poinformował na razie ani opinii publicznej, ani prokuratury? A przecież Tusk musiał mieć wiedzę o różnych podejrzanych interesach przedstawicieli rządu PO-PSL trwających wiele lat i niezwykle kosztownych dla polskiego społeczeństwa oraz budżetu.

To premier Tusk wspólnie z byłym ministrem skarbu Aleksandrem Gadem wymogli i przeprowadzili niezwykle kosztowną, wielomiliardową tzw. ugodę z firmą Eureko, związaną ze skandalem prywatyzacyjnym największej i bardzo dochodowej spółki ubezpieczeniowej PZU SA. W sprawie tej afery prywatyzacyjnej powstała nawet komisja śledcza, która stwierdziła jednogłośnie ewidentne i wielokrotne złamanie prawa oraz nawet wskazała winnych. To przecież rząd kierowany przez Tuska wyraził zgodę na nieracjonalne ekonomicznie, przynoszące ogromne straty inwestycje zagraniczne KGHM SA w Chile i Kanadzie, które do tej pory kosztowały polskiego podatnika i udziałowców KGHM już ok. 16 mld zł. A to jeszcze nie koniec strat. Tusk musiał doskonale wiedzieć o tym wielce wątpliwym wyczynie inwestycyjnym, podobnie jak musiał wiedzieć od swojego zaufanego ministra finansów Jana Vincenta Rostowskiego o gigantycznych wyludzeniach z podatku VAT (w latach 2007-2015 na kwotę ok. 250 mld zł), niepłaconym podatku CIT czy przemyśle towarów akcyzowych, nie tylko paliw, które przez osiem lat rządów PO-PSL



JANUSZ SZEWCZAK

kosztowało nas kolejne 160 mld zł. Nie mówiąc już o bardzo wątpliwych od strony prawnej, wielce podstępnych działaniach banków przy udzielaniu tzw. kredytów frankowych i walutowych na kwotę ok. 130 mld zł czy rażąco oszukańczych polis-olokatach, na które naciągnięto ponad 3 mln Polaków na kwotę ponad 50 mld zł.

Premier Tusk powinien być również poinformowany przez służby skarbowe i resort finansów, że różnego rodzaju mafie, a nawet kartele narkotykowe, prały bez większych problemów brudne pieniądze w polskim systemie bankowo-finansowym i dopiero dziś podjęto realną walkę z tym procederem. Z pewnością były premier musiał wiedzieć o likwidacji w 2009 r. ogólnokrajowego pionu tzw. przestępczości zorganizowanej i o wytycznych prokuratora generalnego dotyczących traktowania przestępstw VAT-owskich jako głównie przestępstw skarbowych, co praktycznie oznaczało bezkarność coraz bardziej zuchwałych sprawców.

Tusk musiał też wiedzieć, że jego bliski współpracownik i patron Jan Krzysztof Bielecki podejmował wielce wątpliwe działania wokół sprzedaży Grupy Azoty.

To właśnie ówczesny premier autoryzował takie działania jak spisanie LOT-u na straty. To przecież jego najbliżsi współpracownicy prowadzili co najmniej dziwne rozmowy na cmentarzach, w restauracjach czy omawiali pod śmietnikiem politykę informacyjną rządu i na czas nie dostrzegli tej czy innej afery. Ktoś musiał na to wszystko dawać zielone światło. Przecież Chlebowski, Drzewiecki, Graś, Schetyna, Nowak, Kilian i wreszcie Bielecki, wielki kadrowy PO, to byli zaufani ludzie premiera Tuska, którzy obsadzali, a nawet obejmowali, lukratywne posady w spółkach skarbu państwa. I to za miliony złotych oraz gigantyczne odprawy. Wydawano wówczas setki milionów złotych bez ładu i składu, np. na budowę elektrowni atomowej (180 mln zł), po której nie ma ani śladu, czy na portal dla bezdomnych Empatia – 50 mln zł.

Były premier to bez wątpienia kopalnia wiedzy o tych wielkich i tych małych aferach oraz przekrętach, tych znanych i tych jeszcze nieznanach, o patologii procesu prywatyzacji w Polsce, o finansowaniu z zagranicy KLD, o wielce podejrzanych i szkodliwych działaniach ludzi służb w sektorze finansowym i bankowym. Niewątpliwie nadchodzi nowa era Tuska. Nie tyle jako przybywającego na białym koniu zbawcy totalnej opozycji, ile co najmniej jako świadka w wielu procesach i przesłuchaniach w komisjach śledczych. 

Polak pokieruje gigantem

Takie informacje nie pojawiają się zbyt często. Polak stanął na czele jednej z najpotężniejszych firm na świecie. Jacek Olczak objął stanowisko prezesa ds. operacyjnych Philip Morris International (PMI) w szwajcarskiej centrali. Od teraz będzie zarządzać wszystkimi rynkami, na których działa firma. To wielki awans Polaka w gigancie, który zatrudnia 81 tys. ludzi

Powołanie Jacka Olczaka jest kolejnym krokiem w kierunku transformacji firmy i stworzenia świata bez dymu tytoniowego dzięki wykorzystaniu produktu PMI o znanej już Polakom nazwie IQOS. W nowej roli Jacek Olczak jest odpowiedzialny za wdrażanie globalnej strategii PMI oraz realizację planów komercyjnych firmy zarówno w obszarze produktów z potencjałem obniżonego ryzyka, w których tytoń jest podgrzewany (np. IQOS), jak również wyrobów tradycyjnych. Te pierwsze to prawdziwa rewolucja w branży tytoniowej.

PMI przechodzi największą transformację nie tylko w historii firmy, lecz również całej branży. Jej celem jest zbudowanie przyszłości bez szkodliwego dymu. Działania PMI w tym zakresie koncentrują się na dostarczaniu dorosłym palaczom gamy produktów stanowiących alternatywę dla tradycyjnych wyrobów tytoniowych. W IQOS nie dochodzi do procesu spalania, a więc nie wydzielają się w takim stopniu substancje smoliste i szkodliwe jak w przypadku zwykłych papierosów.

Przyszłość, na którą stawia gigant, to wcale nie podcinanie gałęzi, na której siedzi, ale przeciwnie – to prawdziwy tytoń, który nie truje aż tak jak papierosy. Potwierdzają to liczne badania, które były prowadzone również w Polsce w Ośrodku Badań Klinicznych w Kąjetanach oraz Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN, gdzie naukowcy zrealizowali nowatorskie w skali świata sprawdzenie wpływu aerozolu wytwarzanego przez IQOS na mitochondria komórek nabłonka oskrzeli. PMI współpracuje też w zakresie zmniejszenia szkodliwości palenia



z Politechniką Warszawską. Prawdopodobnie awans Jacka Olczaka wiąże się ze skutecznym przeprowadzeniem transformacji firmy na produkty bezdymne.

Mówił o tym w ubiegłym roku inny polski menedżer PMI. – Wiadomo, że najlepiej rzucić palenie, ale moim celem jest przekonanie pełnoletnich palaczy, którzy tego nie potrafią, do zamiany tradycyjnych papierosów na produkty potencjalnie mniej szkodliwe. Wierzę, że jest to jak najbardziej realne, ponieważ przez ok. 20 lat paliłem dwie paczki dziennie, a od kilku miesięcy korzystam wyłącznie z IQOS – mówił Michał Mierzejewski, prezes zarządu i dyrektor zarządzający Philip Morris Polska i Kraje Bałtyckie.

Do tej pory na badania, rozwój oraz produkcję firma przeznaczyła ponad 4,5 mld dol. Produkt dostępny jest na blisko 40 światowych rynkach. W skali globalnej liczba palaczy, którzy zrezygnowali z papierosów na rzecz IQOS, wynosi już prawie 5 mln. Każdego dnia

ok. 10 tys. kolejnych rezygnuje z tradycyjnych wyrobów tytoniowych.

Polaków u steru międzynarodowych korporacji nadal nie ma wielu. Jednym z najbardziej znanych mógłby być Steve „Woz” Wozniak, jeden ze współzałożycieli giganta Apple, którego matka miała niemieckie, irlandzkie i brytyjskie korzenie, natomiast ojciec – Jacob Francic Wozniak – niemieckie i polskie. Jednak urodził się on w Stanach Zjednoczonych, więc odwoływanie się do jego polskości jest raczej nadużyciem.

Jednym z najznamienitszych przykładów kariery w branży komputerowej był Ryszard Malinowski. Wspiął się on na stanowiska wiceprezesa komputerowego giganta, firmy Intel. Wyemigrował z Polski w stanie wojennym już jako absolwent Politechniki Szczecińskiej, osiadł w Kanadzie, by tam po wielu latach zrobić karierę w firmie rozdającej karty na globalnym rynku mikroprocesorów.

Wśród innych „Polaków sukcesu” w globalnych koncernach trzeba wymienić Jacka Pawłaka, prezesa Toyota Central Europe, który zarządza tą wielką marką w rejonie Europy Środkowej, Artura Litarowicza, wiceprezesa P&G na Europę – giganta branży FMCG (towarów szybkozbywalnych), do którego należą m.in. marki Ariel, Always, Ambi Pur, Braun, Gillette, Head & Shoulders, Old Spice, Pampers, Oral-B, Pantene Pro-V, Vicks. Nie wypada też nie wspomnieć Wojciecha Halarewicza, wiceprezesa ds. komunikacji koncernu Mazda Motor Europe, Marka Andryszaka, dyrektora operacyjnego w TUI Deutschland (Niemcy), oraz Piotra Juchę, starszego wiceprezesa ds. rozwoju sieci restauracji w McDonald's.

(Max)



Powroty z emigracji

Nasz rynek pracy staje się coraz bardziej atrakcyjny.

Czy skłoni to Polaków przebywających za granicą do powrotu do kraju?



Kiedy w połowie zeszłego roku GUS opublikował dane o migracji zagranicznej na pobyt stały za 2016 r., okazało się, że saldo było dodatnie (1 505 osób więcej wróciło do Polski, niż z niej wyjechało). W poprzednich latach bilans był niekorzystny.

Zakres danych zaprezentowanych przez GUS nie jest jednak szeroki, gdyż zestawienie obejmuje informacje o meldunkach i wymeldowaniach na pobyt stały, pochodzących z rejestru PESEL. Tymczasem wiele osób nie zgłasza w urzędach swoich wyjazdów ani przyjazdów, chyba że mają one charakter definitywny. Pełniejsze informacje na temat emigracji pochodzą ze spisów powszechnych. Wynika z nich, że w latach 2002–2011 liczba Polaków przebywających za granicą wzrosła z ok. 780 tys. do ponad 2 mln. Przekracza ona – według danych GUS za 2016 r., liczonych według tzw. wyjazdów na pobyt czasowy, czyli powyżej trzech miesięcy – 2,5 mln, choć i tak jest to prawdopodobnie liczba zaniżona. Polacy, i praktycznie wszyscy Europejczycy, stali się bardzo mobilni, co utrudnia dokładne oszacowanie wielkości przemieszczających się obywateli poszczególnych państw.

Co się zmieniło? Jeżeli chodzi o powroty Polaków z zagranicy, raczej niewiele. Natomiast dużo, patrząc z perspektywy przyjazdów do naszego kraju obywateli Ukrainy. Do Polski łatwiej przyjechać Ukraincom, szybciej mogą znaleźć u nas pracę. Od 11 czerwca 2017 r. obywatele Ukrainy są zwolnieni z konieczności posiadania wiz na krótkoterminowe pobyty turystyczne, np. na zakupy, a charakter ich migracji – jak informował NBP podczas prezentowania „Projekcji inflacji” 18 marca br. – staje się coraz bardziej długookresowy.

STABILNA EMIGRACJA

Natomiast w przypadku emigracji z Polski eksperci coraz częściej mówią o stabilizacji. Według Office for National Statistics (ONS) – brytyjskiego urzędu statystycznego – liczba numerów ubezpieczeń społecznych NIN dla Polaków (National Insurance Number) wyniosła w 2017 r. 62 tys., czyli o 34 proc. mniej niż przed rokiem. Nie jest to oszałamiający spadek, jednak w porównaniu z innymi

nacjami, np. Rumunami czy Bułgarami, jest on wyraźnie większy. NIN – czyli odpowiednik polskiego NIP i PESEL w jednym – jest praktycznie niezbędny do życia w Wielkiej Brytanii, bez niego nie można podjąć tam legalnej pracy.

Ekspertcy oceniają, że pewien etap emigracji już się kończy. – Pojawiają się przesłanki wskazujące na stopniowe wyczerpywanie się potencjału migracyjnego. Świadczy o tym stabilny i generalnie niski odsetek osób deklarujących chęć wyjazdu za granicę – twierdzi Paweł Kaczmarczyk z Ośrodka Badań nad Migracjami z Uniwersytetu Warszawskiego, powołując się na dane firmy Work Service z raportu „Migracje zarobkowe Polaków”, która regularnie co pół roku bada rynek pracy, również pod kątem wyjazdów zagranicznych Polaków. Według ostatniej edycji, z listopada 2017 r., udział osób zdecydowanie odrzucających plany emigracyjne wzrósł w ciągu trzech lat z 49,9 do 68,4 proc. Badanie zostało zrealizowane między 12 a 16 września 2017 r. przez instytut badawczy Kantar Millward Brown SA na zlecenie Work Service SA. Wykonano je na próbie 636 osób pracujących, bezrobotnych, uczących się oraz przebywających na urloпах macierzyńskich i wychowawczych.

DOBRE PERSPEKTYWY NA RYNKU

Dlaczego chętnych do wyjazdu jest mniej? Częściowo to efekt zmian demograficznych, w wyniku których młoda, najbardziej mobilna grupa wiekowa, czyli osoby między 20. a 35. rokiem życia, jest teraz mniej liczna. Ale przede wszystkim to skutek poprawiających się warunków na krajowym rynku pracy.

Z punktu widzenia pracownika rynek rzeczywiście staje się coraz bardziej atrakcyjny. Według najnowszego „Raportu o inflacji” NBP z marca 2018 r. systematyczny wzrost popytu w gospodarce sprzyja wzrostowi zapotrzebowania na pracę, zwiększa się liczba ofert, rośnie zatrudnienie, umacnia się pozycja pracowników w negocjacjach płacowych, rośnie udział firm prognozujących wzrost płac (do 39,4 proc. w IV kw. ub.r.

z 18,8 proc. w III kw. 2017). Znalazło to odzwierciedlenie w przyspieszeniu wzrostu uposażeń w gospodarce (do 7,1 proc. w relacji rok do roku w IV kw. 2017 r.), a wyższej niż w poprzednich latach dynamice wynagrodzeń towarzyszy wzrost dynamiki wydajności pracy, wynikający z przyspieszenia tempa wzrostu PKB.

Stopa bezrobocia w lutym 2018 r. wyniosła 6,8 proc. (spadła o 0,1 pkt proc. w stosunku do stycznia i o 1,6 pkt proc. w porównaniu z lutym 2017 r.), poprawia się koniunktura gospodarcza, a NBP

Dlaczego chętnych do wyjazdu jest mniej? Przede wszystkim to skutek poprawiających się warunków na krajowym rynku pracy

w „Raporcie o inflacji” pisze o bardzo dobrych nastrojach konsumentów.

Z punktu widzenia planów zawodowych Polaków ważne jest również to, że prognozy dla gospodarki, a tym samym dla rynku pracy, są dobre. Sprzyja nam – i nadal będzie sprzyjać – dobra koniunktura w strefie euro, do której trafia zdecydowana większość naszego eksportu. Według „Szybkiego Monitoringu NBP. Analiza sytuacji sektora przedsiębiorstw” ze stycznia 2018 r. popyt na pracę będzie rósł, a wzrost zatrudnienia przewidywany jest w większości przedsiębiorstw, najszybciej w firmach z przewagą kapitału zagranicznego. Według „Projekcji inflacji i wzrostu gospodarczego Narodowego Banku Polskiego” (projekcja obejmuje lata 2018–2020) wysoka dynamika płac utrzyma się w całym prognozowanym horyzoncie czasowym, a głównym czynnikiem wzrostu PKB będzie popyt konsumpcyjny.

POWROTY, ALE NIE MASOWE

W takiej poprawiającej się sytuacji gospodarczej podjęcie decyzji o wyjeź-

dzie jest trudniejsze. Ale czy to sprzyja powrotom do kraju? Według raportu „Migracje zarobkowe Polaków” Work Service – tak. Najbardziej pewni są tego ci, których członkowie najbliższej rodziny przebywali na emigracji i już wrócili. W raporcie czytamy: „W tej grupie odsetek odpowiedzi na tak wynosi aż 46 proc. Wynik na poziomie 44 proc. występuje wśród Polaków, których bliscy wciąż są poza granicami kraju. 37 proc. emigrantów, którzy już wrócili do kraju, też jest zdania, że sytuacja na rynku pracy skłoni do powrotów”.

Pośrednio o nasilającym się ruchu z zagranicy do Polski może świadczyć opublikowany w połowie zeszłego roku przez serwis Clicktrans.pl raport „Przeprowadzki 2017: Jak i dokąd przeprowadzają się Polacy”. „W 2016 r. aż 65 proc. przeprowadzek międzynarodowych stanowiły powroty Polaków do kraju. W pierwszym kwartale tego roku 75 proc. to powroty do Polski. Ten trend jest coraz silniejszy” – podkreślał

w rozmowie z agencją informacyjną Newseria Biznes Michał Brzeziński z serwisu Clicktrans.pl, jeden ze współautorów raportu. W I kwartale 2017 r. zrealizowano trzykrotnie więcej zleceń przeprowadzek do Polski niż za granicę. Raport został przygotowany na podstawie analizy 10 232 zleceń użytkowników serwisu Clicktrans.pl dotyczących przeprowadzek w okresie od stycznia 2011 r. do marca 2017 r.

Ekspertcy są jednak ostrożni w ocenie tego zjawiska. „Mimo dobrych wskaźników opcja masowego powrotu Polaków z zagranicy wydaje się mało prawdopodobna” – pisze Paweł Kaczmarczyk w komentarzu do badań Work Service. Nasz rynek pracy jest coraz bardziej atrakcyjny, trzeba jednak pamiętać o tym, że osoby powracające z zagranicy mają zwykle o wiele większe oczekiwania niż stale pracujące w kraju. Rosnące i coraz wyższe pensje, atrakcyjne dla krajowego pracownika, dla przybysza zza zachodniej granicy wcale już takie nie muszą być. Do tego, o ile płace w naszym kraju rosną, o tyle w Niemczech czy w Wielkiej Brytanii również nie stoją w miejscu. Specja-

liści badający rynek pracy w Polsce wątpią, by poprawiająca się koniunktura zwiększyła tempo powrotów. „Ci, którzy wyjechali, szczególnie kilka lub kilkanaście lat temu, mają tam swoje rodziny, znajomych, własne firmy, kredyty. Pamiętajmy, iż mimo że wiodącym czynnikiem dla wyjazdu z Polski był kontekst ekonomiczny (tzw. wyjazd za chlebem, lepszą pracą), to jednak po kilku latach, kiedy emigranci ustabilizowali swoją sytuację majątkowo-rodzinną, ich powrót oznaczałby w większości przypadków pogorszenie swojej sytuacji” – powiedział w rozmowie z serwisem wynagrodzenia.pl Mariusz Nyk, adiunkt na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego.

BEZ ZMIANY TRENDU

Eksperci są skłonni mówić raczej o stabilizacji i trwałej tendencji niż o gwałtownie dokonujących się zmianach w relacjach między krajem a emigracją. Świadczyć mogą o tym dane NBP („Bilans płatniczy Rzeczypospolitej Polskiej za III kwartał 2017 r.”) dotyczące transferu środków finansowych z zagranicy do kraju: w III kwartale 2017 r. z tytułu pracy Polaków za granicą do Polski trafiło 4,3 mld zł, czyli o 0,1 mld zł mniej niż w III kwartale 2016 r. NBP podał, że był to już drugi kwartał z rzędu, kiedy odnotowano spadek transferów. Jego skala jest jednak bardzo niewielka i – jak twierdzi NBP – nie wskazuje na zmianę trendu.

Być może jest to efekt ustabilizowania się emigracji na stałym poziomie, bez tendencji do wzrostu, ale i gwałtownego spadku. Równie dobrze może to być jednak konsekwencja tego, że polska emigracja na Zachodzie osiadła i tam znalazła dla siebie odpowiednie miejsce. Według „Transferów z tytułu pracy Polaków za granicą w świetle badań Narodowego Banku Polskiego” im migracja trwa dłużej, tym bardziej maleje skłonność do transferowania środków.



Według wskazanego wyżej badania „wraz z pobytem za granicą zmniejsza się także wysokość i częstotliwość przesyłanych pieniędzy. Jednym z powodów może być rozluźnienie relacji z bliskimi w kraju, wystarczająco dobra sytuacja finansowa rodziny lub rozpoczęcie życia rodzinnego w nowym kraju poprzez ściągnięcie do kraju emigracji członków rodziny lub założenie rodziny już na miejscu. Poza rozluźnieniem relacji z krajem pochodzenia i uwarunkowaniami rodzinnymi dłuższy pobyt za granicą często wiąże się z przyjęciem standardu życia związanego z wyższymi wydatkami, co automatycznie zmniejsza pulę środków, jaka mogłaby być przekazana do kraju”.

PRACOWNICY Z ZAGRANICY

Poprawiająca się sytuacja na rynku pracy jest korzystna dla pracowników, nie sprzyja wzrostowi liczby emigrujących Polaków, ale zarazem staje się poważnym problemem dla przedsiębiorców. Według „Raportu o inflacji” „długotrwały wzrost popytu na pracę, któremu towarzyszy spadek liczby osób bezrobotnych, przekłada się na rosnące problemy z zapelnieniem wakatów”. Trudności związane ze znalezieniem pracowników należą obecnie do jednych z najważniejszych barier rozwoju zgłaszanych przez przedsiębiorstwa, szczególnie w przetwórstwie, transporcie i budownictwie.

Rozwiązaniem mogłyby być masowe powroty Polaków z zagranicy, jednak

tak nie jest. Wsparciem dla rynku stają się więc pracownicy spoza Polski. Według Business Centre Club liczba wydanych w 2017 r. zezwoleń na pracę dla cudzoziemców wzrosła prawie dwukrotnie w stosunku do 2016 r. Podobny poziom wzrostu odnotowano, porównując 2016 i 2015 r. Wyniki sondażu przeprowadzonego przez BCC potwierdzają, że głównym powodem zatrudniania cudzoziemców

jest brak polskich pracowników o wymaganych kwalifikacjach – ok. 80 proc. firm wskazuje go jako istotną barierę i czynnik ryzyka w prowadzeniu biznesu w 2018 r.

Łukę na rynku pracy uzupełniają przede wszystkim obywatele Ukrainy. Ekspert NBP podczas prezentacji projekcji inflacji i PKB w marcu 2018 r. powiedział, że w Polsce pracuje ich ok. 1 mln. W horyzoncie projekcji NBP, czyli do końca 2020 r., na polski rynek pracy będzie najprawdopodobniej napływało 200–300 tys. Ukraińców rocznie.

Według „Gazety Bankowej” (kwiecień 2018 r.) gotowych wyjechać natychmiast ze swojego kraju jest 37 proc. Ukraińców. „Z Ukrainy nie wybierają się dziś właściwie tylko emeryci” – twierdzi Władimir Sidenko z kijowskiego Centrum Razumkowa. „Dla Ukraińców szukających pracy nie ma alternatywy poza Polską”.

Co należałoby zmienić, by powroty Polaków do kraju stały się częstsze? Na pewno nie będzie to łatwe, gdyż wiele polskich rodzin zapuściło korzenie w Wielkiej Brytanii, w Niemczech czy w Irlandii. Rząd za pośrednictwem zespołu ds. polityki imigracyjnej zlecił badania nad przyczynami emigracji, ale też chce poznać powody, które skłoniłyby Polaków do powrotu – mówił na początku kwietnia tego roku w telewizji w Polsce.pl Bartosz Marczuk, wiceminister rodziny, pracy i polityki społecznej. Wyniki badań rząd ma otrzymać w czerwcu tego roku.

Artur Kliski

Wcale nie kura domowa

Jeszcze do niedawna sądziłam, że są dania, do których nie powinienam się zabierać, bo to wyższa szkoła kulinarna, do jakiej nie mam dostępu. Takie np. jęczmieniane consommé z kluseczkami z wędzonej dzierzyny... Ale pewnego dnia postanowiłam zaryzykować. W końcu nie muszę się ograniczać do potraw banalnych, których gotowanie przestaje sprawiać radość. Większość z nas wyznaje zasadę, że im krócej w kuchni, tym lepiej. Coś w tym jest – ale krótko nie musi oznaczać zwyczajnie. Czy kurczak duszony w winie riesling jest trudny i czasochłonny? Nie. W zasadzie „dusi” się sam, a my tylko dorzucamy kolejne składniki. Czy smakuje wyśmienicie? Tak. Udał się za pierwszym razem. I dzisiaj próbuję wszystkiego, co mnie kulinarnie zaintryguje.

Jedzenie to chyba jedna z niewielu konieczności, która jednocześnie



potrafi pobudzić nasz wzrok, węch, smak, a nawet wpłynąć na słuch. Fajnie, że w końcu odczarowywany jest stereotyp kury domowej, która sfrustrowana tłucze schabowego, by wykarmić rodzinę. Współczesna kobieta to nie kura, której łeb zamienił się w garnek i którą podnieca widok skwierczącego tłuszczu... To raczej kuchenna wróżka.

Z rodzinnego domu najbardziej pamiętam pierogi robione przez moją babcię. Do dzisiaj uważam, że ich własnoręczne wykonanie ma w sobie magię. Jeśli nie muszę, nie kupuję gotowców. Nie dość, że ciasto jest twarde, to jeszcze nie mam żadnej gwarancji,

iż ktoś nie napluł do farszu. Pierogi mojej babci składały się wyłącznie z mąki i wrzątku oraz ręcznie robionej falbanki.

Jedzenie kojarzy mi się z podróżami. To z nich czerpię inspiracje. Smaki, zapachy to nie tylko miejsca, lecz i ludzie, których spotkałam i którzy w taki czy inny sposób kojarzą mi się z daną potrawą. Wtedy każde danie ma swoją minihistorię i to czyni je jeszcze smaczniejszym.

Wiele z potraw, które próbowałam i które potem sama gotuję, opisuję w swoich książkach.

Niemal w każdej z nich można znaleźć „fragmenty jadalne”, bo tak to już jest, że własnym bohaterom literackim dorzuca się jakiś procent samego siebie. Co prawda w „Rosole z kury domowej” mam zupę z muchomorów, ale w pozostałych jest zdecydowanie bardziej bezpiecznie. Jedzenie często towarzyszy moim bohaterom i w jakimś stopniu ich określa. To, co robią, jak myślą, co czują, ma w dużej mierze związek z ich podejściem do jedzenia i delektowania się nim. Teraz pracuję nad książką, której akcja toczy się częściowo w Toskanii, więc smaków, zapachów i aromatów będzie w niej całe mnóstwo.

Notowała **Jolanta Gajda-Zadworna**

Duszony kurczak riesling z winogronami

Przepis na wspomnianego kurczaka, który miał być trudny, a okazał się prosty

Składniki: 4 udka kurczaka, 500 g białych winogron bez pestek, 350 ml wytrawnego wina riesling, 8 listków świeżej szalwii, 5 szalotek, szczypta gałki muszkatołowej, 4 gałązki świeżego tymianku, 2 goździki, 3-4 owoce jałowca, 2 liście laurowe, 2 łyżki masła, łyżka brązowego cukru, 2 łyżki soku z cytryny, sól, pieprz, olej.

Wykonanie: Udka z kurczaka nacieramy solą, pieprzem oraz gałką muszkatołową i obsmażamy krótko na oleju. Przekładamy na talerz. Na rozgrzaną, głęboką patelnię



wrzucamy listki szalwii, gałązki rozmarynu, szalotkę pokrojoną w ósemki i chwilę dusimy. Dolewamy wino, wrzucamy goździki, jałowiec i liście laurowe. Do naszego winnego sosu wkładamy obsmażone udka kurczaka, przykrywamy i pozwalamy się mięsku dusić ok. 50 minut. 10 minut przed końcem rozgrzewamy na innej patelni masło, dodajemy cukier i czekamy, aż się rozpuści. Wrzucamy winogrona i karmelizujemy je ok. 5 minut. Skrapiamy sokiem z cytryny i na ostatnie 5 minut wrzucamy do naszego kurczaka.

Fot. Mari Prusowe



SŁODKO-SŁONY

Orzechowa moc

ANNA MONICKA

Nie wszystko, co ma dużo kalorii, jest niezdrowe. Przykład? Orzechy włoskie. Żadne inne nie mają tyle zdrowych kwasów omega-3, tych, których dostarczają nam np. tłuste morskie ryby. Do tego białko i witaminy E, B, magnez (coś dla kawoszków, bo kawa go wypłukuje), żelazo. Wystarczy zjeść trzy dziennie, żeby lepiej pracował mózg (potrzebuje do działania tłuszczu!), serce, oczy, skóra. Chrupiąc orzechy, chronimy się przed alzheimerem i parkinsonem, obniżamy poziom złego cholesterolu i poprawiamy krzepnięcie krwi. Nie bez powodu są nazywane polskim superfood, czyli jedzeniem, które można uznać za lek. Wie o tym doskonale gruby wiewiór, któremu codziennie wieczorem wysypujemy do koszyka w ogrodzie kilka garści, a on rano stawia się punktualnie o 7 (ostatnio zabrał na ucztę żonę) i do południa wszystko wynosi. Część zjada, część zakopuje.

Orzechów najwięcej pochłaniamy zimą, ale nie są wcale aż tak sezonowe, jak sądzimy. Warto po nie sięgać przez cały rok. Dosypywać do płatków śniadaniowych, miksować w koktajlach i zupach, dodawać do ciast i kruchych herbatników, twarożków, sosów, farszu pierogowego i ziołowego pesto. Trzeba nimi koniecznie posypywać wszelkie salatkę. Włoskie to ideał, ale mogą też być migdały czy orzechy laskowe, byle tylko świeże, bo ich tłuszcz także jęlczeje, a wtedy traci smak, i lecznicze właściwości.

Najprostsze pomysły są oczywiście najlepsze. Wycinamy z czerwonej słodkiej papryki łódeczki, które faszerujemy serem – fetą lub bryndzą zmieloną z posiekanymi orzechami włoskimi. Zawijamy w sreberko i zapiekamy na grillu lub bez sreberka w piekarniku. Podajemy z białym winem.

Zupa krem z pomarańczowych warzyw – gotujemy dwie szklanki kostek dyni, tyle samo marchewki i batata, do tego trzy ziemniaki, cebulę i czosnek, wszystko miksujemy, doprawiamy solą, pieprzem i mleczkiem kokosowym. Podajemy z podprażonymi płatkami migdałów lub pokruszonymi orzechami włoskimi. Możemy też zalać cząstki orzechów miodem, doprawić czarnuszką i już mamy pigułki mocy. 

WINNICA

MAZURKA

Gruziński dopływ Baryczy

ROBERT MAZUREK

To jedno z najczęściej zadawanych pytań: czy polskie wina są dobre? Te, o których zamierzam napisać dziś, z pewnością. A dziś udajemy się na granicę Dolnego Śląska i Wielkopolski, do Doliny Baryczy, śliczności okolicy. Barycz to mała, uchodząca za najleniwszą (wolny przepływ) rzeczka w Polsce. Ornitologiczni wariaci przyjeżdżają w okolice, bo Stawy Milickie słyną z ptaków. Nic dziwnego, że i nazwy win pochodzą tu od ptaków. No dobra, mógłbym jeszcze pisać, że lasy, że łąki, że konie, ale najważniejsze jest to: Gruzja.

Ano, Gruzja. Otóż niewielka rodzinna Winnica De Sas (właściciele takim herbem się bowiem pieczętują) postanowiła robić wino wedle najstarszych, czyli gruzińskich, tradycji. Zatrudnili więc mieszkającego w Polsce Gruzina, by wykonał im 400-litrowe kwewri – stali czytelnicy rubryki wiedzą, że to wielkie, gliniane dzbanki, amfory, zakopywane w ziemi. Mają takich dziesięć i dalej od trzech lat robić w nich wino. Od razu dodajmy, że w przeciwieństwie do niektórych gruzińskich i włoskich ekstremistów są to wina delikatne, żadnego hardkoru, żadnych utlenionych, trąjących bandażem, ziemistych win.

Ale wciąż są pomarańczowe, ze względu na swą piękną barwę. Aż trudno uwierzyć, że oba wina spędziły w kwewri razem ze skórkami i nasionami aż osiem miesięcy. Są delikatne i subtelne. Milvus (po łacinie kania, ale ptak, nie grzyb) to czysty gewurtztraminer i kwewri tylko podkreśliła jego różaność i owoce liczy w bukietach. Tym winem zachwycają się nie tylko kobiety, ale za to kobiety na zabój. Oriolus (wilga) to solaris – ten hybrydowy szczep dał wino bardziej zdecydowane w wyrazie, nieco rustykalne, lekko zmierzwiłone.

Cóż, jeżeli oni tak z kwewri zaczynają, to nie mogą się doczekać kolejnych roczników. To może być szaleństwo. 



De Sas
Oriolus 2015
65 zł



De Sas
Milvus
2015
65 zł

Winnicadesas.pl

robert.mazurek@hotmail.com, [@wina_mazurka](https://www.instagram.com/wina_mazurka)

Nie stać nas na obojętność

Jaka jest cena ludzkiego życia? Czy można przeliczyć na złotówki ostatnie chwile spędzone z dzieckiem? Czy da się wycenić cierpienie? Odpowiedź na te pytania, będące codziennością nie tylko polskiego systemu ochrony zdrowia, z pewnością leży poza taryfikatorami, tabelami i analizami efektywności kosztowej. Nie oznacza to jednak, że nie trzeba ich zadawać

Ostatni przykład: palbocyklib – substancja, która daje szansę na kontrolę postępu zaawansowanego raka piersi, pozwala na utrzymanie jakości życia pacjentek, oszczędza im cierpienia. Brytyjska agencja NICE, opiniująca leki do refundacji ze środków budżetowych, uznała, że trzeba zapewnić kobietom dostęp do tego specyfiku, dopuszczonego do obrotu w Unii Europejskiej w 2016 r. W stanowisku podkreślono, że co najmniej 8 tys. pacjentek rocznie zyska szansę na dłuższe i bardziej aktywne życie. Lek jest już refundowany w wielu krajach UE, m.in. w Bułgarii i Słowenii, a więc w państwach o niższym bądź zbliżonym poziomie zamożności do Polski. W tym samym czasie swoją opinię – negatywną – wydała polska Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. Powód: brak pieniędzy.

Zaawansowany rak piersi to wyrok. Pełne wyleczenie nowotworu w najbardziej skomplikowanym stadium jest praktycznie niemożliwe. Gra idzie więc o wydłużenie życia pacjentek i uczynienie go znośnym. Szacuje się, że w USA kilkanaście procent pacjentek z rakiem w najbardziej skomplikowanej postaci przeżywa obecnie ponad 10 lat. Dzięki zastosowaniu najnowszych metod leczenia i zaawansowanych terapii lekowych panie mogą prowadzić względnie normalne życie – pracować, wychowywać dzieci, kultywować swoje pasje. Chodzi także o codzienny komfort, sprawy z pozoru drobne, jak zachowanie włosów czy dobrego wyglądu, ale w znojnej walce z chorobą kluczowe.

W Polsce z dostępem do nowoczesnych leków na zaawansowany nowotwór piersi jest różnie. Paradoksalnie jest on lepszy w przypadku gorzej rokującego typu tego raka, fachowo nazywanym HER-2 dodatnim. Najczęstszym rodzajem choroby jest jednak nowotwór HER2-ujemny, bo dotyczy on nawet 70 proc. przypadków. Pacjentki z tej grupy przez wiele lat skazane były na dość szybką śmierć, poprzedzoną wycieńczającą chemioterapią i innymi tradycyjnymi metodami leczenia. Dziś szansą dla nich jest m.in. właśnie palbocyklib, pierwszy z nowej klasy leków przeciwnowotworowych, które działają poprzez hamowanie kinaz cyklinozależnych 4 i 6.

„Dłuższe przeżycie wiąże się z bardzo dobrą jakością życia. Pacjentki nie muszą dostawać chemioterapii, a toksyczności

związane z leczeniem są minimalne. Chore nie mają tu dużych obciążeń. Tolerancja tej terapii jest bardzo dobra. Leki przyjmowane są doustnie w postaci tabletek, nie ma zatem potrzeby hospitalizacji” – wyjaśniała na łamach portalu Rynekzdrowia.pl dr Agnieszka Jagiello-Gruszczyńska z Kliniki Nowotworów Piersi i Chirurgii Rekonstrukcyjnej Centrum Onkologii – Instytutu im. Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie.

Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji uznała w zeszłym roku, że terapia palbocyklibem jest zbyt kosztowna jak na polskie realia. Ministerstwo Zdrowia wprawdzie podkreśla, że w uzasadnieniu decyzji „wskazano na korzystny wpływ terapii palbocyklib + letrozol, a także palbocyklib + fulwestrant w porównaniu z monoterapią odpowiednio letrozol i fulwestrant na przeżycie wolne od progresji choroby”. Jednocześnie – jak informuje resort – prezes agencji „wskazał, że finansowanie wnioskowanej terapii wiąże się ze znaczącym obciążeniem budżetu, sięgającym rzędu kilkudziesięciu–kilkuset milionów złotych rocznie”. Co ważne, wydaje się, że koszty te nie wynikają z wysokiej jednostkowej ceny leku, ale raczej z dużej liczby chorych, którym mógłby pomóc.

Sprawa bynajmniej nie jest jednak zamknięta. Właśnie rozpoczynają się negocjacje, a eksperci podkreślają, że do tej pory w przypadku innowacyjnych terapii cena była ustalana na poziomie akceptowalnym dla wszystkich.

Warto pamiętać, że powszechne zastosowanie takiego leku może przynieść realne oszczędności. To przede wszystkim zmniejszenie kosztów opieki medycznej nad chorymi przebywającymi miesiącami i latami w szpitalach. Ale też – jakkolwiek mocno by to zabrzmiało – produktywność kobiet, które dzięki nowym terapiom mogą pracować. Jedna z fundacji wyliczyła, że jeśli chodzi o koszty zmniejszenia produktywności poprzez skrócenie życia tracimy jako państwo – mowa tu o wszystkich chorobach – nawet do 11 mld zł rocznie.

Czy państwo polskie podejmie rękawicę i sfinansuje nową metodę leczenia raka piersi? Czas pokaże. My będziemy nadal przyglądać się tej sprawie.

Zalóżę się, że nie zgadną państwo, jakie śledztwo i jaka sprawa karna kosztowały amerykański wymiar sprawiedliwości najwięcej pieniędzy? O.J. Simpson? Nie. Zabójstwo Kennedy'ego? Ależ nie. World Trade Center? Pudło. Prawda jest zaskakująca i warto ją poznać, bo pokazuje prawidłowości i zagrożenia, z których część nie ogranicza się bynajmniej do Ameryki.

Chodzi otóż o śledztwo i sprawę sądową dotyczącą rzekomego pedofilskiego gangu w przedszkolu w kalifornijskim miasteczku Manhattan Beach pod Los Angeles. Wszystko trwało siedem lat, zaczęło się w 1984 r., kiedy to pewna dama, matka przedszkolaka, oskarżyła byłego męża o to, że molestował seksualnie własne dziecko – wraz z jednym z pracowników przedszkola. Dwa lata później ta „matka ofiary” okazała się leczoną, cierpiącą na paranoidalną schizofrenię alkoholicką, ale do tego czasu sprawa zdążyła się rozwinąć w ogólnonarodową sensację i nikt już nie zważał na to, jak dalece niewiarygodne okazało się jej pierwotne źródło. Nie zważał z dwóch przyczyn.

Po pierwsze dlatego, że cała sprawa była już tylko częścią ogromnego zjawiska. Jak Stany długie i szerokie, nagle zaczęły „wychodzić na jaw” analogiczne „afery”. W wielu miejscach „okazywało się”, że personel przedszkoli wyprawiał orgie z udziałem przedszkolaków. Przy czym często nie były to bynajmniej zwykłe orgie, tylko elementy satanistycznych rytuałów. Bo wtedy w Ameryce wielu wierzyło w to, iż USA są infiltrowane przez potężną religijną organizację pedofili – czcicieli diabła. Organizację, w której skład wchodzi masa bardzo wpływowych ludzi, no i dlatego oczywiście – przekonywali wyznawcy – dotąd ta ich zdaniem powszechnie dokonywana zbrodnia nie wychodziła na jaw. No a skoro mamy do czynienia z wszechogarniającym, oczywistym spiskiem, to dlaczego problem z wiarygodnością jakiejś tam jednej pani ma zakłócić proces odkrywania prawdy, która jest przecież jasna?

Po drugie dlatego, że oskarżenie z reguły zyskiwało ogromną liczbę świadków. Były to dzieci, w tym trzyletnie, które masowo zaczęły oskarżać swoich opiekunów. A dzieciom przecież trzeba wierzyć, no bo jak inaczej, jaki interes miałyby w kłamaniu? – uważano. W Manhattan Beach dzieci zeznały, że pod przedszkolem znajdują się tajemnicze lochy i tam personel przedszkola czcił szatana i uprawiał z nimi seks. Przebadano grunt georadarem, lochów rzecz jasna nie znaleziono, ale co

Wojujący z szatanem

PIOTR SKWIECIŃSKI



Gdy dążenie do oczyszczenia ogarnia wszystkich...

tam, przecież taka drobnostka nie może zakłócić wielkiego czyszczenia.

I tam, i w innych miejscach dzieciaki w ogóle zeznawały interesująco. Na przykład, że codziennie wywożono je samolotem do Meksyku i przywożono z powrotem na czas, by po południu oddać rodzicom. Że latały ze swymi prześladowcami balonem. Że dziecko splukiwano w toalecie, wtedy rurami dostawało się do tajnych pomieszczeń, w których je gwałcono. Te i inne podobne „świadcstwa” nie były uznawane za stawiające pod znakiem zapytania całą aferę, a niektóre zdecydowano się wręcz umieścić w aktach oskarżenia. Lokalnie zapachniało stalinowskim Wielkim Terrorem, tak rozlewały się listy podejrzanych i tak absurdalnie brzmiały oskarżenia. Do pełni obrazu brakowało tylko tortur i kary śmierci.

A na tej masowej hysterii polityczne kariery robili prokuratorzy, którzy w USA na szczeblu lokalnym pochodzą z reguły z wyboru. Janet Reno, potem prokurator generalna Stanów Zjednoczonych za Clintona, była przedtem nienadmiernie wybijającą się stanową oskarżycielką w Miami. Ogólnokrajową karierę zrobiła dzięki jednej ze spraw „przedszkolnych pedofili”, na której się wyłansowała. Sprawie, dodajmy, bardzo wątpliwej.

Histeria trwała kilka lat. W wielu miejscach aresztowano ludzi. Wielu, amerykańskim zwyczajem, skazano na wielokrotne dożywocie.

Ale na szczęście Ameryka, nawet osuwająca się w obłąkanie, to nie Związek Radziecki lat 30. Nastroje zaczęły się zmieniać.

Wyszło na jaw, że dzieci przesłuchiowano w sposób sugerujący, jakie odpowiedzi uznane będą za „poprawne”. Że zatrudnione w tym celu terapeutki i terapeuci, a także specjalnie szkoleni policjanci byli z góry przekonani, że do molestowania dochodziło i uznawali za swoją misję wykazanie tego.

W kilku sprawach udało się uzyskać wyroki uniewinniające – po wieloletnim areszcie. W kilku innych oczyszczono dopiero skazanych – po np. 19 latach odsiadki. Uzyskiwali gigantyczne odszkodowania. Ale ich życie zostało złamane. W Wenatchee ogółem aresztowano 46 osób. W hrabstwie Kern – 36. Po wielu latach uniewinniono je wszystkie – prócz dwóch, które zdążyły umrzeć w więzieniach. A pytanie, ilu niewinnie skazanych w sprawach mniej głośniejszych i może mniej oczywistych nie skorzystało z – użyjmy jeszcze raz bardzo tutaj pasującej okostalinowskiej metaforyki – odwilży, pozostaje otwarte.

Warto pamiętać o tym, co potrafi się zadziać w państwie naprawdę bardzo demokratycznym, kiedy woła moralnego oczyszczenia zyskuje przewagę nad wszystkim innym. ▲

Jeżeli teoria nie zgadza się z faktami, tym gorzej dla... teorii

Media z trudem nadążają za wydarzeniami, wydarzenia zaś płaczą się pod nogami niewydarzonych polityków, co sprawia, że bredzą od rzeczy i gubią tok myślenia, bo leją ich ze wszystkich stron. Jak nie w tabloidach, to w telewizjach, albo spiorą na forum internetowym i sprofanują na Twitterze. Politycy z prawdziwego zdarzenia plasują się po prawej stronie, tymczasem ci z lewicowo-liberalnej strony coraz bardziej cierpią na brak argumentów w obronie słusznych poglądów, zdziwieni, że opinia publiczna domaga się od nich logicznego stanowiska popartego faktami. Bo problem jest w tych faktach – one są i krzyczą, a oni, ci poprawni politycznie liberalni demokraci, muszą się z nimi pogodzić albo zniknąć z polityki. Słynny filozof niemiecki Georg Wilhelm Friedrich Hegel ukuł następujące hasło: „Jeśli teoria nie zgadza się z faktami, tym gorzej dla faktów”. Marksisi czerpali z myśli Hegla, wykorzystując jego teorię dialektyki. Hegel zaś rozprawiając na temat tożsamości ducha i materii, nie mógł przewidzieć, że jego rozważania posłużą do budowy podwalin komunizmu.

On nie przewidział rewolucji technicznej, która ułatwi docieranie do faktów, które wbrew jego opinii szkodzą teorii, podważają ją, a nawet obalają. W ten współczesny chaos myśli i ducha, czyli pomieszania z poplątaniem, zostali wciągnięci, a właściwie wepchnięci, nierzadko wbrew własnej woli, dziennikarze i im podobni publicyści, co doświadcza na co dzień użytkownik mediów wszelakich. Otóż wbrew Heglowi (przełom XVIII i XIX w.) żyjemy w czasach, w których jeżeli teoria nie zgadza się z faktami, tym gorzej dla teorii. W swoim czasie poglądy niemieckiego filozofa miały uzasadnienie, w każdym razie dla ścisłego grona ówczesnych intelektualistów i uczonych. Tak zwany lud nie wiedział o jego istnieniu, a fakty były wokół niego i na dodatek namacalne. Nic dziwnego, że starał się żyć w zgodzie z nimi.

Kierując się chłopskim rozumem, jestem wolna od problemów nękających elity, w tym dziennikarskie, a zwłaszcza te, które na siłę przekonują nas do teorii o wyższości demokracji liberalnej nad demokracją zwykłą. A więc nieliberalną, taką, jaka zapanowała dwa lata temu w Polsce, panuje na Węgrzech i jak dobrze pójdzie, rozpowszechni się w całym eurokołchozie. Do czego prowadzi walka rzeczywistości, czyli prawdy, z teorią o powszechnej szczęśliwości zaaplikowaną człowie-



kowi Zachodu przez tzw. elity, niedokształcone, niewychowane i rozpuszczone panującą tolerancją dla głupoty, chamstwa i życiowej tandety? Zaczęło się od dzieci kwiatów, a skończy się na dzieciach motylkach, co to z kwiatka na kwiatek, byle było fajnie, wesoło i beztrudno.

Beztrosko brzmia wypociny różnych redaktorów, których nie stać na logiczne myślenie o czasach, w których żyją, na analizę wydarzeń całkiem nieteoretycznych.

Oto na łamach niemieckiego tygodnika „Die Zeit”, niegdyś czytanego przez prawdziwą inteligencję, a dziś głównie przez jego autorów i autorytety pseudointelektualne, pojawił się artykuł dvojga autorów. Autorzy ci, Olivia Kortas i Matthias Krupa, poświęcili swój tekst ósmej rocznicy katastrofy smoleńskiej. Nasze poprawne politycznie portale wybiły na plan pierwszy następującą złotą myśl pani Kortas i pana Krupy: „Polska prawica przeformowała katastrofę w narodowy mit, bez którego PiS nie rządziłoby w Polsce”.

Okazuje się więc, że według tych autorów katastrofa przyczyniła się do przejęcia władzy przez Prawo i Sprawiedliwość, a teoria o tej żelaznej brzozie, rozpowszechniana przez kastę rządzącą Polską przez osiem lat, przyczyniła się do jej upadku. Czyli że cały wysiłek komisji Millera i Anodiny został zniweczony przez naród, który wbrew forsowanej przez władze III RP i Kreml teorii o przyczynach śmierci 96 członków elit domagał się i nadal domaga poznania przyczyn tej tragedii, czyli faktów. To jak to było z tą katastrofą? Przydała się Tuszkowi i jego mafii czy nie przydała?

Prędzej czy później poznamy prawdę, bo to nie są czasy, gdy można było ukrywać przez pół wieku sprawców katastrofy samolotu gen. Sikorskiego czy zbrodni w Katyniu. Mamy rewolucję cybernetyczną, o której nie śniło się Heglowi ani Marksowi z Engelsem, a dzięki niej ukrycie faktów i pranie mózgów stało się nad wyraz trudne, także dla autorów artykułu z „Die Zeit”. Przy okazji warto im uprzytomnić, że to nie Smoleńsk, ale brak związku teorii z praktyką rządzenia krajem, który był państwem teoretycznym, skłonił naród polski do wymiany ekipy rządzącej na wiarygodną, uczciwą i patriotyczną. A tragedia smoleńska nie jest żadnym mitem, jest faktem, narodowym i międzynarodowym. 

Niemiecka przysługa

W Europie dzieją się rzeczy niezwykle i – jak sądzę – pozbawione precedensu w historii po 1989 r. Już sam europejski nakaz aresztowania wydany w Madrycie na 13 katalońskich przywódców, którzy uciekli z Hiszpanii, budzi zdumienie i niepokój. Aresztowanie Carlesa Puigdemonta w Niemczech to już horror. Wygląda na to, że mamy pierwszego więźnia politycznego Unii Europejskiej i pierwsze aprobowane przez wspólnotę prześladowania legalnej, działającej pokojowo, opozycji politycznej.

Sprawa jest poważna. Mówimy przecież o politykach najwyższego szczebla, mających demokratyczną legitymację, nie zaś o terrorystach czy malwersantach. Do tego dochodzi zdumiewający akt oskarżenia o „antypaństwową rebelię”, pojęcie – jak dowiedziałem się z tekstu Jana Rokity – zakładające działanie przeciw porządkowi konstytucyjnemu z użyciem przemocy. Czego jak czego, ale faktu, że jedyną przemoc, jaką widzieliśmy podczas referendum, to była przemoc hiszpańskiej policji, kwestionować niepodobna. Jeśli to była rebelia, to aksamitna, żeby nie powiedzieć „pluszowa”. Do tego dochodzi aresztowanie, które w ten akt europejskiego bezprawia wikła Niemcy z niepojętych przyczyn angażujące się w tę podejrzaną – chciałoby się powiedzieć – rusko-białoruską drakę. O co tu chodzi?

Zacznijmy od Niemiec. Wprawdzie sąd dość szybko się połapał, że sprawa ekstradycji na podstawie oskarżenia o rebelię jest dęta i pozwolił Puigdemontowi odpowiadać z wolnej stopy, to przecież wypowiedzi oficjalne nie pozwalają wątpić, że aresztowanie nie było przypadkiem. Rzecz jest nie tylko dziwna, lecz – jak mniemam – znacząca. Trudno się dziwić, że również w samych Niemczech – co pokazują badania – kwestia aresztowania podzieliła opinię publiczną niemal równo na pół.

Aresztując premiera Katalonii, Niemcy wychodzą ze swej dotychczasowej roli. Czy Republika Federalna, która przez lata dokładała wszelkich

starań, żeby ukrywać swą siłę i sprawczość, odchodzi do przeszłości? Dobrze wiemy, dlaczego tak było i akurat w Polsce trudno się tej strategii dziwić. Czy zmiany widoczne w kulturze – proces uwalniania się od odpowiedzialności za niemieckie zbrodnie – pozwala zapomnieć o dawnej powściągliwości również politykom? Dlaczego jednak właśnie w tej wybitnie dwuznacznej historii Niemcy chcieli się pojawić jako państwo robiące porządek z cudzą opozycją? Czy w berlińskich gabinetach dojrzała myśl, że wobec niepokojów w Europie, wobec ofensywy rozmaitych populizmów niemiecka siła musi wyjść z cienia, a Niemcy muszą przyjąć rolę „żandarma Europy”?

Deklaracja pani kanclerz Merkel, że nie widzi problemu z ekstradycją, bo Hiszpania jest krajem praworządnym w obliczu oskarżenia o „antypaństwową rebelię”, za które grozi 30 lat więzienia, wydają się hipokryzją posuniętą do cynizmu. Czyżby powracał duch Europy mocarstw, gdzie panujące „domy liberalne” obok innych usług pomagają sobie będą w wyłapywaniu opozycji, jeśli ta przez nieuwagę znajdzie się na ich terytorium?

W całej tej historii zdumiewa obojętność wobec pozorów. Można odnieść wrażenie, że europejskie elity zgodziły się na zmianę modus operandi. Zawsze wzrusza mnie, kiedy widzę jak brukselscy działacze praw człowieka potrafią w podobnych wypadkach patrzeć akurat gdzie indziej. Cóż widać, że przeciwników politycznych wolno wziąć za twarz, ich prawa polityczne traktując z dużym przymrużeniem oka. Warto przypomnieć, że do absurdalnych oskarżeń o „antypaństwową rebelię” na wszelki wypadek dołączono oskarżenia o defraudację. Gdyby nie udało się udowodnić pierwszego, można będzie wsadzić za drugie. Ponieważ jednak żadnej defraudacji nie było, uznano za nią koszty referendum, które zarządził kataloński parlament.

Częścią nowego klimatu jest również lekceważenie brutalności hiszpańskiej policji. Inna sprawa, że przeciwnie skuteczność Madrytu, pozbawionego jakiegokol-



wiek koncepcji politycznej, może być przysłowiowa. Jeśli ktoś tu rozkręca spiralę separatyzmu i przemocy, to dziś raczej nie jest to Barcelona.

Jak widać, zagrożenie rodzeniem się liberalnego państwa policyjnego nie jest zmyślone. Wszyscy grożą populistyczną prawicą albo islamem, a tymczasem może się okazać, że wolność odbierają nam liberalne elity. Jeśli działania Madrytu nie są bezprawne, to władzy wolno aresztować każdego, kto chciałby dokonać jakichkolwiek poważnych reform konstytucyjnych. Jeśli przestępstwem karany wieloletnim więzieniem mogą być pokojowe działania prowadzące do zmiany porządku politycznego – wolność polityczna staje się fikcją, a pojęcie legalnej opozycji pustym słowem.

Nie mówimy o sprawach hipotetycznych. 10 kwietnia po niedawnych blokadach dróg hiszpańska Guardia Civil aresztowała kolejnych zwolenników katalońskiej niepodległości. Wśród oskarżeń powtarzają się słowa „bunt”, „terroryzm”, „sabotaż”. Lider partii Podemos żartuje, że wśród zarzutów „brakuje tylko oskarżenia o zastrzelenie Kennedy’ego w Dallas”. To zabawne, ale przecież nie wszystkim jest do śmiechu. Katalończycy mówią o „niedopuszczalnej kryminalizacji” pokojowych i legalnych działań i dalszym ograniczaniu wolności słowa i politycznych przekonań. Można – tak jak piszący te słowa – nie mieć wyrobionego zdania w kwestii niepodległości Katalonii, ale trudno lekceważyć klimat przyzwolenia na łamanie politycznych praw i wolności. Dziś wyrozumiałość Brukseli dotyczy Hiszpanii. A jutro?

Dariusz Karłowicz

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Nie walczyli samotnie

Nie do końca prawdą jest twierdzenie, że Niemcy wkraczając zbrojnie do getta warszawskiego 19 kwietnia 1943 r., w przeddzień 54. urodzin Hitlera, chcieli mu zrobić przyjemność informacją o likwidacji warszawskich Żydów. O terminie rozpoczęcia akcji likwidacji getta mógł też zdecydować inny kalendarz – wielkanocne święta. Pierwsze niemieckie oddziały pojawiły się 18 kwietnia wieczorem, w Niedzielę Palmową. Odparte przez powstańców, ponowiły akcję w poniedziałek, a najcięższe walki toczyły się w czasie świąt Wielkiejnocy i później, aż do maja 1943 r. Dla Niemców było oczywiste, że po stronie uzbrojonych Żydów mogą stanąć, jak pisał w swoim pamiętniku gen. Jürgen Stroop, „polscy bandyci”, dlatego bezpieczniej było zacząć likwidację getta w to najważniejsze dla polskich katolików święto.



Tadeusz Bednarczyk ps. Bednarz, Tadeusz należał do tych Polaków, którzy byli w getcie warszawskim codziennie, dzięki stałej niemieckiej przepustce urzędnika skarbowego. Równocześnie był zatwierdzonym przez gen. Grota-Roweckiego pełnomocnikiem Organizacji Wojskowej (OW) Komendy Głównej AK oraz Centralnego Komitetu Organizacji Niepodległościowych odpowiedzialnym za koordynowanie pomocy Żydom. Pułkownik Bednarczyk organizował w getcie Żydowski Związek Wojskowy (ŻZW), znacznie liczniejszy i lepiej wyposażony w broń niż Żydowska Organizacja Bojowa (ŻOB). Swoje ważne historyczne świadectwo w postaci książki „Życie codzienne warszawskiego getta” dał dopiero w 1995 r. dzięki odwadze wydawnictwa Ojczyzna. Wcześniej, w latach 1967–1969, fragmenty jego książki w odcinkach drukował londyński emigracyjny tygodnik „Kronika”. Przez całe lata żaden polski wydawca nie odważył się wydrukować jego książki, a autor musiał się często zmagać w PRL z fałszywymi oskarżeniami o antysemityzm. Dziś winniśmy mu wielki szacunek za opisanie prawdy o życiu codziennym w warszawskim getcie i zebranie dokumentacji walk, w tym dowodów udziału Polaków w Organizacji Wojskowej Korpusu Bezpieczeństwa AK (OW-KB-AK).

Co każdy przeciętny Polak powinien wiedzieć i pamiętać zawsze wtedy, gdy obchodzimy rocznicę powstania w getcie warszawskim. Jakie podstawowe fakty?

Powstania tego nie byłoby bez udziału Polaków z AK. Polacy z OW-KB walczyli obok Żydów, których wcześniej wyposażyli w broń i amunicję. Najlicniejszą zbrojną grupę (ponad 500 osób wraz z wolontariuszami) stanowili Żydzi zorganizowani w ŻZW. Byli to najczęściej dawni żołnierze

i oficerowie Wojska Polskiego, którzy zachowali swoje kontakty z kolegami po aryjskiej stronie. To oni podzielili się bronią z członkami ŻOB, których było ponad 220, oraz wspólnie z instruktorami AK szkolili ich do walki w oparciu o regulaminy i podręczniki WP. Tak więc ŻZW było członem składowym OW-KB-AK. Łącznie stanęło do walki z Niemcami ok. 1 tys. ludzi na ok. 70 tys. żydowskiej ludności, niewielkiej już części z liczącego w 1942 r. prawie 400 tys. osób getta. A więc nie jest prawdą głoszenie

przez wielu żydowskich i izraelskich historyków, że Żydzi w getcie walczyli samotnie. Bój na placu Muranowskim przeszedł do historii jako „bój o sztandary”, wspomina Bednarczyk. Bój o sztandary polski i żydowski, które wywieszono nad pozycjami powstańców. Ten fakt, także negowany przez niektórych żydowskich historyków, pewnie nie zachowałby się do naszych

czasów, gdyby nie raport Jürgena Stroopa. Potwierdził w nim udział większej liczby „polskich bandytów” po stronie Żydów. Poza tym Stroop jako swojego przeciwnika wymienia jedynie Żydów z ŻZW, nie wspominając nic o ŻOB. Warto o tym pamiętać, gdyż w czasach PRL gloryfikowano ŻOB Mordechaję Anielewiczę i Marka Edelmana, a przemilczano udział ŻZW i jego bohaterskiego komendanta porucznika WP Dawida Moryca Apfelbauma. Być może dlatego, że trzon bojowników z ŻZW stanowili ludzie wychowani w duchu betarowskim, czyli żydowskiej, prawicowej organizacji walczącej o wolność z myślą o Palestynie, swojej przyszłej niepodległej ojczyźnie, zaś ŻOB reprezentował lewicową, socjalistyczną młodzież skupioną wokół partii Bund.

Warto też wiedzieć, że w najcięższych walkach na placu Muranowskim i Bonifraterskiej brała udział 18-osobowa drużyna OW-KB pod rozkazami Henryka Iwańskiego ps. Bystry, który po wojnie wraz z żoną Wiktoria, która ukrywała Żydów, został w 1964 r. odznaczony Medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Jeszcze po upadku powstania patroli OW-KB dostarczały broń i amunicję tzw. gruzowcom, tym bojownikom, którzy do końca walczyli w gruzach getta. Walki toczyły się wśród szalejących pożarów, dlatego trzeba też wspomnieć polskich strażaków, dzięki którym przerzucano do getta żywność, lekarstwa, a także broń i amunicję. To samo robili polscy policjanci wchodzący do getta. Żydzi nie byli pozostawieni samym sobie.

Pamiętajmy też, że wspomniana przez Czesława Miłosza w wierszu „Campo di Fiori” karuzela przy murze getta, po polskiej stronie, kręcąca się „przy dźwiękach skocznej muzyki”, nie była wtedy czynna. Nie akceptujemy kłamliwych dowodów na polską obojętność wobec tragedii walczącego getta. Nie mamy się czego wstydzić.

Pomnikowa brzydota

W kwestiach estetycznych niezwykle trudno zachować umiar i chłodną głowę, stąd pewnie tak wielką popularność robi zamykające usta powiedzenie, że o gustach się nie dyskutuje. Przychodzą jednak takie momenty, kiedy coś się ulewa i pięść sama zwija się w kulak.

Jeżdżę po Polsce i co rusz wpadam na kolejne pomniki ku czci Jana Pawła II. Większość z nich zwyczajnie zniesławia naszego wielkiego rodaka. A to Jan Paweł II wygląda jak dżin, który dopiero co wyszedł z butelki i nie zdążył się jeszcze porządnie rozprostować – polecam obejrzeć monument stojący na rynku Nowego Sącza, innym znów razem papież wygląda jak siódme nieszczęście albo coś jeszcze gorszego.

Autorem ponad 70 papieskich pomników jest krakowski profesor Czesław Dźwigaj. Niestety pan Dźwigaj nie poprzestaje na krajowych produkcjach, jego dzieła straszą także w Rzymie, a nawet na Teneryfie. Także swój Kraków upiększył pan Dźwigaj monumentami. Piotra Skargi, który sprawia wrażenie, jakby rozpaczliwie machając rękami, bronił się przed upadkiem ze zbyt wysokiej i źle wyważonej kolumny, oraz Józefa Piłsudskiego, gdzie nic do niczego nie pasuje, marszałek nie jest podobny do siebie, a towarzyszący mu żołnierze są jakby żywcem uprowadzeni z podobnego monumentu zdobiącego miasto Kielce.



**Witold
Gadowski**

Prof. Dźwigaj odkrył tajemny klucz do psucia przestrzeni publicznej w miastach i miasteczkach. Pewnie nie napisałbym tego felietonu, gdyby nie straszliwe odkrycie, które poczyniłem niedawno na wiedeńskiej Łysej Górze (Kahlenbergu). Niech państwo sobie wyobrażą, że w miejscu, z którego Jan III Sobieski dowodził bitwą z Turkami, pojawiła się makieta nowego pomnika (poświęconego sławnym wyczynom naszego władcy) autorstwa... Czesława Dźwigaja.

Już tam trafił ten nieprzejednany luminarz tandety i dziadostwa. Projekt jest dumnie na Kahlenbergu wyeksponowany i odkąd go ujrzałem, to trwożliwie rozglądałem się na boki, sprawdzając, czy jakiś cudzoziemiec jest w stanie dojrzeć to, co ja tam ujrzałem. Sobieski cwałujący na stworzeniu – w założeniu prawdopodobnie mającym być koniem – przypominającym psa z zaburzonymi proporcjami ciała, a za nim jakiś nieopisany śmietnik i turpistyczna orgia, które pewnie w zamyśle twórcy miały być alegoriami polskiej husarii. Coś nieopisanie brzydkiego i pozbawionego smaku. To coś ponoć wygrało jakiś konkurs. I tak ma być upamiętniona wiedeńska wiktoria naszego romantycznego króla!

Rodacy, zróbmy wszystko, aby nie powstał tam pomnik, który zhańbi nasze poczucie estetyki aż po najdalsze szczyty Alp. Niechże na Kahlenbergu stanie coś polskiego i ładnego. Czy to możliwe?

I inni...

Po raz ostatni spotkaliśmy się na estradzie z okazji rocznicy smoleńskiej katastrofy – tym razem nie na Krakowskim Przedmieściu, tylko na pl. Piłsudskiego, przy nowo odsłoniętym pomniku ofiar tej tragedii. Artysty związani emocjonalnie i twórczo z tym najstraszniejszym dramatem powojennej Polski. Przyjeżdżający tu co roku na własny koszt. I na własne ryzyko.

Nie wszyscy dotrwali. Zbrakło Przemka Gintrowskiego i Zbyszka Łapińskiego. Nie pojawił się Antoni Krauze (pamiętam, jak filmował jeden z koncertów, by wykorzystać jego fragmenty w filmie „Smoleńsk”). W ciągu ośmiu lat przewinęło się przez zniechęconą i wyszydzaną przez mainstreamowe media „oszołomską” scenę wielu artystów z sercem po prawej stronie: od nestora Jana Pietrzaka, po młodego barda Bartka Kurowskiego. Pieśniarze Tolek Jabłoński, Leszek Czajkowski, Paweł Piekarczyk, Maciej Wróblewski... Aktorzy Halina Łabonarska, Katarzyna Łaniewska, Ewa Dałkowska, Jerzy Zelnik, Darek Kowalski.



**Lech
Makowiecki**

Każdy, kto tylko dotknął tematu smoleńskiej tragedii, spotykał się z wściekłym branżowym ostracyzmem. Doświadczyłem tego osobiście, po opublikowaniu wiersza „Smoleńsk” zamilkły nagle telefony z propozycjami koncertów. Andrzej Kołakowski (m.in. ballada „Krakowskie Przedmieście” i „Lot Warszawa–Smoleńsk”) do tej pory włóczony jest po sądach za mowę nienawiści. Szykany pod adresem Antoniego Krauzego zrujnowały mu zdrowie i w rezultacie przyspieszyły jego odejście.

Budzenie Polski nie byłoby możliwe bez ludzi sztuki, którzy wbrew modom poświęcają własne pieniądze, czas i karierę, aby wesprzeć propolskie przedsięwzięcia. A patriotyczny hip-hop „odlał się” na polityków oraz media i „rządzi” w internecie.

Czy byłoby możliwe do wygrania wybory prezydenckie i parlamentarne, gdyby nie wsparcie, jakiego udzielili PiS tzw. bogoojczyźniani twórcy? Tego słowa: „Dziękuję” – adresowanego zbiorczo do wszystkich tych artystów – zabrakło mi w podsumowaniu ostatniej rocznicy.

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Amfibia

Jest taki dowcip. Nadeszła ogromna powódź. Na górze zamienionej w wyspę przy kościółku stoi proboszcz. Podpływają amfibią żołnierze i proponują mu ratunek. Odmawia, stwierdzając, że Bóg go uratuje. Drugi raz podpływają, trzeci, a księżuło to samo. Wreszcie woda tak przybrała, że utonął. Poszedł do nieba i z pretensją do Pana Boga, że go nie wyratował z opresji. A Bóg: „Przecież ci trzy razy posyłałem amfibię!”.

Matejko malował naszą wspólnotę. Malował Polaków. Tych, którzy pod Grunwaldem zmiełli zaborczych Krzyżaków, tych, którzy swą potęgę odlewali w wielkich dzwonach, tych odbierających hold pruskiego lennika i tych maszerujących do króla z zapisem majowej konstytucji. Matejko doskonale znał klucz do polskości i wolności.

A pamiętacie jesień 1978 r. i bijący dzwon Zygmunt? I tę niewiarygodną wspólną radość po konklawe? Pamiętacie komuszków wystraszonych zaproszeniem skierowanym w 1979 r. do nieba: „Niech zstąpi Duch Twój”? To były słowa i droga wyzwolenia. Ale znów były nas miliony, wspólne miliony. Tak wyraźne, jak późniejsze tłumy na trasach papieskich pielgrzymek.

Byłem świeżo po studiach, gdy w sierpniu 1980 r. zastrajkowała stocznia, a potem też kawał Polski. Z kolegami z teatru studenckiego pojechaliśmy do Gdańska i pod stocznia koczowaliśmy. Po co? Bo tam był kawałek naszej Polski. Tam w podstocznim tłumie byliśmy prawdziwą wspólnotą. Wszyscy baliśmy się ruskich i naszych żołdaków. Milicji, esbeków, ale radość bycia razem była daleko większa niż strach. Przypominacie sobie masową solidarność i „Solidarność”? A jesień 1984 r. pamiętacie? I tę jednoczącą nas, znów integrującą wolę wspólnej walki po bestialskim mordzie władzy na kapelanie związku, ks. Jerzym Popiełuszcze?

Pamiętacie, jak po politycznych trzęsieniach ziemi, po zarysowujących się podziałach, po otrzeźwieniu pookrągl-

stolowym, po eksperymencie z AWS, po powrocie postkomuny do władzy przyszedł dzień 2 kwietnia 2005 r.? Umarł papież. Ale nie jakiś kolejny papież, lecz ten nasz, ten największy. Wtedy byliśmy razem. Pamiętacie te przerwane wesela, dyskoteki, otwarte kościoły pełne ludzi, testament czytany z megafonów, płaczących aktorów, polityków? Pamiętacie kibiców przerywających mecz Lecha i Pogoni? Do dzisiaj mam łzy, gdy to oglądam. Pamiętacie msze święte na błoniach, w centrach miast? Pamiętacie płaczących reporterów telewizyjnych i tytuły w gazetach „Ojciec nasz, któryś jest w niebie...” ze zdjęciem odchodzącego w góry Jana Pawła II?

Potem przyszedł rok 2010, kwiecień. W Smoleńsku życie straciło prawie 100 osób. I nie było ważne, która z nich była kim, która z nich była stewardesą, a która prezydentem, generałem, pilotem, duchownym, aktorem. Zginęło 96 Polaków. I te tłumy ludzi z całej Polski, na Krakowskim Przedmieściu, na wielu polskich ulicach i placach, i znów jedność zwykłych Polaków, już wcześniej podzielonych, ale tutaj razem. Ten samolot z trumnami prezydenckiej pary machający na pożegnanie Warszawy skrzydłami, prezydent Gruzji idący niemal pieszko na pogrzeb do Krakowa. Wiem, widziałem, jak lewactwo nauczone doświadczeniem z poprzednich naszych jedności uruchomiło swoich komandosów i prowokatorów łączących rozmodlonych; jak Passent wściekał się na pochówek na Wawelu; jak Komorowski przebiegał nóżkami do Pałacu Prezydenckiego; jak szydzono z Pospieszalskiego; jak Olbrychski przeproszał Rosjan za naszą katastrofę. Ale jeszcze wtedy byliśmy silni jednością, jeszcze mogliśmy dać radę i całą tę lewacką hołotę przykryć czapką.

Nasza jedność jednak zawsze nam się jakoś rozmywała. Teraz mamy gęby pełne frazesów o jednoczeniu się, o zasypaniu rowów. Ale co musi się wydarzyć, abyśmy z siły tej wspólnoty skorzystali? Jaki kataklizm musi nadejść? I czy jeszcze chociaż raz podpłygnie jakaś amfibia?



Aleksander Nalaskowski

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSSETTE, MARCIN FIJEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA LOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA,

PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZAŁĘWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN

FOTOTEKA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA LABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS



WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECI.PRAWDY.PL,
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA

W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE
ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ
PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZES RUCH S.A.:

ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI
PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ
BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.
RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA
ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.
PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI
KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00
LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

NAKLAD: 111 391 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00

PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
NATASZA VIEWEGER – NATASZA.VIEWEGER@FRATRIA.PL
IWONA WIEJAK – IWONA.WIEJAK@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZECZONE
(WŁĄCZNIE Z TYTUŁACJĄ NA JĘZYKI OBCE).



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, GRZYNA MYSLINSKA/FOTUM, PAPARACON KMECINSKI,
NA ZDJĘCIU W NEMEDICH MUNDURACH REKONSTRUKTORZY GRF BEMOWO

PRZESWIETLIK

Striptiz w kwefie

Dama meldująca się przede mną w hotelu wywołuje małą awanturę. Otóż, jak się okazuje, jej zdaniem recepcjonista musi mieć jej dowód osobisty na widoku, bo jeśli oddali się z tymże dowodem, to efektem może być skopiowanie owego dokumentu, co z kolei jest ponoć obecnie nielegalne. Trzeba przyznać, że dzisiejsze społeczeństwo jest szczególnie wrażliwe na punkcie ochrony swojej prywatności. Jako żywo przypomina to osoby, które – a znam kilka takich – dla zdrowia szczególnie przestrzegają zasad zdrowego żywienia, ale zapominają przy tym odstawić papierosy albo kilka codziennych browarów. Jak recepcjonista będzie potencjalnym złodziejem tożsamości, to jakoś skopiuje dowód nawet na widoku, a jak nie, to nie ma czym się martwić. A jeśli ktoś się bardzo martwi, to powinien darować sobie noclegi w hotelach albo negocjować z nimi pobyt incognito. Nie inaczej jest ze sprawami globalnymi. Na przykład ludzie ostatnio zaczęli porzucać Facebooka.

Ludzie, a nawet chyba już setki miliony ludzi, bo swoje konta zamykają także wielkie korporacje, stowarzyszenia, różne państwowe agendy. Jak się okazało, Facebook nie chroni danych, udostępnia je. Jakby ci, którzy tam się zapisywali, ci, którzy nie mogą chwili wytrzymać bez telefonu, bo muszą naraz obsłużyć cztery różne portale społecznościowe, a poród bez wrzuconej w minutę później do sieci fotografii uważają za nieudany, nagle postanowili chronić swoją prywatność. To trochę tak, jakby nocny ekszibicjonista w parku zżymał się, że ktoś go podgląda, albo striptizerka miała pretensje do swoich klientów, że gapią się jej na piersi lub chodziła w kwefie.

Ja nie zlikwidowałem konta na Facebooku. Przyszło mi to tym łatwiej, że nigdy go nie miałem. Wcale nie zależało mi na tym, by rzesze ludzi śledziły każdy mój krok. By jedni znajomi koniecznie wiedzieli o innych znajomych i o tym, co mamy sobie do powiedzenia. Już Twitter coraz bardziej mnie drażni, a co dopiero fejs. „Przecież możesz sobie zablokować różne opcje” – przekonywali znajomi. Świetny pomysł, a więc powędruję na Facebooka tylko po to, by potem zajmować się ochroną na tymże własnej prywatności? Poza tym cenię sobie spotykanie się z ludźmi na żywo, a „efbe” często to zaczyna zastępować. No i jest jeszcze jedna sprawa – nie podoba mi się, że jeden facet, dość podejrzany w dodatku, monopolizuje światowy przepływ komunikacji pomiędzy ludźmi. Argumentów, jak widać, miałem aż nadto.



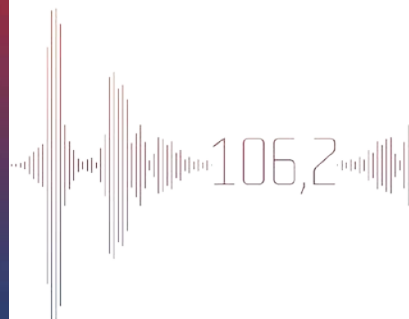
**Wiktor
Świetlik**

Nie zlikwidowałem konta na Facebooku. Przyszło mi to tym łatwiej, że nigdy go nie miałem

Wszystko to nie zmienia faktu, iż raczej jest dla mnie oczywiste, że jakkolwiek prywatność i ochrona moich danych są iluzoryczne, a urzędy do spraw ochrony prywatności mogą tyle, ile fundacje Ala Gore'a w walce ze zmianami klimatycznymi. Żyjemy w świecie okablowanym, zmonitorowanym, gdzie zostawiamy nieustannie dane, które wędrują dalej i dalej. Każdego dnia bezwiednie klikamy rozmaite zgody, a kolejne regulacje dotyczące ochrony danych osobowych sprawiają, że tych zgód wydajemy jeszcze więcej, zatem tym bardziej automatycznie i bezmyślnie to robimy. Mamy globalny Truman Show, a najciekawsze, że większość całkiem dobrze się w nim czuje, szukając kolejnych Instagramów, Snapchatów, zaznaczając na mapie Google restaurację, w której jedli obiad. Prywatność umiera, bo wszyscy o niej gadali, ale niewielu ją kochało. 

*Autor jest dyrektorem
Programu 3 Polskiego Radia*

REKLAMA



www.radiowarszawa.com.pl

55/0318/F

W starych przewodnikach po Londynie napisano, że jeśli czegoś nie można kupić w Harrodsie, to znaczy, iż to najprawdopodobniej nie istnieje. W sprawach zakupów londyńskich proszę się kontaktować jednak z panną Marią Mazurek, moja osoba czuje się niekompetentna i ja nie o tym. Ja o parafrazie.

Otóż parafrazując ów slogan, rzec by można, że w latach 90. ubiegłego wieku udowodniono, iż jeśli czyjeś cierpienie nie zostało pokazane w telewizji, to nie było to cierpienie prawdziwe. Stąd właśnie ta popularność przeróżnych talk-show, w których ludzie nad wyraz chętnie opowiadali o tym, że własna matka miała romans z kotem albo – to jeszcze lepsze i też autentyczne – ich własna żona zdradziła ich z bratem. Najlepiej, gdy w studiu siedziała owa niewierna żona z wiarołomnym braciszkiem i można było dać sobie po pysku, w wersji dla posel Pawłowicz: po mordzie.

Wszyscy wtedy zachodzili w głowę, na ile jest to reżyserowane, choć pytanie to było drugorzędne, jeśli bowiem ktoś chce zrobić z siebie taką ofiarę, to jest idiotą nadzwyczajnym i samo w sobie jest to zjawisko szokujące. Należę tu do grona uważającego, że rzesze Polaków gotowych drobiazgowo opowiedzieć o swoim pożyciu płciowym z cierpiącym na nadwagę i puszczanie gazów konduktorem z Małkini są całkiem spore. I nie będę dalej puszczał wody fantazji, bo życia nie przebiję.

Ale w sumie znają państwo ten mechanizm, prawda? To syndrom pani będącej w trakcie rozwodu. Koleżanka z westchnieniem, ale i zrozumieniem, opowiadała nam o swojej mamie, mieszkance nadmorskiego miasteczka, która spacerowała od kiosku do kiosku, kupując wszędzie po paczce zapalek, byle tylko opowiedzieć o tym, jak ten lajdak ją zostawił. Były to jednak traumy chwilowe, po których ludzie dochodzili do siebie. I mimo krótkochwilnego tonu tego wywodu rozumie i nawet współczuje tym rozmownym zdradzonym żonom czy mężom.

Teraz jednak, wraz ze zmierzchem telewizji, mamy zjawisko nowe. Otóż życie całe

ROBERT MAZUREK

Biust w dobrej cenie

Proszę państwa, w naturze nic nie ginie. Ludzie jedynie. To nie ja, to był Lec, ale z internetem jest jeszcze gorzej



– już nie cierpienie, a całe życie – nie jest właściwie przeżyte, ba, nie jest przeżyte wcale, jeśli nie ma go w internetach. I nie będę tu przed państwem snuł apokaliptycznych, choć prawdziwych, wizji, że wiedzą o nas wszystko. Wiedzą, co i kiedy kupujemy, co oglądamy, gdzie w tej chwili jesteście. I znają tysiąc innych detali. Raczej chciałbym zwrócić uwagę, że chętnie je, to życie, im oddajemy w dzierżawę.

Przysłuchiwałem się dni temu kilka przesłuchaniom założyciela Facebooka Marka Zuckerberga, którego nagle zapytano, czy chciałby powiedzieć wszystkim, w jakim hotelu spędził ostatnią noc. „Hm... Nie” – odparł zmieszany. „No widzi pan, ma pan prawo do prywatności” – zauważył spokojnie, bez cienia tryumfu (ani nawet zwyczajnego tryumfu) senator. I pał

lichu tu praktyki Facebooka czy Google’a, których niewolnikami się staliśmy. Uderza raczej łatwość, z jaką w tę niewolę się pchamy. Wszak zdjęcia dzieci, rodzin, fotki rachunków sklepowych, a nawet – to chyba rekord – kart kredytowych ze wszystkimi numerami ludzi wrzucają na swe konta dobrowolnie!

Proszę państwa, w naturze nic nie ginie. Ludzie jedynie. To nie ja, to był Lec, ale z internetem jest jeszcze gorzej. Przekonał się o tym Tomasz Lis, któremu Google wyświetlał – gdy ów redaktor Lis oddawał się przeglądaniu jakiejś prawicowej strony – reklamy pięknych i ponętnych Ukrainek. Nie wiedział, biedactwo, że Google spełnia tylko jego zasygnalizowane wcześniej pragnienia.

Mnie na ten przykład pan Google pokazuje na przemian bilety lotnicze, tudzież wynajem aut. Choć nie, raz, gdy szukałem dermatologa w Warszawie, zaczął pokazywać mnie kliniki operacji plastycznych z pełną ofertą, od przeszczepu włosów na głowie, do pozbycia się ich na innych organach i od waginoplastyki, po korektę biustu. Nad tą ostatnią wciąż się zastanawiam.

robert.mazurek@hotmail.com

Polityka w pocałunku

Jestem ogromnie wdzięczny Pawłowi Rabejowi, posłowi Nowoczesnej, za umieszczenie w internecie zdjęcia jego osobistego pocałunku z partnerem. I to wcale nie przygodnym – jak to się czasami zdarza, np. ze spotkaniem po raz pierwszy w życiu mężczyzną w wagonie kolejowym Pendolino na trasie Warszawa–Kraków, w ogrodzie zoologicznym w czasie zwiedzania klatki z lwami czy podczas rejsu statkiem po Wiśle, płynącym w słoneczny, letni dzień z Powiśla na dalekie Młociny – lecz z osobistym partnerem, który w tym celu wybrał się wraz z kandydatem na prezydenta (ups! na wiceprezydenta) Warszawy aż na Malte.

A wdzięczny jestem, bo zdjęcie to wydobywa na widok publiczny nie tylko subtelna sztukę wymiany czułości między dwoma zakochanymi w sobie z wzajemnością panami, co samo w sobie jest atrakcyjne, by nie rzec pociągające, ale co wymaga pielęgnowania. Inaczej może uschnąć niczym niezraszana róża w ogrodzie miłości. Zamiast naturalnego pobudzania i pogłębiania namiętności, tak ważnego stymulatora dla działalności politycznej Pawła Rabeja,



**Jerzy
Jachowicz**

mógłby zająć proces odwrotny – stygnięcie żarliwości, ze szkodą dla aktywności w samorządzie warszawskim.

Pocałunek to nie tylko zmysłowa otchłań przyjemności, w którą polityk tej miary co Paweł Rabej się zanurza, gdy poczuje wargi partnera. To także dostarczanie tworzywa do budowy trwałych relacji społecznych. Za sprawą szczególnie publicznego pocałunku o odpowiedniej intensywności do mózgu polityka dociera wiele pozytywnych bodźców, które powodują uwolnienie oksytocyny odpowiedzialnej za budowanie przywiązania do programowych idei Nowoczesnej połączonej z Platformą

Obywatelską węzłem walki z PiS.

Tak doświadczonemu politykowi nie muszę podpowiadać, że powinien wypracować nowoczesny sposób całowania się w publicznych miejscach. Wszak podczas zbliżenia się ust spotykają się dwie osobowości i ujawniają się różne temperamenty. Dlatego radzę różnicować pocałunki – od muśnięcia, poprzez dłuższe pieszczoty wilgotnymi wargami, aż po długie, namiętne, jakie oglądamy na zdjęciu z Malty. 

CO MNIE SMUCI

Mój wielki smutek

Pisałam już, co mnie drażni, wkurza i złości, co mi się podoba i co mnie wzrusza. Dziś chcę napisać, dlaczego ten felieton nosi taki tytuł.

Wiem, że chcę pisać o sprawach bardzo osobistych, ale moich czytelników traktowałam zawsze jak przyjaciół. W tygodniu poświęconym umarł mój mąż Andrzej. Wśród domowników nazywany był Jędrkiem, a przeze mnie Jędrusiem. Z wykształcenia był, tak teraz muszę już używać słowa „był”, inżynierem – skończył Akademię Górniczo-Hutniczą. Talenty miał różnorodne. Na naszej pracowniczej działce w lesie zbudował dom. Zrealizował swoje marzenie. Zbudował go własnymi rękami. Czasy były trudne, zaczynał się stan wojenny, wyrzucono go z Biura Projektów, zaangażował się w podziemny ruch wydawniczy CDN.

Potem była wyspa i aresztowanie. Przesiedział pół roku na Rakowieckiej. Gdy przysyłał do mnie ocenzone listy z więzienia, dotyczyły budowy domu, ogrodu. Po wyjściu nie mógł znaleźć pracy. Po wyborach 4 czerwca, po – jak nam się wydawało – zwycięstwie „Solidarności” założył spółdzielnię i był jej prezesem. Został odznaczony za działalność w podziemnym ruchu wydawniczym przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego.



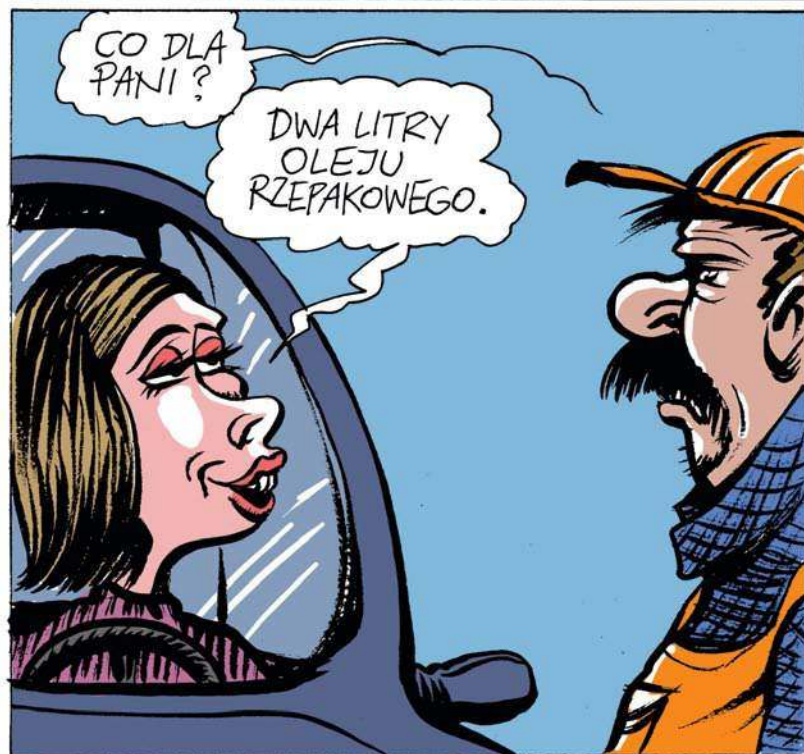
**Katarzyna
Łaniewska**

Dom piękniał. Jędrzek dobudował drewnianą, altanę, gdzie graliśmy w brydża, i loszek ziemny na nalewki. To miejsce ukochał. Nigdzie nie chciał się ruszać, niczego zwiedzać. Tam było mu najlepiej. Zresztą mieszkańcy tej miejscowości obdarzali go sympatią i pomocą. On ich również. Dom tętnił życiem, najpierw wnuki spędzały tam wakacje, potem my w sile wieku organizowaliśmy spotkania w poniedziałek wielkanocny. Z czasem było nas coraz mniej. My się starzeliliśmy i zaczynały się choroby. A Jędrzek kiedyś przy stole rodzinnym powiedział: „A ja chcę być tutaj pochowany”. I tak stało.

W pięknym drewnianym kościółku otoczonym drogą krzyżową składającą się z wielkich głazów – pomysł Jędrka – została odprawiona msza żałobna. Była grupa wiernych przyjaciół z Warszawy, szefowie CDN i mnóstwo tamtejszych mieszkańców – naszych przyjaciół. Leży na cmentarzu pod pięknym drzewem, które jak puści liście, to mu zasłumi. Bardzo blisko pochowanego tam rok temu naszego przyjaciela – Księdza Krzysztofa – proboszcza z naszej parafii. Myślę, że on zaopiekuje się nim i tam wysoko u dobrego Boga znajdzie spokój. 

SKREŚLONE

POLKOWSKI



TRENDY I OWĘDY

Antena Tefalena

W TVN selekcja gości jest ostrzejsza niż w niektórych lokalach

Janusz Gajos miał szczęście. W kaczytowskim grajdolku ma jak w czołgu i postanowił się wreszcie wywnętrzyć. Trzeba trafiać, redaktorka Justyna Pochanke miała wolną antenę w TVN i nie kryjąc afektu, spijali sobie z dzióbeków, nadając na jednej dramatycznej fali.

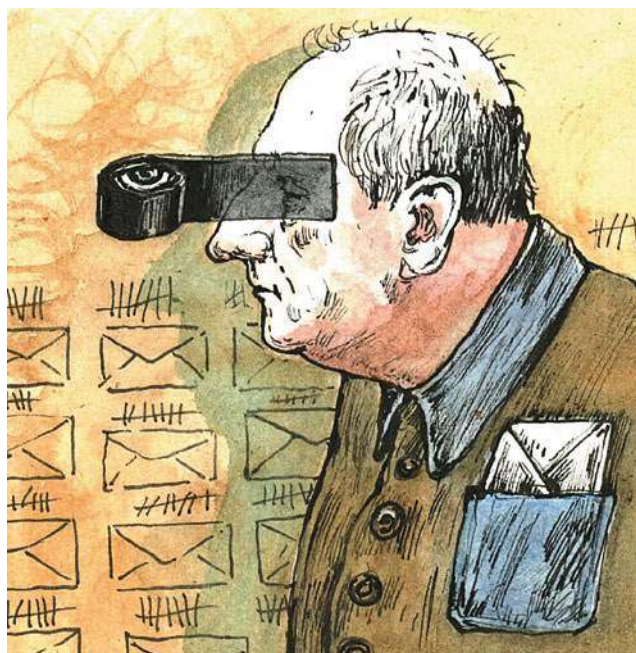


Ryszard Makowski

Aktor: „Wielu, wielu ludzi daje się prowadzić za rękę w stronę jakiegoś piekła” (westchnienie p. redaktor) przez „emerytowanego zbawcę narodu” (zdruzgotana mina p. redaktor). Zeszło też na temat teatrów. Pani redaktor cytowała jakąś uciemioną aktorkę: „Świetnym zespołom, których byłem częścią, podcięto skrzydła w trakcie lotu”, „teatry zostały przeorane”. Janusz Kos-Turecki w tym wątku wypadł fatalnie: „Gram w czterech przedstawieniach w Teatrze Narodowym” (p. redaktor zbita z tropu). Aktor nadrabiał, cmokając nad rolą w „Mszy za miasto Arras” autorstwa samego Andrzeja Szczypiorskiego. To autorytet w tefalenowskim guście, donosił na swojego ojca, za to na niego donosił jego syn.

Niespodziewanie autorytetem w TVN przestał być Jerzy Urban. Wylicytowano pokaźną kwotę 30,8 tys. zł na WOŚP za jednorazowy udział w „Szkle kontaktowym”. Widzowie alarmowali, dlaczego ta osoba jeszcze nie wystąpiła. Wtedy się okazało, że to żona Jerzego Urbana. TVN powiedziała jej „nie”, bo ponoć zażądała reklamy „Nie”. Na to Jerzy Urban stwierdził, że Tomasz Sianecki zmyśla. Pieniądze zwrócono, ale sprawa dotycząca tego, czy w TVN zmyślają, pozostaje otwarta.

Zawistowski prezentuje: **Okulistyka**



Wycinki z przeszłości

Tygodnik „Motor” to w latach 80. była obowiązkowa lektura polskiego kierowcy. Pismo wydawane przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą na okładce jednego z kwietniowych numerów zamieściło typową scenę samodzielną prac naprawczych przy „maluchu”, czyli Fiacie 126p. Jakież kontrast z obecnymi autami, w których kierowca często nie jest w stanie samodzielnie wymienić żarówkę. Czym wtedy żyła zmotoryzowana Polska?

Ustalono następujące przydziały kartkowe na kwiecień, maj i czerwiec: „Dla motorowerów i pojazdów pochodnych – 2 litry, dla motocykli i pojazdów pochodnych – 3 litry, dla samochodów i ciągników o pojemności skokowej: do 900 cm³ – 8 litrów, ponad 900 cm³ – 12 litrów”.

Samochody dostawcze: „Największą zaletą, o ile nie jedyną, produkowanych w kraju takich samochodów jest to, że w ogóle są. Stwierdzenie to dobrze charakteryzuje jakość i nowoczesność żuków i nys”.

Motocykle – tu słuszne narzekania, że nie produkowaliśmy już własnych. Na co można było polować? „W sklepach będzie stało ok. 10 tys. motocykli CEZET – 175, ok. 125 tys. jednoślądów Jawa-250, ok. 2 tys. MZ-250 i 4 tys. MZ-150. Oferta zostanie uzupełniona o pewną ilość motocykli radzieckich. Będzie można również oczywiście kupić te 20–40 tys. starych polskich »wuesek«”.

W sumie wylaniał się z tego smutny obraz ciągłych braków i szarpaniny. Ale też – paradoksalnie – doceniania tego, co się udało zdobyć, co się posiadało.

(mk)

Panie ministrze Gliński

Akurat obejrzałem w Toruńskim Teatrze Impresaryjnym spektakl „Hemar”. Dawno nie zdarzyło mi się zaznać takiej satysfakcji. W domu, niesyty jeszcze, buszuję po tej cudownej spiżarni Hemara, gdy właśnie odkrywam, że oto mija 117. rocznica urodzin Mistrza. Wobec którego żywię kult. Za to, jak i czym obdarował „ojczyznę polszczyznę”. I myśl się moja, panie ministrze, tak oto składa: może pan wie – jest gdzieś w Polsce, jakiś widomy znak wdzięczności. Za to „co z Hemara mamy?” Jakiś pomniczek, biust, ławeczka niechby? Niech pan mi powie: w Warszawie, Krakowie, w Londynie może? Może we Lwowie? Bo nie wiem.

Z szacunkiem L.D.

Leszek Długosz

Marian Hemar (1901–1972) Testament Chopina

Wiejski strumyk z Żelazowej Woli
Szumi w lewej ręce w barkaroli.

Kiedys kogut zapiał na podwórku,
To on, ten sam, w tych kwintach, w mazurku.

Księżyc po wsi włożył się pochmurnie,
Znieruchomiał, błyszczący, w nokturnie.

Bocian brodzi przez dawne mokradła,
Szuka gwiazdy co w etiudę spadła.

W rozsypanych koralikach nutek
Pierwsza miłość i ostatni smutek

I tryumfów rzęsiste trzepoty

I nostalgia chora na suchoty.

Cudem jakimś wziął ojczyznę w dłonie

I przemienił ją w gorzkie harmonie,

I przemienił ją w magiczne rytmy,

I w melodie rżewne jak modlitwy.

W srebrnoksięskie kropki, w czarne skrót

I przepisał ją całą w te nuty

I zapisał w swoim testamentie

Dochowaną, powtórzoną święcie.

A tam ona jakby coraz żywsza.

Od prawdziwej ojczyzny prawdziwsza.

Aż po wieku słowikami wspomni,

Mrokiem westchnie i deszczem zasiąpi.

I Polakom, gdy będą bezdomni,

On muzyką ojczyznę zastąpi.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Wybaczącego nie będzie?

Nasz poprzedni felieton kończy przestroga skierowana do rządzących: „Naród polski tym razem nie wybaczy. Bo być może drugiej szansy na rekonstrukcję narodu nie będzie”. O co właściwie nam chodzi? Pisał, że – w odróżnieniu od innych ugrupowań – Prawo i Sprawiedliwość łączy ze swymi wyborcami więzi szczególne. Więzy serdeczne, wspólnotowe, nie tyle głębokie, ile w istocie głębokie. Więzy wynikające z poczucia, że PiS, często personifikowane przez autorytet Jarosława Kaczyńskiego, to ugrupowanie jedyne, dla którego naród polski jest nie tylko bardzo ważny. Z przekonania, że jedynie PiS posiada zdolność do ocalenia przed historycznymi zawirowaniami depozytu naszych przodków. Że nadzieje pokładane w PiS sięgają daleko poza zwykły kontrakt wyborcy–politycy, że są serdecznym związkiem krwi. Oraz, że – uwaga! – „kara” za zerwanie takiego związku będzie o wiele bardziej poważna niż kara za puste obietnice PSL, SLD czy PO.

Ale jest jeszcze drugi wymiar spraw, sygnalizowany przez słowa „być może drugiej szansy na rekonstrukcję narodu nie będzie”.

JAKA REKONSTYTUCJA?

Samo pojęcie „rekonstrukcja”, z łaciny „odnowienie”, „odbudowanie”, „przywrócenie czegoś”, wcale nie wydaje się fajne. Brzmi staroświecko i poważnie. I jeszcze do tego ten „naród”. Z takimi pojęciami są tylko kłopoty. Po co niepotrzebnie się spinać, przecież mamy XXI w., żyjemy w zjednoczonej Europie?!

KOSMOENTUZJAŚCI

W grudniu 2015 r., gdy posłankę opozycji „Wyborcza” zapytała: „Co będzie z kulturą pod rządami PiS?”, otrzymaliśmy odpowiedź: „Jeśli spełnią się zapowiedzi Głińskiego, to kultura będzie bardzo historyczna. Prof. Głiński powiedział, że najważniejszym wydarzeniem w przyszłym roku będzie rocznica chrztu Polski. A ja chciałabym przypomnieć, że w przyszłym roku Wrocław będzie Europejską Stolicą Kultury. Konkurs na ESK miał na celu scalenie Europy, solidarność Europy. To jest najważniejsza rzecz w przyszłym roku w kulturze, a nie symbole historyczne. Jeśli prof. Głiński o tym nie wie, to znaczy, że tak naprawdę nic nie wie o sytuacji w polskiej kulturze”.



NARÓD PO KATAKLIZMACH

W roku 1989 dostaliśmy szansę na bycie gospodarzem we własnym domu. Kto tę szansę dostał? Naród po serii katastrof cywilizacyjnych. Pamiętamy, że wyraźnie uświadomiliśmy to sobie po lekturze „Eseju o duszy polskiej” prof. Ryszarda Legutki (Kraków, OMP, 2008).

Zabory, dwie wojny światowe, hitlerowska okupacja, dekady komunizmu – to wszystko nie tylko zaburzyło procesy rozwoju gospodarczego, kulturowego oraz państwowego, lecz także w pewien sposób – niszcząc elity – przetrząciło narodowi kręgosłup. Tymczasem, jak pokazał Legutko, po roku 1989 zadania odbudowy tożsamości i tkanki narodowej nie postawiono na poczesnym miejscu. Odwrotnie: środowiska, które w Polskę zakotwiczoną w tradycji narodu i jego związku z Kościołem katolickim wierzą, musiały walczyć o politykę historyczną z aktywistami pedagogiki winy.

POLSKA W EUROPIE

To, jak zmienia się Polska pod rządami dobrej zmiany, wywołuje duże zainteresowanie i zaniepokojenie elit UE. Tworzymy bowiem idącą pod prąd lewacko-liberalnej poprawności politycznej alternatywę dla wizji świata bez religii, bez narodów, bez patriotyzmu, bez rodziny jako kościoła tkanki społecznej.

Pomińmy kwestię utopijności tej wizji samodoskonalącego się Zachodu. Najbardziej nawet szalone rozwiązania, gdy za pomocą pieniędzy i władzy są w życie wcielane, potrafią świat społeczny głęboko przeorać (totalitaryzm wieku XX dostarczyły aż nadto przykładów).

Rzecz w tym, że jeśli dobra zmiana przegra, to walec okologlobalistyczny, walec demoliberalnych konwulsji, choć zwichrowany, może doprowadzić do sytuacji, w której kolejnej szansy na rekonstrukcję narodu polskiego nie będzie.

Może wygrać projekt Unii, która Polskę „zmodernizuje” przez depolonizację i dechrystianizację.

Bez sukcesu dobrej zmiany nie będzie zatem nie tylko narodu polskiego, lecz być może nawet tkanki narodotwórczej zdolnej do kolejnego zrywu. Nie będzie komu wybaczać Prawu i Sprawiedliwości jego błędów.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

SIECI

Bohaterowie Niepodległej

**SERIA
DODATKÓW
O NIEZWYKŁYCH
LUDZIACH,
KTÓRYM POLSKA
ZAWDZIĘCZA
NIEPODLEGŁOŚĆ**

„Bohaterowie Niepodległej”
to opowieść o bohaterach
wielkich i znanych oraz tych,
którzy nie pojawiają się
w podręcznikach, a warto ich
przywrócić naszej pamięci.



Tomasz Łysiak
pisarz, dziennikarz, publicysta

MECENAS DODATKU

PARTNERZY DODATKU



Bank Pekao



22.04
2018

 ORLEN
WARSAW
MARATHON
NARODOWE ŚWIĘTO BIEGANIA



MARATON / BIEG OSHEE 10KM

BIEGANIE to dla Ciebie więcej niż sport?

Kierunek jest jeden...

ZAPRASZA



PARTNERZY GŁÓWNI



PATRONAT HONOROWY



Ministerstwo
Sportu i Turystyki



eprasa.pl 4e414a1158